

Od dziś w "P" – felieton **Umberto Eco**

PRZE

Numer 6/2955 10 lutego 2002 r.

KRÓJ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

INNY LINDA: imponuje mi Kolbe:

Pół wieku Elżbiety II Tajemnice królowania

Pyszna parodia Pottera

ISSN 0033-2488

06



9 770033 248021

Indeks 371424 • Y-9013-C



DOM & WNETRZE

NR 2(77)/2002 LUTY CENA 7,90 zł (w tym 7% VAT)

TEMAT NUMERU

JAK ODMIENIĆ WNĘTRZE ŚWIATŁEM

- 3 aranżacje znanych specjalistów
- trendy i nowości w świecie lamp

URSZULA DUDZIAK „Mieszkam tak jak śpiewam”

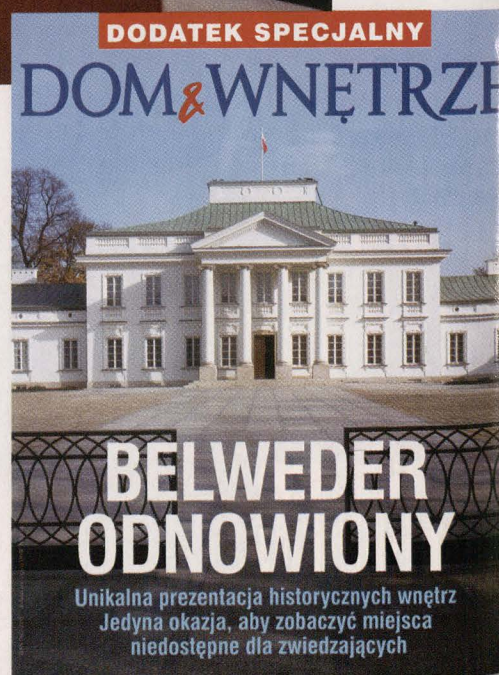
KUCHNIA bez zapachów – pochłaniacze i wyciągi

SUPERPREZENTY!

DODATEK SPECJALNY

TYLKO DLA NASZYCH
CZYTELNIKÓW
UNIKALNE ZDJĘCIA
ODNOWIONEGO
BELWEDERU

NIEZWYKŁA PŁYTA
POLSKIE UTWORY LUDOWE
W JAZZOWEJ ARANŻACJI
URSZULI DUDZIAK
I GRAŻYNY AUGUŚCIK



Szanowni Państwo,

w tym numerze „Przekroju” proponujemy kilka nowości. Prawdziwych nowości i takich sprzed lat, uczciwie mówiąc...

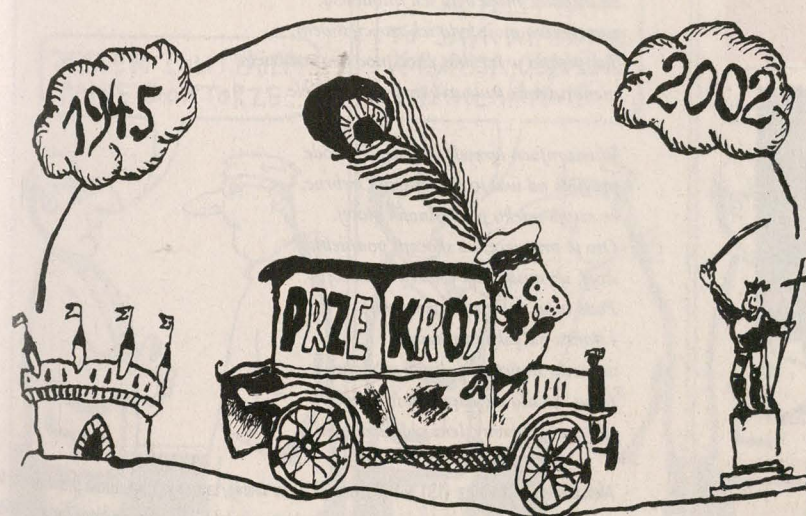
Zacznijmy od – proszę spojrzeć na następną stronę – „Okienka z wierszem”, które z bliżej nieznanych powodów zniknęło z „P” dawno temu. Potem prosimy zajrzeć na strony 50–52, gdzie został wydrukowany fragment bestsellerowej już na Zachodzie parodii „Harry’ego Pottera”. Zapowiada to powrót na nasze łamy dobrej i ciekawej literatury, z której „P” kiedyś słynął. W następnych numerach pojawią się Jerzy Pilch i wspomnienia o księdzu Tischnerze, Wieniedikt Jerofiejew i Jorge Borges (o nim już dziś na s. 58.), Andrzej Stasiuk i Olga Tokarczuk (o niej też już dziś – s. 64.). Na stronie 70. łatwo odnaleźć słynne „Wyteż wzrok”, w trochę zmienionej, ale chyba jeszcze ciekawszej szacie graficznej.

Są też „nowe” nowości. Dziś zaczynamy współpracę z Umberto Eco (s. 53.), którego felietony będziemy drukować co dwa tygodnie równoległe z włoskim tygodnikiem „L’Espresso”, ze Stefanią Grodzieńską (s. 68.), Jerzym Bralczykiem (s. 69.) i Marią Czubaszek (s. 67.), a także z Marcinem Świetlickim i Grzegorzem Dyduchem, którzy od wywiadu z Bogusławem Lindą zaczynają w tym numerze swoje zupełnie nieregularne, ale zawsze autorskie „Rozmowy na środek tygodnia” (ss. 36–41.).

Zaprosiliśmy też do współpracy między innymi Bohdana Osadczyka z Berlina (s. 25.), Paula Johnsona z Londynu (już w następnym numerze), Michela Viateau z Moskwy, Janusza Głowackiego z Nowego Jorku. Do plejady znakomitych „przekrojowych” rysowników na czele z Andrzejem Czeczotem i Andrzejem Mleczką zgodzili się dołączyć Bohdan Butenko, Andrzej Dudziński z Nowego Jorku i Warszawy oraz Andrzej Krauze z Londynu.

Z poważaniem

Jacek Rakowiecki
redaktor naczelny



czeczot PRZE KROJ

PRZE
KROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY: Jacek Rakowiecki
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:

Roman Kurkiewicz

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Maria Świetlik

SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Bauman (szef),
Ewa Biela, Magda Gędziorska, Lucyna Olszewska

ODDZIAŁ W KRAKOWIE: Joanna Gromek Illg

DZIAŁY:

KULTURA: Marcin Baran (szef), Bogna Świątkowska (z-ca),
Paweł Dunin-Wąsowicz, Ewelina Jamka, Tadeusz Nyzek,
Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Filip Łobodziński,
Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Wawrzyniec Smoczyński,
Anna Tarnowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie),
Marcel Andino

NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA: Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef),
Łukasz Dziedzic, Maria Klich, Dominika Raczkowska,
Dominika Szczechowicz

FOTOEDYCJA: Agnieszka Wściubiak (szef),

Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański

KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Tercjak

ARCHIWUM: Wanda Lacrampe

PRODUKCJA: Agencja Poligraf – Maciej Kowalski,

ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 627 23 06 do 08, faks (0-prefiks-22) 627 23 05
e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 16,
00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 625 16 46,
faks (0-prefiks-22) 621 19 76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW

MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit

DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elżbieta i Bogdan Żochowsky

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 625 16 46 w. 233,
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik),

Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczyński, Adriana
Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 12, tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09

DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła,

tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska,

Agnieszka Bogdańska tel./faks (0-prefiks-22) 625 08 20,

tel. (0-prefiks-22) 625 16 46 w. 210

przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju

przez Ruch SA – informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31,
faks (0-prefiks-22) 532 87 32



Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skróć w nadesłanych artykułach i listach.

INTERNETOWY SERWIS DLA

♥ **KOBIET!** ♥
polki.pl

zaprasza na Walentynkowy
Tydzień Pełen
Niespodzianek

Odwiedź nas i wygraj coś dla
siebie lub ukochanej osoby
Wielka Góra Prezentów czeka

Przeczytaj specjalny
walentynkowy horoskop

♥ Wyznaj miłość
na Forum Polek ♥

Partnerzy
Walentynkowego
Tygodnia:

AVON
the company for women

NIVEA

S Z A
Santitas

Ziaja



中華飯店
Zhong Hua



serwis www.polki.pl
znajdziesz w portalu

www.interia.pl

O kienko z wierszem

Aleksander Rymkiewicz
Na skoczni

Gdy na rozbiegu skoczni stoję w górze,
a w dole stygnie tłumów wrząca lawa
— Wędrowną chmurką bezszelestnie płuży,
błękitnym cieniem śniegów tnąc murawę —
jest w śnieżnej ciszy taka chwila piękna,
nim skoczę, zanim się rozsypią brawa,
jakby ta ziemia, heblowana błyskiem,
stała się moim śnieżnym obeliskiem —
gdy zechcę, nartą krańców jej dosięgnę.

Za trybunami tłum czernieje łukiem.
Słońce śnieg ostrzy, wiatr flagami chwieje.
I oto w tłumie dźwiga się nadzieja,
że skok, znaczony nart o zbrocze stukiem,
przyniesie dotąd nieznaną nagrodę,
że się podścielą pod nogi me młode
wiatry i mrozy, świerkowe obszary,
w krainach niebios rubinowe jary —
to całe piękno chłodne, nieobjęte,
śladu mojego wężykiem przecięte.

Śpi w was tęsknota, jak dzwoneczki w borach,
za złotym wiekiem, dotąd niezniszczonym,
gdzie śniegi nigdy wojny nie zapłonę,
gdzie stoją dęby w zimowych ubiorach.
I tam przyroda, która w latach wojny
dom opuszczony trawami rozsada,
wiatrem i mrozem głosząc swoją władzę,
w tym wieku złotym, pod dębem spokojnym,
szronem sierść sarny płochliwej powleka,
cofając ostrza przed nartą człowieka.

Różne nagrody stawili me imię.
Stawałem w górze. Nie znałem ich mowy,
lecz serca znałem jak dzwoneczków bieg w zimie.
Śmignięciem na dół i suchym nart chrzęstem
mój skok zwycięski obce skocznie rozciął,
tę samą radość wzбудzając na nowo,
bo młodość moja była ich młodością,
zwycięstwo moje było ich zwycięstwem.
Tak piękno w rzeźbie, choć moc swą rozdziela,
nienaruszone trwa w kamiennym dziele.

W triumfach igrzysk moje serce młode
przyjęło od was to dzwoneczkowe srebrne,
co szuka wieku pomyślności złotej.
Oto w przesiece, na skoczni podniebnej,
stoje, wysmukły zwycięzca niebrojny.
Pode mną dolin rozległe zarysy
i słońca gałązka tam wisi —
zrzuciło słońce swój listek spokojny
temu, co siłą zwycięzcy wśród ludzi
nie trwogę szerzy, lecz radość obudzi.

Aleksander Rymkiewicz (1913–1983) urodził się w Wilnie, tam ukończył studia prawnicze i tam debiutował jako poeta. Był najmłodszym członkiem wileńskiej grupy poetyckiej Żagary. Wiersz „Na skoczni” pochodzi z cyklu olimpijskiego „Niebrojni zwycięzcy” nagrodzonego na Krajowym Konkursie Olimpijskim w 1952 roku. Cytujemy go za pismem „Magazyn Olimpijski”

Ilustrowany „Przekrój” tygodnia **6**

MAREK RYBARCZYK
50 lat panowania Elżbiety II **10**

BOHDAN TOMASZEWSKI
Historia zimowych olimpiad **18**

DARIUSZ ROSIAK
Szalerstwo Mike’a Tysona **21**

JAKUB MIELNIK
Handel organami na świecie **22**

Obcy wśród swoich
BOHDAN OSADCZUK
Ukraińiec pisze z Berlina **25**

JAKUB MIELNIK
Rzeczpospolita babska w Tybecie **26**

List z Tel Awiwu
ANNA LIBROWSKA **29**

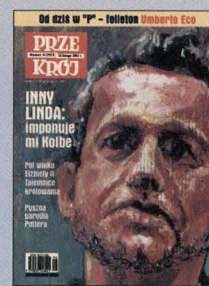
Sieroty z Bullerbyn
- o ASTRID LINDGREN
pisze STEFAN WRZEŚMIAN **30**

MICHAŁ WÓJCİK
Koniec ery „Rudego”
- czołgi z Niemiec **34**

Rozmowy na środek tygodnia
Z BOGUSŁAWEM LINDĄ rozmawiają
ŚWIETLICKI & DYDUCH **36**

NUMER 6
10.02.2002

OKŁADKA:
OLGA WOŁNIAK



Nauka OLGA WOŹNIAK
Przepis na świńskie serce.
Transplantacje narządów
zwierzęcych **42**

Zwierzęta
MARZENNA NOWAKOWSKA
Koń by się uśmieł **45**

Nauka
WALDEMAR SADOWSKI
Witajcie w świecie atto.
Fotografowanie atomów **46**

Portret naukowca
JAN STRADOWSKI
Noblista sir Ronald Ross **48**

To i owo naukowo **49**

Literatura
MICHAEL GERBER
„Barry Trotter”
- parodia „HARRY’EGO POTTERA” **50**

Zapiski na pudełku od zapalek
UMBERTO ECO **53**

Dwa wywiady
z DAVIDEM LYNCEM **54**

Anegdoty FILIP ŁOBODZIŃSKI
W łóżku z Borgesem **58**

Teatr MENDEL GDAŃSKI
„Hanemann” w teatrze Wybrzeże **59**

Film ANITA PIOTROWSKA
Kino irańskie **60**

Muzyka ROBERT ZIEBIŃSKI
Ryan Adams - gwiazda neocountry **62**

Książki PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ
Tokarczuk i duchy blokowisk **64**

Klub Smakosza TADEUSZ PIÓRO
A ja nie chcę czekolady **66**

Inne pytania
BARBARA WRZESIŃSKA
w rozmowie z MARIĄ CZUBASZEK **67**

Mieszanka firmowa **68**

Krzyżówka z jolką i MORDILLO **72**

Co Pan na to, Panie LEM? **74**

Rozmaitości **76**

„STEFAN MICHAŁSKI POLITYK ZAWODOWY”—ANDRZEJ MLECZKO.





PRZEŁOM CZY WYŁOM?

W hołdzie ofiarom tragedii Światowego Centrum Handlu pierwszy raz od 32 lat Światowe Forum Gospodarcze odbyło się poza Davos – w Nowym Jorku. W tym roku nie było zamieszek. Może dlatego, że policja jeszcze przed rozpoczęciem imprezy zagroziła zatrzymaniem każdego, kto zamaskuje twarz. Największa pokojowa

demonstracja odbyła się na Piątej Alei. Tysiąc uczestników protestowało przeciwko wyzyskowi pracowników przez światowe sieci sklepów. W tym roku 2700 uczestników (w tym 30 szefów państw) ze 106 krajów obradowało na temat budowy międzynarodowej koalicji do walki z terroryzmem, pomocy

dla Afganistanu, recesji i walki z ubóstwem. Amerykański sekretarz stanu Colin Powell powiedział, że Stany Zjednoczone muszą walczyć nie tylko z terroryzmem, lecz także z jego pożywką: biedą i beznadzieją. Turecki minister spraw zagranicznych Ismail Cem obecny konflikt izraelsko-palestyński nazwał wzajemnym

amobójstwem. W szczycie wzięły udział również osoby niezwiązane polityką i biznesem. Podczas jednego z spotkań lider grupy U-2 Bono apelował o zwiększenie pomocy dla głodujących. Bill Gates – szef Microsoftu – prawie natychmiast zaoferował 50 mln dolarów.



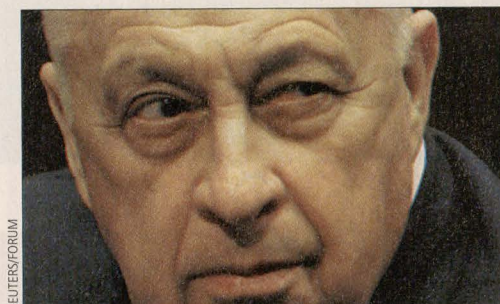
Poważne trudności z założeniem pannie młodej obrączki miał książę Willem-Alexander – następca tronu Holandii, który w sobotę poślubił Maximę Zorreguietę. Uroczysty ślub odbył się w amsterdamskiej katedrze. Ceremonię zaślubin i pierwszy oficjalny przejazd młodej pary przez ulice miasta obserwowało 80 tys. ludzi. Na uroczystości zabrakło ojca 30-letniej wybranki księcia – Jorge Zorreguiety. Ten argentyński polityk był ministrem w rządzie dyktatora Jorge Videla. Holenderski rząd oficjalnie poprosił go o nieobecność na ślubie córki.

NEKROBIZNES

W ciągu minionego tygodnia łódzka policja aresztowała siedmiu pracowników tamtejszego pogotowia i firm pogrzebowych. Wszystkim grozi do 10 lat więzienia za nielegalne czerpanie korzyści majątkowych z handlu zwłokami. Afera „nekrobiznesu” zbulwersowała całą Polskę. Danuta W., pielęgniarka łódzkiego pogotowia, zwierzyła się „Dziennikowi Łódzkiemu”, że pracowała z lekarzami, „dla których dyżur bez skóry to dyżur stracony”. W Krośnie jedna z kobiet telefonujących do pogotowia pytała dyżurnego, czy sanitariusze nie przyjechaliby wykończyć jej 83-letniego ojca. „Gazeta Starachowicka” informuje, że w tamtejszym szpitalu pracownicy firm pogrzebowych zajmują ławki dla chorych i czekają na rodziny, aby zaoferować im swoje usługi. Tymczasem Tomasz Selder, brat jednego z zatrzymanych pracowników pogotowia i zarazem przewodniczący Krajowego Związku Zawodowego Pracowników Ratownictwa Medycznego, zapowiedział podanie do sądu dziennikarzy, którzy szkalują dobre imię pracowników pogotowia. Czytaj też s. 22

KANDYDAT DO NOBLA

Ojciec werbista Marian Żelazek jest od środy oficjalnym kandydatem do pokojowej Nagrody Nobla. Jego kandydaturę złożyło 55 osobistości życia publicznego z Polski. Właśnie w Indiach, w samym centrum hinduizmu, w pobliżu Świątyni Dżagannthy, pracuje ojciec Żelazek. Opiekuje się trędowatymi i prowadzi szkołę dla biednych dzieci. W kontaktach z trędowatymi ojciec Żelazek nie używa rękawiczek.



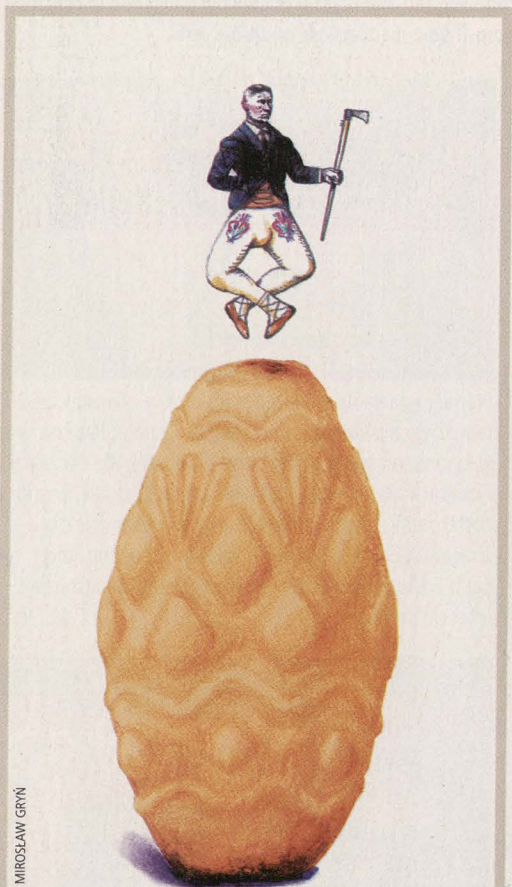
Premier Izraela Ariel Szaron stwierdził w czwartek, że 20 lat temu była możliwość zabicia Jasera Arafata. Podczas wojny w Libanie on i jego ludzie zostali otoczeni, ale decyzja o ich likwidacji nie zapadła. „Mówiąc szczerze, żałuję, że nie został zabity” – powiedział Szaron w wywiadzie dla izraelskiej gazety „Maariw”. Palestyński negocjator Saeb Erekat powiedział, że Izrael pokazał gangsterskie intencje premiera. Czytaj też s. 29



Ronnie Biggs – członek gangu, który w 1963 roku dokonał w Wielkiej Brytanii zuchwałego napadu na pociąg pocztowy, rabując 2,6 mln funtów – spędził resztę życia w więzieniu. 72-letni złodziej po 36 latach wrócił z Brazylii i nie został uniewinniony.



Proces sześciu piratów morskich oskarżonych o zamordowanie żeglarsza Petera Blake'a rozpoczął się w ubiegły wtorek w brazylijskim mieście Macapa. Najstynniejszy żeglarz świata zginął 6 grudnia zeszłego roku w czasie przypadkowej strzelaniny, jaka wywiązała się w trakcie napadu na jego łódź. Minister sprawiedliwości Brazylii ujawniła przed procesem, że piraci byli w śledztwie torturowani.



Adam Bachleda-Curuś nie ma szczęścia do pomysłów. Olimpiady w Zakopanem nie będzie, a w ubiegłym tygodniu wyszło na jaw, że jeszcze jako burmistrz miasta wystąpił z wnioskiem o opatentowanie znaków towarowych góralskich serów: oscypka, oszcypka, buncu i bundzu. „Przekrój” wnioskuje o przyznanie Bachledzie-Curusiowi patentowanego tytułu: sir®.

EDELMAN W BERLINIE

Ostatni żyjący przywódca powstania w getcie warszawskim, Marek Edelman, był w ub. poniedziałek honorowym gościem uroczystości Dnia Pamięci Ofiar Nazizmu w Berlinie. Była to pierwsza wizyta Edelmana w stolicy Niemiec. Podczas spotkania z dwuosobową grupą młodzieży Edelman zarzucił niemieckiemu społeczeństwu bezczynność wobec poczynąń Hitlera w czasie wojny: „Nie stawiano oporu. Społeczeństwo wiedziało, ale odwracało głowę. Nie jest prawdą, że zbrodnie popełniały tylko SS i SA”.

NIECHCIANY HERB



Województwo pomorskie ma wreszcie swój herb: czarnego gryfa za złotym tle. Spór o niego trwał w radzie miasta pół roku. Pierwowzorem herbu jest wizerunek gryfa sprzed 500 lat z fresku Katedry Oliwskiej. Przyjęty przez radnych herb nie podobał się jednak Komisji Heraldycznej przy MSWiA. Nie podoba się również części radnych. Ich zdaniem gryf nie jest dostatecznie polski i lepiej wyglądałby na tle białego orła.

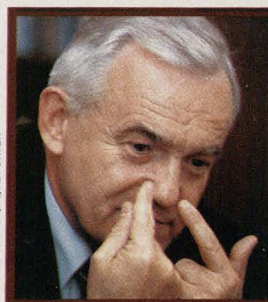
przez radnych herb nie podobał się jednak Komisji Heraldycznej przy MSWiA. Nie podoba się również części radnych. Ich zdaniem gryf nie jest dostatecznie polski i lepiej wyglądałby na tle białego orła.

PRYWATNA KOPALNIA

W Zabrzu w połowie lutego zacznie działać pierwsza w Polsce prywatna kopalnia węgla kamiennego. Powstanie na miejscu kopalni Jadwiga, która została zamknięta z powodu nieopłacalności wydobycia i zadłużenia. Zdaniem byłego dyrektora kopalni, posła SLD Jana Chojnackiego – autora pomysłu – mała prywatna kopalnia powinna przynieść zyski. Entuzjazm posła podzieliło 12 biznesmenów. Na razie jednak pragną zachować anonimowość.

HABSBURGOWIE NA ZAMKU

Od ostatniego piątku możemy podziwiać rozmach mecenatu Habsburgów. We współpracy z wiedeńskim Kunsthistorisches Museum Zamek Królewski w Warszawie otworzył wystawę „Skarby Habsburgów”, prezentującą tematycznie zbiory z kolekcji jednego z najpotężniejszych domów monarszych Europy. Olśniewa rozmach czasowy (od starożytności po wiek XVIII) i bogactwo form. Wazy, rzeźby, broń, stroje, order, a także pół setki malowideł pędzla m.in. Velázqueza, Tintoretta i Rubensa.



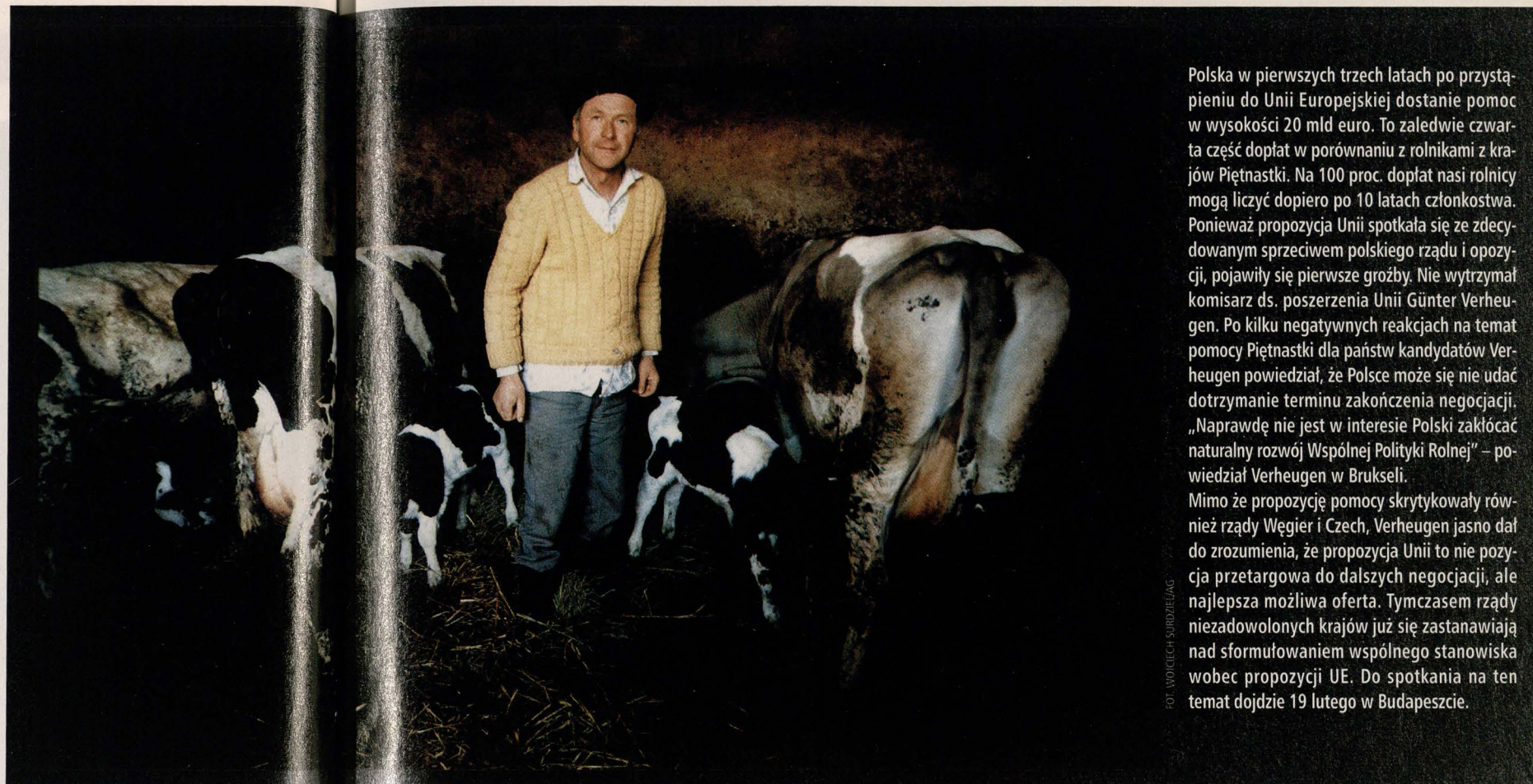
MYŚL TYGODNIA

Czas wymyślono po to, aby nie wszystko robić w ostatnim momencie.

Leszek Miller w programie TVN podsumowującym sto dni nowego rządu



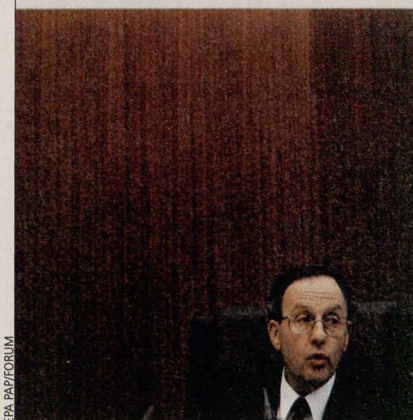
W środę w Weronie odbyło się wielkie bulgotanie. Barman Ettore Diana przyrządził tam cappuccino-gigant. Potrzebował do tego pięćset litrów espresso i tysiąc litrów gorącej mlecznej pianki. Włoski barman znalazł się w książce Guinnessa, a dochody z parzenia monstrualnego cappuccino przeznaczono na pomoc dzieciom z zespołem Downa.



Polska w pierwszych trzech latach po przystąpieniu do Unii Europejskiej dostanie pomoc w wysokości 20 mld euro. To zaledwie czwarta część dopłat w porównaniu z rolnikami z krajów Piętnastki. Na 100 proc. dopłat nasi rolnicy mogą liczyć dopiero po 10 latach członkostwa. Ponieważ propozycja Unii spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem polskiego rządu i opozycji, pojawiły się pierwsze groźby. Nie wytrzymał komisarz ds. poszerzenia Unii Günter Verheugen. Po kilku negatywnych reakcjach na temat pomocy Piętnastki dla państw kandydatów Verheugen powiedział, że Polsce może się nie udać dotrzymanie terminu zakończenia negocjacji. „Naprawdę nie jest w interesie Polski zakłócać naturalny rozwój Wspólnej Polityki Rolnej” – powiedział Verheugen w Brukseli. Mimo że propozycję pomocy skrytykowały również rządy Węgier i Czech, Verheugen jasno dał do zrozumienia, że propozycja Unii to nie pozycja przetargowa do dalszych negocjacji, ale najlepsza możliwa oferta. Tymczasem rządy niezadowolonych krajów już się zastanawiają nad sformułowaniem wspólnego stanowiska wobec propozycji UE. Do spotkania na ten temat dojdzie 19 lutego w Budapeszcie.



16 drużyn z 10 krajów bierze udział w festiwalu rzeźby w lodzie zorganizowanym w tym roku w Sankt Petersburgu. W kruchym tworzywie powstają wierne kopie słynnych budowli bądź ich pojedyncze elementy. Na zdjęciu rzeźbiarze z Jakucji na Syberii wycinają w lodzie krzyż i anioły z kopuły katedry Świętych Piotra i Pawła w Rzymie. Na razie nie zanoś się na ocieplenie, więc wszystkie lodowe dzieła wytrzymają do pierwszych oznak wiosny. Festiwal to największa zimowa atrakcja turystyczna w mieście.



Aborygeni chcą usunąć z godła Australii kangura i strusia emu. Uważają oni, że wizerunki tych zwierząt stanowią religijną świętość i nie powinny być wykorzystywane przez władze Australii. Zdecyduje Sąd Najwyższy.



HULTONGETTY/PM

Mistrzynie sztuki przetrwania

MAREK RYBARCZYK

6 lutego mija 50 lat od wstąpienia Elżbiety II na brytyjski tron.

Za jej panowania upadło Imperium.

Przetrzymała 10 brytyjskich premierów, 11 amerykańskich prezydentów i pięciu papieży.

Trójce jej dzieci rozpadły się małżeństwa.

Skąd czerpie siłę?

Najbardziej lubi przebywać na wsi. Jednak nie zamierza wycofywać się z życia publicznego. Jak długa droga przed Elżbietą II?



JOHN STILLWELL/DAAP

Serce monarchini przepętnia
obawa o los Windsorów.
Mogłaby – jak sugerują niektóre
brytyjskie gazety – abdykować
na rzecz syna, księcia Karola.
Jednak to nie byłoby w jej stylu

Królowa Elżbieta II – ostatnia prawdziwa monarchini Europy – budzi się zwykle przed siódmą, by posłuchać porannego programu „Today” radia BBC 4. O 7.30 w drzwiach pojawia się jedna z jej 14 osobistych służących ze śniadaniem na srebrnej tacy. W tych dniach, przełykając tost z marmoladą popijany sokiem owocowym, królowa myśli zapewne o Jubileuszu.

Czy kolejna okrągła rocznica w życiu przyniesie jej radość? Czy może perspektywa XXI wieku, tak na pozór nieprzystawalnego do instytucji monarchii, napełnia ją przerażeniem? Do pobicia rekordu panowania długowiecznej królowej Wiktorii – żyła 82 lata, rządziła Imperium od 1837 do 1901 roku – musiałaby jeszcze pozostać na tronie do 2016 roku. Wziąwszy pod uwagę długowieczność w jej rodzinie, jest to całkowicie możliwe. A jednak dworzanie i współpracownicy królowej coraz głośniejszymi głosem mówią, że już teraz ma wyraźnie dosyć. Szara twarz i pozbawione żaru oczy nie potrafią często ukryć zmęczenia monarszymi obowiązkami, które niegdyś dawały jej tak wielką satysfakcję. Zapewne w wieku 75 lat Elżbieta pozbyłaby się chętnie brzemienia korony i wyjechała do swoich wiejskich pałaców.

Serce monarchini przepętnia jednak obawa o los Windsorów. Mogłaby – jak sugerują niektóre brytyjskie gazety – abdykować na rzecz syna, księcia Karola. Jednak to nie byłoby w stylu Windsorów. Elżbieta II obiecała swojemu ojcu Jerzemu VI, że nie zdradzi nigdy interesów tysiącletniej monarchii. Jerzy kierował krajem w czasie wojny, mimo że nie pchał się do tej roli, a królem został z konieczności, po abdykacji brata Edwarda VIII, który



21 kwietnia 1929. Trzyletnia księżniczka w roli aniołka. Nie wie, co ją czeka

w 1936 roku wybrał amerykańską rozwódkę Wallis Simpson zamiast korony. Matka Elżbiety, nie zważając na bombardowania Londynu, została w stolicy i odwiedzała jej mieszkańców w najbardziej dramatycznych momentach bitwy o Anglię. Jakże teraz ona, wychowana w bogobojnym szacunku dla tradycji monarchii, mogłaby opuścić poddanych? I jeszcze wielka niewiadoma: jak Brytyjczycy przyjęliby objęcie tronu przez jej syna Karola? Dziś media prześcigają się w pomysłach na reformę monarchii, ale propozycje pojawiają się i giną. A monarchia musi przetrwać. Inaczej życie królowej nie będzie miało sensu.

Gdy przychodziła na świat 21 kwietnia 1926 roku, nic nie

rosłego, niebieskookiego kadeta marynarki wojennej, księcia Filipa z greckiej wyspy Korfu. Był on jej dalekim krewnym, a jednocześnie bratankiem i protegowanym legendarnego brytyjskiego dowódcy i ostatniego wicekróla Indii lorda Louisa Mountbattena. Elżbieta zachłysnęła się widokiem wysportowanego księcia i zakochała od pierwszego wejrzenia. Ślub odbył się w listopadzie 1947 roku.

Pierwsza rodzina

Od początku Filip pełnił w związku rolę drugoplanową. Owszem, był głową najważniejszej rodziny w państwie, ale z punktu widzenia brytyjskiej konstytucji również zwykłym poddanym królowej. Nie miał dostępu do państwowych dokumentów, a na oficjalnych uroczystościach musiał stąpać przepisowe dwa kroki w tyle za żoną-monarchinią. Filip, jeden z najbardziej atrakcyjnych arystokratów swoich czasów, stał się zwykłym ceremonialnym dodatkiem do życia żony.

Wcześniej czy później taki tryb życia musiał go znudzić. Po pierwszych dwóch w miarę stabilnych latach małżeństwa zaczął znikać na całe tygodnie. Jego hobby stały piękne kobiety. Biograf Filipa Nicholas Davies twierdzi nawet, że książę bywał na sławnych przyjęciach epoki La Dolce Vita w Rzymie lat 60. Davies opisuje orgie, w trakcie których arystokraci urządzali „ryzymskie olimpiady”, zakładając się (składkowe – tysiąc dolarów) o to, który z nich doprowadzi 12 luksusowych prostytutek do szafu zmysłów bez ulegania własnym emocjom. Wówczas brytyjska prasa milczała, a królowa uciekała w monarsze obowiązki. Do dziś Pałac demantuje historie o niewierności

W wieku 13 lat, podczas wizyty w Akademii Morskiej w Dartmouth, poznała pierwszego przystojnego chłopaka – 18-letniego,

księcia. Z czasem Filip się ustakował, choć jak twierdzą jego bliscy przyjaciele, nigdy nie zaakceptował roli poddanego swojej żony.

Król i królowa niemal od początku małżeństwa nie dzielili wspólnej sypialni. Mimo to pod pałacową strzechą pojawiały się kolejne pociechy. Najstarszy syn Karol urodził się już w 1948 roku. Jedyna córka Elżbiety i Filipa – Anna – przyszła na świat dwa lata później. W 1960 roku urodził się Andrzej, a w 1964 najmłodszy syn królowej – Edward.

Filip traktował synów jak rekrutów w armii – pochwał nie udzielał. Elżbieta, sama wychowana w oschłym drylu, zaakceptowała ten styl. Gdy w latach 80. prasa rozpoczęła regularną nagonkę na Windsorów, zarzuty o brak matczynej troski będą solą w oku Elżbiety. W 1994 roku jej najstarszy syn Karol poskarżył się dziennikarzowi Jonathanowi Dimbleby'emu na chłód panujący w rodzinnym domu, matkę, która spędzała z nim zaledwie godzinę dziennie i nigdy publicznie nie przytulała, oraz ojca, który ponoć wolał porozumiewać się z synem listownie, niż rozmawiać z nim osobiście. Elżbieta nie wiedziała, kiedy Karol kończy służbę wojskową i odmawiała księżnej Annie matczynej rady przed decyzją o małżeństwie. Ani razu nie wykapała ani nie ubrała swoich dzieci. Nigdy nie zmieniła im pieluchy. Zawsze wnoszono bobasy do komnaty o określonej porze. Królowa bawiła się z nimi jakiś czas, słuchając raportu niani.

Elżbieta przyjęła zaproponowany przez Filipa styl wychowania dzieci, choć w sprawach dotyczących monarchii nie ustępowała mężowi. Nie zgodziła się, gdy domagał się nadania mu konstytucyjnych uprawnień króla, nie ugięła się, gdy nakłaniał ją, by dzieci przyjęły nazwisko ojca i nazywały się Mountbatten. Nigdy nie chciała też dzielić się z nim obowiązkami, choć jej życie jest wypełnione sprawami zawodowymi od rana do wieczora. Mimo 50 lat „w zawodzie” i szacowanego na 300 milionów funtów osobistego majątku brytyjska monarchini ma w roku tylko dwa dni urlopu – Boże Narodzenie i niedzielę wielkanocną. W pozostałe 363 dni w pałacach

Buckingham, Windsor pod Londynem, Sandringham w hrabstwie Norfolk, a nawet odległym szkockim Balmoral bezlitośnie doścignają ją zawsze czerwone, skórzane pudła z pięknie wytłoczonym złotym napisem: *The Queen* – przesyłki od premiera i jego ministrów.

Królowa czuje się najlepiej właśnie w wiejskich rezydencjach. Jest wytrawnym myśliwym, hoduje 50 koni i uwielbia zakłady na wyścigach, choć stawia co najwyżej 20 funtów. O jej oszczędności krąży legenda. Ponoć czasem przechadza się po pałacu i gasi światła. Wieczory spędza przed telewizorem, rozwiązuje krzyżówki albo czyta kryminały. Biograf królewski Nicholas Davies uważa, że Elżbieta



nie jest „typem intelektualnym”. „Jest za to inteligentna i doskonale orientuje się w polityce” – podkreśla.

Królowa jednak oficjalnie stoi ponad polityką. Panuje, ale nie rządzi. Każdą jej decyzję musi aprobować premier lub minister. Elżbieta jest dowódcą naczelnym sił zbrojnych. Nie może jednak wypowiedzieć wojny bez zgody parlamentu. Nie może nakładać podatków ani inicjować ustaw. Mimo to czyta dokumenty i sprawozdania. Raz w tygodniu spotyka się z premierem, z którym je roboczy lunch.

Elżbiecie II udawało się dobrze ułożyć stosunki z niemal wszystkimi szefami rządów



Księżniczka Elżbieta na koniu w drodze z pałacu Buckingham do Horse Guards' Parade. W czerwcu 1947 roku była trzecią w kolejce do brytyjskiej korony

W listopadzie 1947 roku Elżbieta wychodzi za mąż za greckiego księcia Filipa Mountbattena



Korona była dla niej niechcianym zaszczytem. 6 lutego 1952 w Londynie



HUTTON/GETTY/IFM

Elżbieta przejęła styl Filipa w wychowaniu dzieci. Na zdjęciu: z czteroletnim Karolem w szkockim zamku Balmoral

jej długiej epoki — zarówno z laburzystami, jak i konserwatystami. Jednym wyjątkiem była Margaret Thatcher. Na pierwszej audiencji w pałacu Buckingham w 1979 roku wystąpiły w sukienkach tego samego koloru. Kiedy Downing Street poprosiło Pałac o synchronizację na przyszłość, nadeszła jednoznaczna odpowiedź: Królowa nie zauważa koloru ubiorów innych ludzi!

Starcie dwóch dam

Wkrótce kontrowersje między panią Thatcher a królową miały wyjść poza problem krawiectwa. Wychowana w szacunku dla tradycji Elżbieta nie akceptowała thatcherizmu, w którym gubiły się wartości drogie królowej: społeczna solidarność i szacunek dla hierarchii. W ogniu thatcherowskiej rewolucji padały nierentowne gałęzie gospodarki, takie jak górnictwo i przemysł stoczniowy. Pani premier zachęcała Brytyjczyków do spekulacji na giełdzie i wykupywania mieszkań komunalnych, obniżała podatki i promowała indywi-

Karol narzekał na chłód w rodzinnym domu, matkę, która spędzała z nim godzinę dziennie i nigdy publicznie nie przytulała, oraz ojca, który pisał do niego listy, zamiast rozmawiać

dualną inicjatywę w gospodarce. W gruzach legła powojenna brytyjska umowa społeczna honorowana dotąd przez każdy rząd niezależnie od koloru politycznego. W ramach tej niepisanej umowy państwo z jego tradycyjnymi instytucjami przejmowało obowiązki wobec obywateli, zapewniając im pracę i opiekę społeczną od kolebki po grób. Pani Thatcher mówiła na to: „Jeśli chcecie coś mieć, musicie na to zarobić, a interwencji państwa im mniej, tym lepiej”. Nośnikiem jej ideałów stała się prężna klasa średnia, fetyszem jej czasów — pieniądź, stylem życia — liberalizm obyczajowy.

W 1981 roku świat szalał, oglądając w Londynie ślub następcy tronu Karola i Diany Spencer, zaś nad pałacem Buckingham gromadziły się czarne chmury. Dzieci thatcherowskiej rewolucji zaczęły

zadawać pytania o sens instytucji monarchii. Nastąpiły czasy merytokracji, po co zatem komu skostniała arystokracja, mastodonty zamrożone w swoich pałacach i klasowych uprzedzeniach?

Te głosy słyszała walcząca bezwzględnie o czytelników prasa bulwarowa. Dawniej czująca respekt establishmentu milczała na kontrowersyjne tematy królewskie. W latach 80. zaczęła coraz częściej zaglądać rodzinie królewskiej nie tylko na salony, ale również pod kołdrę. Królewskie skandale obyczajowe — najpierw kłopoty rodzinne księżniczki Anny, potem tragiczna saga Karola i jego żony Diany, wreszcie rozpad małżeństwa księcia Andrzeja i Sary Ferguson — stały się chlebem powszednim dzienników, takich jak „Sun” czy „Daily Mirror”. Skoro liczył się

tylko zysk, a w ogniu liberalnej rewolucji nie było nic świętego, zniknęły również tematy tabu.

W połowie roku 1985 Pałac zdobył się na bezprecedensowy kontratak. Sekretarz monarchini upublicznił tematy konsultacji z premier Thatcher, ujawniając, że konflikt między monarchinią a panią premier ma głębokie korzenie i określa ich odmienne podejście do spraw publicznych. Anthony Holden, autor cenionej pracy o monarchii pt. „Tarnished Crown” („Rozdarta korona”), przypuszcza, że stało się tak — przynajmniej częściowo — za wiedzą, a może wręcz sugestią samej królowej. W 1990 roku Elżbieta została, a Margaret Thatcher odeszła.

Na swoje nieszczęście królowa oprócz listów i dokumentów rządowych czytała — i czyta do dziś — raporty służb specjalnych MI5 i MI6. To dzięki nim (i własnej poczcie pantoflowej) Elżbieta II dowiedziała się pod koniec lat 80. o kolejnych kochankach swojej synowej — księżnej Diany — i romansie Karola z Camillą Parker Bowles. Milczała jednak jak grób w interesie

do prawdziwej opery mydlanej, która miała porwać Brytyjczyków i cały świat do chwili tragicznej śmierci Diany.

Skandale i łzy

Diana od połowy lat 80. po mistrzowsku budowała swój wizerunek, wykorzystując do tego media, dzięki którym próbowała wygrać partię z Karolem i teściową. W poniedziałek łąkała, że jest samotna i szczuta przez fotoreporterów z prasy brukowej. W środę sama umawiała się na serię zdjęć w najnowszych sukniach (i ponętnych pozach), a niedługo potem udzielała wywiadu, wspominając bezlitosny chłód rodziny Windsorów.

Lady Di rozwinęła na wielką skalę szlachetne akcje charytatywne.



Zakładała coraz to nowe fundacje, spotykała się z chorymi, ubogimi, bezrobotnymi, prowadziła kampanię przeciw stosowaniu min przeciwpięchotnych. Kiedy jako pierwsza z wielkich arystokratów zaopiekowała się chorymi na AIDS, królowa nie mogła wyjść ze zdumienia.

Diana wyrwała swoich synów Williama i Harry'ego z pałacowej nudy. Zabierała ich na hamburgery czy do wesołego miasteczka. Brytyjczycy uwielbiali ją nie tylko za urodę, prostotę i urok, lecz także za serce i postępowe poglądy. Księżna umiejętnie wpisywała się w nurt wzburzonego buntu przeciwko skostniałemu konserwyzmowi z czasów następcy pani Thatcher Johna Majora. Był to czas politycznego przesilenia w Królestwie. Po 18 latach rządów konserwatystów kończyła się epoka thatche-

ryzmu. Na wiosnę 1997 roku do władzy doszedł Tony Blair. Obiecywał reformy, uczciwość, sprawiedliwość, powrót do tradycyjnych wartości społecznych, ale jednocześnie dystansował się od socjalizmu. Podobnie jak Diana budził w narodzie nadzieję na lepszą przyszłość.

Elżbieta patrzyła z niepokojem na Dianę, słuchała ze zdumieniem — na szczęście nielicznych — głosów domagających się wprowadzenia w Wielkiej Brytanii republiki, załamywała ręce nad dziećmi, które nie potrafiły kierować własnym życiem i broniła monarchii. Gdy 31 sierpnia 1997 Diana wraz ze swoim przyjacielem Dodi Al Fayedem rozbiła się mercedesem w paryskim tunelu, świat Elżbiety po raz kolejny doznał wstrząsu.

Nie lubiła Diany. Po jej śmierci w 1997 roku gazety zaatakowały Elżbietę, zarzucając jej oschłość. Po kilku dniach uników przyłączyła się do narodowej żałoby

„Jesteśmy narodem w stanie szoku, żałoby, smutku” — powiedział nazajutrz po śmierci księżnej zdruzgotany premier Tony Blair. Przez tydzień — od śmierci do pogrzebu księżnej — przed bramami jej domu, pałacu Kensington, czuwały wielotysięczne pielgrzymki zapłakanych Brytyjczyków. Zebrało kilka milionów wiązane kwiatów, a trawniki Kensington Gardens zmieniły się w ciągły jedną noc w kolorowe kobierce. Problem polegał na tym, że jedyną osobą publiczną, która szoku nie okazywała, była teściowa zmarłej.

Ludzie dawali upust swojej rozpaczy i gniewowi, atakując ekipy



JOHN STILLWELL/AP



telewizyjne i wypisując na kartkach hasła pełne nienawiści wobec rodziny królewskiej. To media na spółkę z rodziną uznawano za winnych śmierci idola.

Gdy do czwartku tamtego pamiętnego tygodnia rodzina królewska nie złożyła oficjalnie hołdu księżnej, rozpoczęła się medialna nagonka na Elżbietę. Brytyjczycy nie chcieli wybaczyć królowej, że w chwili gdy naród szlochał, ona trzymała się sztywno królewskiego protokołu. W tygodniu poprzedzającym pogrzeb pałac Buckingham był jedynym budynkiem państwowym w stolicy, nad którym nie powiewała spuszczone do połowy

masztu flaga. Prasa uznała, że Elżbieta lekceważy przy tym nie tylko pamięć synowej, lecz także uczucia milionów własnych poddanych. Wreszcie w piątek Windsorowie ulegli. Królowa wystąpiła w telewizji, mówiąc o swym żalu po stracie synowej.

W gorących dniach września 1997 roku system wartości królowej i jej sposób patrzenia na rzeczywistość zostały poddane najostrejszej krytyce. A jednak skończyło się na strachu — Elżbieta przetrwała i tę burzę.

Dziś, gdy wszyscy zajęli się terrorystami i losem Trzeciego Świata, jej dni „w biurze” są spokojniejsze. Jednak bulwarowa prasa i fotoreporterzy jak zwykle dybią na każdy fałszywy krok rodziny królewskiej. Dlatego po skromnym królewskim śniadaniu w pałacu Buckingham rozpoczyna się medialna „narada wojenna”. Na stole leżą gazety i wycinki z doniesień agencyjnych. Po latach wojny z mediami królowa wie, że to te najbardziej popularne gazety karmiły umysły i wyobraźnię milionów



kwentną matką, udałooby się utrzymać choćby niektóre z małżeństw? Czy mogła nauczyć dzieci większego szacunku dla etosu monarchii i Pałacu, tak by teraz oddać bez obaw w ich ręce choć część obowiązków?

Być może. Jednak siła przyciągania Elżbiety, urok i dramatyczny wymiar jej postaci tkwią w czym innym. W historii jej i rodziny Windsorów odbijają się jak w lustrze przeżycia tysięcy Brytyjczyków i ludzi na całym świecie – losy rozbitych rodzin, zawiedzionych miłości, zdobywanych i traconych fortun, przeżycia zwykłych ludzi i światowych gwiazd wpłatanych w przemiany obyczajowe i polityczne II połowy XX wieku. Elżbieta jako jedna z niewielu osób publicznych była świadkiem

Czerwiec 1970. Żołnierz Gwardii Królewskiej mdleje na oczach królowej podczas zmiany warty przed pałacem Buckingham

Zdecydowanie woli zwierzęta od ludzi. Ma ku temu pewne powody. Psy pogryzły ją tylko raz, a ludzie atakowali o wiele częściej

przeciętnych Brytyjczyków. Codziennie przychodzi ich kilka tysięcy. Królowa czyta kilkanaście.

Mimo 75 wiosen nie marnuje czasu. Modernizuje monarchię. Korzysta z usług fachowców PR. Stworzyła witrynę internetową. Prawdopodobnie odczytując obyczajowe zmiany w narodzie, przed dwoma laty zgodziła się na to, by jej najmłodszy syn Edward zamieszkał bez ślubu w pałacu Buckingham ze swoją narzeczoną Sophie. Dziś są małżeństwem i – odpukać – na razie nic nie wskazuje na to, by mieli się rozstać. Składa wizyty w prywatnych domach, w pubach. Płaci podatki, ogranicza wydatki swoje i rodziny, dopuszcza naród do oglądania jej pałaców. Odwiedza organizacje dobroczynne, szpitale, fabryki, muzea i centra handlowe. Te „oficjalni” wciąż coraz bardziej. W 2001 roku odbyła ich aż 407, ale i tak o ponad 120 mniej niż w roku poprzednim.

Od czasu do czasu w pałacu zjawia się jakiś ambasador albo prezydent na obiedzie. O piątej podwieczorek i herbata (mieszanka indyjsko-chińska R. Twinning & Co), ale bez ciastek – królowa dba o linię. Pod wieczór najważniejszy punkt dnia – karmienie psów. Służba rozściela w komnacie zieloną folię.



Wyścigi konne to jej pasja, ale nie stawia nigdy więcej niż 20 funtów

Wnosi miski z imionami: Pharos, Phoenix, Myth, Kelpie, Fable, Diamond i Spark. Karmę wysypuje uroczyście z dużej misy Elżbieta II. Psy towarzyszą monarchini przez dużą część dnia, a spacer w pałacowych ogrodach z ujadającą sforą 13 ulubieńców (służba ma gotowe ręczniki do wycierania błota z 52 łapek) to dla niej największa frajda. – Bardzo lubi z nimi rozmawiać – potwierdza służba. Królowa niemal nigdy nie traci panowania nad sobą. Jest jeden wyjątek. Nie toleruje ludzi, którzy nadeptują na ogonki leżących psów. Tak przynajmniej twierdzą dworzanie.

Jej biograf Graham Turner uważa, że królowa zdecydowanie woli zwierzęta od ludzi. Być może ma ku temu pewne powody. Psy pogryzły ją tylko raz (potrzebowała trzech szwów), a ludzie zawodzili i atakowali o wiele częściej. Były prywatny sekretarz królowej zdradził Turnerowi pałacową złośliwość: „Gdyby królowa poświęciła wychowaniu dzieci choćby połowę czasu, który spędza na hodowli swoich ulubionych 50 koni, rodzina królewska nie byłaby w takich tarapatkach”.

Czy rzeczywiście, gdyby była bardziej zaangażowana i konse-

czniejsza uczestnikiem najbardziej frapujących historii naszych czasów, choć nikt nie pytał, czy chce w nich uczestniczyć.

W roku swojego Jubileuszu z pewnością nieraz wróci pamięcią do dramatycznego momentu z początków lutego 1952 roku. Król Jerzy VI wrócił z polowania do pałacu Sandringham, zjadł kolację, żartował z żoną i młodszą córką. Poszedł do łóżka wcześniej, bo dochodził do siebie po przebytej operacji. Nazajutrz nie wstał. Elżbieta przy nim nie była. Śmierć ojca zastała ją w środku buszu, w dzin-sach, podczas podróży po Kenii z mężem – księciem Filipem. Obserwowała właśnie nosorożce przy wodopoju. Wkrótce po powrocie do Londynu w wieku zaledwie 25 lat objęła tron.

MAREK RYBARCZYK
autor jest dziennikarzem BBC

Przy pisaniu tekstu korzystałem z kilku biografii Elżbiety II:
• Graham Turner „Royal Biography”, London 2002, fragmenty Daily Mail
• Ben Pimlott „The Queen, Elizabeth II and the Monarchy Jubilee Edition”, Harper Collins 2001
• Nicholas Davies „Elizabeth. Behind Palace Doors”, Mainstream 2000
• Anthony Holden „Tarnished Crown”, Bantam Press 1993

Królowa i podwiązki

Dwa razy do roku, w styczniu i w czerwcu, setki poddanych – od dzielnych strażaków i traktorzystów po gwiazdy rocka i byłych ministrów – otrzymują honorowe tytuły. W roku jubileuszowym wyróżnienie przez królową jest szczególnie cenne

Tytuł może dostać każdy. W tym roku, w styczniu, trafił się grupie Bee Gees, Sade, Benowi Kingsleyowi – odtwórcy roli Gandhiego w filmie Richarda Attenborough – i pułkownikowi Aleksowi Britwistle'owi, który zasłużył się w brytyjskiej wojnie z przyszczycą. Megan McDowell, pracownica konsulatu w Nowym Jorku, pomagała rodzinom brytyjskich ofiar po 11 września, a Margaret Barnes uświadamiała Chińczykom zagrożenia HIV. W tym roku tytuł odebrali też najmłodsza z kiedykolwiek nobilitowanych 19-letnia Michelle Lewis (zebrała na cele charytatywne ponad 1,3 mln funtów) i wzorowy hydraulik Frederick Plumb.

To tylko kilka nazwisk z listy 971 poddanych JKM, którzy dostąpili jako ostatni zaszczytu nobilitacji przez królową Elżbietę II. Zaszczyt tym większy, że odebrany w roku jubileuszu 50-lecia panowania monarchini. Tytuły obejmują około 250 wyróżnień, z których każde ma inną rangę. Nawet to z najniższej półki stanowi jednak gwarancję udziału w ścisłej elicie establishmentu. Ułatwia dostanie awansu i lepszej pensji – choć formalnie żaden z tytułów nie da się przeliczyć na pieniądze.

Najsłynniejsze z obecnych wyróżnień – członka Kawalerów Orderu Podwiązki – zostało ustanowione w roku 1348 przez króla Edwarda III. Podwiązce ustępują rangą: Order Ostu ustanowiony w roku 1725, Łaźni (1725), Zasługi (1902), Św. Michała i Jerzego (1818), Królewski Wiktorjański (1896), Imperium Brytyjskiego (1917). Każdy z nich ma różne stopnie, a zatem do zakonu (order to po angielsku również „zakon”) można wstąpić z różną rangą: od Member (członka), poprzez stopnie określane jako

Officer (oficer), Lieutenant (porucznik), Commander (dowódca), Knight Commander (kawaler dowódca), Dame Commander (dama dowódca) oraz najwyższy Knight (kawaler) lub Dame (dama) of Grand Cross. Prawo noszenia przed nazwiskiem tytułu Sir lub Dame to zaszczyt obejmujący jedynie kawalerów orderów w stopniu Kawalera lub Damy. Każdemu tytułowi odpowiada osobny skrót, na przykład OBE to Officer of British Empire (bez tytułu szlacheckiego), a KBE to Knight of British Empire (z tytułem szlacheckim Sir) itd.

Od roku 1958 na wniosek premiera królowa przyznaje tytuły lordów dożywotnich (life peerage). Tak wyróżnieni Brytyjczycy mają prawo zasiadania i głosowania w Izbie Lordów. Przysługują im – mimo że nie należą do arystokracji dziedzicznej – tytuły lorda i lady. Królowa ma prawo mianowania kawalerów orderu Podwiązki, Zasługi, Ostu i Królewskiego Wiktorjańskiego. Pozostałych wyróżnia premier, jego ministrowie i urzędnicy.

Brytyjczycy co roku ekscytują się składem listy, choć równocześnie mają do niej stosunek lekko ironiczny. Nie brak polityków, którzy chcieliby system radykalnie zreformować, tworząc pozapartyjną komisję wyznaczającą kandydatów do godności. Na razie na reformy się nie zanosi, choć premier Tony Blair częściej od poprzedników nagradza zwykłych ludzi, a nie tylko nomenklaturę urzędniczo-wojskową. Z prawie tysiąca tytułów rozdanych na początku stycznia aż 200 otrzymali nauczyciele, lekarze, pracownicy służb socjalnych i policji. Teraz oni stanowią tytułarną elitę Wielkiej Brytanii.

MR

3-28.02.2002



festiwal Lenicow
w Poznaniu

Wystawa „Alfred Lenica. Retrospektywa” (część I)
Sala Marmurowa Centrum Kultury „Zamek”
ul. Św. Marcin 80/82

Wystawa „Alfred Lenica. Retrospektywa” (część II)
Galeria Miejska „Arsenal”
Stary Rynek 3

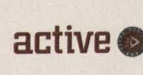
Wystawa „Alfred Lenica. Retrospektywa” (część III)
ABC Gallery
ul. Wroniecka 17

Wystawa „Jan Lenica – Labirynt”
Muzeum Narodowe w Poznaniu
Al. Marcinkowskiego 9

Wystawa „Danuta Lenica-Konwicka. Ilustracja i grafika książkowa”
Galeria „Profil” Centrum Kultury „Zamek”
ul. Św. Marcin 80/82

Przegląd „Filmowy labirynt Jana Lenicy”
Kino „Pałacowe” Centrum Kultury „Zamek”
ul. Św. Marcin 80/82

Patroni medialni



19.

zima sportu

**W Salt Lake City
zaczyna się w tym tygodniu**

Siłą sportu jest prosta odwaga
i wytrwałość, silne nogi i potężne płuca.
O historii zimowych olimpiad opowiada
Bohdan Tomaszewski



Amerykanka Gretchen Morris była jedną z gwiazd II Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Saint Moritz w roku 1928

Francja początku lat 20. Szalone lata. Zapomnieć o krwi przelanej w okopach pod Sommą i Marną! A więc rok 1924 i alpejskie Chamonix, gdzie zorganizowano Tydzień Sportów Zimowych. Startowało niespełna 300 zawodników, wśród nich 13 kobiet. Program obejmował jedynie narciarstwo klasyczne, łyżwiarstwo szybkie i turniej hokejowy.

Zabawnie dziś wyglądają te ubiory i prymitywny sprzęt w porównaniu z obecnymi nartami, długością skoków, szybkością w zjazdach, bezwzględnością walki o krążek hokejowy. W 1924 roku wszystko odbywało się na świeżym powietrzu i nikt nie przypuszczał, że w przyszłości tyle konkurencji rozgrywanych będzie pod dachem.

Polska wysłała małą grupkę narciarzy i łyżwiarza. Drużyna jechała pociągiem trzy dni i spóźniła się na uroczystość otwarcia, ale polską flagę widać było w defiladzie. Ktoś z widzów porwał białą-czerwoną chorągiewkę i wmieszał się w szeregi maszerujących zawodników. Zajmowaliśmy dalekie miejsca albo nie kończyliśmy konkurencji. Jedynie łyżwiarz Leon Jucewicz zajął w wieloboju ósme miejsce.

Trudne zimy Polaków

Jakie były dla nas zimowe olimpiady? Najpierw przez lata po prostu heroiczne, bo dzielnością jest walczyć o to, by nie być ostatnim. Po II wojnie światowej bywały zgoła nieudane.

Mieliśmy już błyskotliwe sukcesy w letnich igrzyskach, ale zimą przez długi czas niewiele nam się udawało. Szarość mimo nieśmiały narodził się.

Wreszcie nadeszły igrzyska częściowego spełnienia oczekiwań, a raz – spełnienia ponad miarę. Złoty medal Fortuny (Sapporo 1972 rok), srebrny – łyżwiarki szybkiej Seroczyńskiej i dwa brązowe łyżwiarki Pilejczykowej (to w Squaw Valley w 1960 roku) oraz Franciszka Gronia w kombinacji norweskiej (Cortina 1956 rok – to był w ogóle nasz pierwszy medal zimowy).

40 razy zdobywaliśmy punktowane miejsca, może najbardziej zwycięskie to piąte w skokach Stanisława Marusarza w Garmisch-Partenkirchen w 1936 roku oraz szóste w slalomie

i czwarte w kombinacji wciąż najlepszego polskiego alpejczyka Andrzeja Bachledy, którego ojciec był mistrzem Polski, a syn po raz drugi jest teraz w reprezentacji olimpijskiej.

Małysz obudził rywali

Dla bardzo wielu ludzi w kraju Salt Lake City – to Małysz. Do niedawna nazbyt wielu rodaków z góry przyznawało mu złoty medal. Rzesze kibiców w wyobraźni widziały go już na olimpijskim podium i słyszały polski hymn. Niechaj w Salt Lake City w ogóle na nim stanie, będą dwa konkursy indywidualne.

Polak obudził rywali, wyzwolił w nich dodatkowe możliwości. „Jak to, ten niepozorny Polak wygrywa z nami jak z dziećmi?! Skoki to była nasza sprawa, Niemców, Finów, Austriaków, często Japończyków” – mówili w sztabach największych potęg i wzięli się do budowania formy na olimpiadę. Zrobiło się ciekawie.

Zwycięzać słabszych – co to za sztuka? Lubię opowiedzieć z czasów antycznych o tym, jak triumfator olimpijski niesiony przez rozentuzjasmowany tłum – dumny i szczęśliwy – słyszy pytanie Diogenesa: „Pokonałeś lepszych czy gorszych od siebie?”. „Jakże? Gdyby byli lepsi, to bym ich nie zwyciężył”. „To dlaczego jesteś taki dumny, skoro pokonałeś gorszych?” – odparł filozof i wrócił do swojej beczki.

Współcześni najwięksi triumfatorzy zimowych igrzysk? Trudny wybór. Bez wątpienia Norweżka Sonja Henje, blondyneczka o zadartym nosku, która w jeździe figurowej była tym dla swojej konkurencji, kim kiedyś w biegach długich byli Nurmi, a później Zatopek. Jej łyżwy kreśliły tak idealny ślad na lodzie, że trzykrotnie zdobyła złoty medal.

W błyskawicznej i zręcznej jeździe na nartach niezapomnianymi postaciami pozostali Austriak Toni Sailer (1956 rok) i Francuz Jean-Claude Killy (1968 rok) – zdobywcy trzech złotych medali na jednej olimpiadzie. Rosjanka Lidia Skoblikowa w wyścigach łyżwiarskich w latach 60. zdobyła sześć złotych medali, narciarska biegaczka z ZSRR Raisa Smietanina startowała pięć razy w igrzyskach i miała łącznie 10 medali – cztery złote, pięć srebrnych, jeden brązowy.

Także biegacz, Norweg Bjorn Dahlie, w latach 1992–1998 wywalczył 12 medali (osiem złotych i cztery srebrne).

Łyżwiarz, Amerykanin Eric Heiden, w roku 1980 w Lake Placid pięciokrotnie był pierwszy na wszystkich dystansach.

W hokeju przez dłuższy czas najpierw królowała Kanada. W 1924 roku strzeliła 132 bramki, tracąc trzy. Z biegiem lat Klonowy Liść przywiązał mocno, potęgą stała się reprezentacja ZSRR, no i ruszyła do boju Czechosłowacja.

Na kilka miesięcy przed Praską Wiosną, w Grenoble w lutym 1968 roku, dodatkowej pikanterii nabrał finał w hokeju, bo ZSRR walczył

z buntującą się już Czechosłowacją. Niesamowity mecz. Słynny sprawozdawca francuski Citron zdarł głos, siedziałem obok i pod koniec jego chrypliwy szept ledwie było słychać w ogłuszającej wrzawie. 5:4 dla Czechosłowacji! Zimą przed swoją Wiosną wydarła złoty medal Związkowi Radzieckiemu.

Drugi niezwykle finał w hokeju to rok 1980 i Lake Placid: ZSRR–USA. Goście z reguły byli najmocniejsi w końcówce. Prowadząc 2:1, raptem przegrali ostatnią tercję 0:2 z Amerykanami. Szybszy pokonał mocniejszego. Z obu stron walka była tak dzielna i ofiarna, że nazwałem wszystkich graczy hokejowymi komandosami.

Moje zimowe wspomnienia

Salt Lake City to XIX Zimowe Igrzyska Olimpijskie. We wszystkich dotychczasowych startowaliśmy. Byłem na pięciu z nich. Często okazywało się to niezbyt radosną pracą. Stanowiliśmy tło dla innych. Oczy trzeba było kierować przede wszystkim na znakomitych olimpijczyków z innych krajów.

Kilka wspomnień. Grenoble. Piękne otwarcie. Prezydent de Gaulle w honorowej łóży, niemal ojcowski mimo żołnierskiej postawy

i marsowej miny. Znicz zapalał francuski łyżwiarz figurowy Calmat. Gdy wbiegał po stopniach z pochodnią, cały świat słyszał bicie jego serca. Pomysłowi organizatorzy po raz pierwszy zastosowali taki trik. Głęboka cisza i tylko bicie serca. Niestety, z jakichś przyczyn technicznych w ogóle nie doszła do skutku transmisja dla Polskiego Radia. Przeżyłem kilka godzin udręki przed martwym mikrofonem.

Ale potem był slalom i start Andrzeja Bachledy. Zawodnicy jechali w gęstej mgle, wyłaniali się raptownie z białych tumanów i widać ich było dopiero wtedy, gdy atakowali ostatnie bramki. Bachleda zajął szóste miejsce, a wygrał Francuz Killy.

Jednak najwspanialsze wspomnienie to triumf Fortuny w Sapporo na skoczni Okurayama. Faworytami byli Japończycy, ale w pierwszej serii Polak poleciał bardzo daleko. Było cicho, tylko szum wiatru i jakiś świst. Z trybun podniósł się wielki krzyk, a on trzymał ręce ponad głową i bił sobie brawo. Zdecydowanie prowadził.

W przerwie gorączkowa dyskusja. Trener mówił, żeby teraz nie ryzykował, bo ma szansę na brązowy medal.

– I co teraz, panie Wojtku? – zapytałem.



Jean-Claude Killy – legenda francuskiego narciarstwa. W Grenoble w 1968 roku zdobył trzy złote medale



Odśnieżanie lodowiska na olimpiadzie w Garmisch-Partenkirchen w 1936 roku

- Chcę zdobyć złoty medal - odpowiedział, poprawił czapkę i odszedł. Zaryzykował i źle skoczył, ale innym, choć atakowali z rozmachem, też nie udało się skoki. Tylko paru zbliżyło się niebezpiecznie. W końcu wygrał ze Szwajcarem Steinerem o jedną dziesiątą punktu.

Coraz więcej szaleństwa

Świat zmienia się, jakby oszalał - terroryzm, upadek obyczajów, krwawe obrazy, którymi rozkoszuje się telewizja. Zmieniają się też olimpiady. Kiedyś wzbogacano ich piękno skromnie, ale dostojnie. Przysięgę olimpijską przyjmował zdobywca bieguna, amerykański komandor Richard Byrd (igrzyska w 1932 roku). Ostatnim



Wojciech Fortuna w Sapporo w roku 1972
Jedynie polskie złoto na zimowej olimpiadzie

Moim zdaniem najpiękniejsze ceremonie miały miejsce w Calgary. Kanadyjskie igrzyska w 1988 roku stały się triumfem powszechnego uczestnictwa. Wszyscy mieszkańcy miasta przyszli pomagać swojej olimpiadzie jako ochotnicy. Mniej ważne stały się barwy, jakie nosili zawodnicy, i miejsca, które zajmowali. Amatorsko skaczący narciarz z Anglii, będąc na szarym końcu, wzbudził sympatię i aplauz. Na zakończenie odbył się zbiorowy taniec mieszkańców Calgary na stadionie. Nie czuło się reżyserii.

Jednak - powtórzmy - niektóre inne ceremonie zaczęły usuwać w cień sam sport, bo wdarła się do nich potężna reklama i coraz obfitszy strumień pieniędzy. Więcej jest emocji, przyszłość



Start wyścigu bobslejowego na olimpiadzie w Garmisch-Partenkirchen w roku 1936

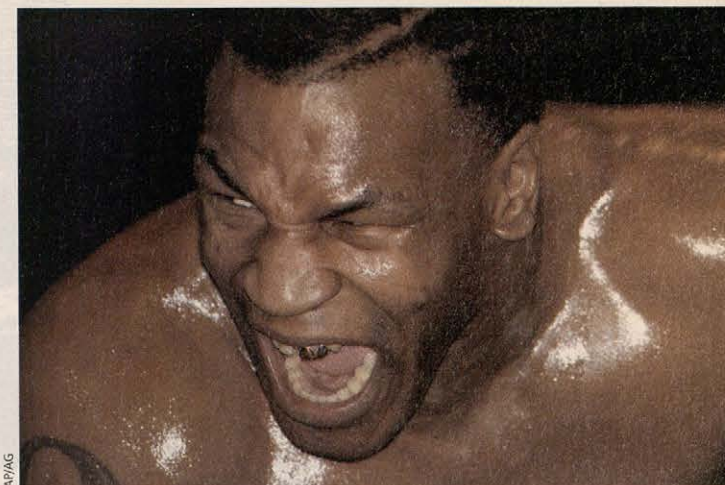
biegaczem sztafety ze zniczem był 19-letni Egil Nansen - wnuk badacza polarnego Fridtjofa Nansena (igrzyska w 1952 roku). Przyjdą czasy, że zamiast dostojności otwarcia i zamknięcia igrzysk coraz częściej oglądać będziemy pokazy sztucznych ogni i arcykosztowne spektakle, mające wzbogacić treść sportu elementami zaczerpniętymi z historii lub sztuki. A siłą sportu jest prosta odwaga i wytrwałość: morderczy wysiłek narciarzy maratończyków biegnących 50 kilometrów, stukilkudziesięciometrowy skok w przerażającą otchłań, silne nogi i potężne płuca łyżwiarzy pochylonych w biegu.

i zysku. Na początku rozgrywano kilkanaście konkurencji. W Nagano było ich już 68. W Salt Lake City będzie 78. Nowe, coraz bardziej karkołomne, niosące ze sobą wzrastające zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia zawodników. Tego oczekują teraz ludzie.

I to właśnie część szaleństwa współczesnego świata, które nie ma wiele wspólnego z pełnymi radości szalonymi latami 20., kiedy we francuskim Chamonix w 1924 roku odbyła się pierwsza zimowa olimpiada.

BOHDAN TOMASZEWSKI

Szaleństwo Mike'a Tysona



Mike Tyson to bardzo zły człowiek. Bił swoją piękną żonę Robin Givens, w roku 1991 poszedł na trzy lata do więzienia za gwałt na 18-letniej Desiree Washington, w 1999 pobił kierowcę, starszego pana, który wyprzedził go niezgodnie z przepisami, pięć lat temu odgryzł ucho Evanderowi Hollyfieldowi. Lubi Kubę i Fidela Castro, był tam ostatnio na sylwestra - pobił dziennikarzy.

Lubi gryźć - dwa tygodnie temu na konferencji prasowej w Nowym Jorku ugryzł w nogę mistrza świata Lennox'a Lewisa. Potem bronił się, twierdząc, że sprowokował go ochroniarz mistrza. Lewis pokazywał ślady po zębach Tysona w telewizji. Aż strach pomyśleć, co by się działo, gdyby stanęli naprzeciw siebie w ringu.

Lubi gwałcić - cztery miesiące temu zgwałcił 50-letnią kobietę z Las Vegas. Chociaż to wcale nie jest pewne. Ona twierdzi, że zgwałcił, on mówi: „Nie jestem Matką Teresą, ale nie jestem też Charlesem Mansonem”.

Nie, Mike Tyson nie jest bardzo złym człowiekiem. To wspaniały bokser. Następca Muhammada Ali. Skrzywdzony przez los. W więzieniu studiował Shaw'a, Tołstoja, Voltaire'a. Przeszedł na islam. - Pani mnie nie zna - mówił w ubiegły wtorek w Las Vegas dziennikarce Amy Ayoub. Nie chciała uwierzyć, że Tyson ze swoimi 200 milionami dolarów na koncie to ofiara losu. - Pani nic o mnie nie wie - odpowiadał Tyson. - Pani nie zna horroru mojego życia. Pani nie wie, czy jestem ofiarą, czy nie.

Nikt nie wie. Pamiętacie tę policjantkę, która, gdy pobił starszka za kierownicą, opowiadała

na obronę Tysona, w jakich warunkach wychowywał się na nowojorskim Brooklynie? Mówiła o szczurach w mieszkaniu i handlarzach, którzy rozdawali dzieciom na osiedlu narkotyki. Nie mówiła, że jego brat wychowany w tych samych warunkach wyjechał do Kalifornii, skończył studia i został farmaceutą.

W zawodowych zapasach, tak zwanym wrestlingu, zawodnicy znają scenariusz walki. Wiedzą, kiedy kto komu ma przyłożyć, kto jak ma się podłożyć. Wiedzą, kiedy publiczność będzie się śmiała, a kiedy zadrży z przerażenia. W zawodowym boksie też jest scenariusz, inaczej mówiąc - kontrakt. W jego ramach uczestnicy walki spotykają się przed zawodami, obrzucają wyzwie-

Nie będzie walki Lewis - Tyson w Las Vegas. Komisja sportu stanu Nevada odrzuciła prośbę Tysona o przywrócenie licencji bokserkiej. I co teraz? Przecież zawodowy boks bez Szalonego Mike'a nie ma sensu

skami, czasami dochodzi do przepychanek. Wszystko dzieje się na niby, jak w wrestlingu.

Chyba że walczy Mike Tyson. On się nie zna na żartach. On wszystko robi na poważnie. Na konferencji w ubiegły wtorek w Las Vegas ktoś zapytał go, czy pomagają mu środki na opanowanie agresji, które przepisał mu lekarz. - Nie biorę - brzmiała odpowiedź. Chyba rzeczywiście nie bierze. Kilka miesięcy temu poszedł do lekarza i ten uderzył go takim małym gumowym młoteczkiem w kolano. Mike'owi młoteczek się nie spodobał. Lekarz wychodzi ze szpitala pod koniec lutego.

Kiedyś był Żelazny Mike - mistrz świata w latach 1987-1990. Najmłodszy czempion w historii boks. Zdobył tytuł jako 20-latek i nie miał sobie równych. Dziś jest Szalony Mike. Nie wiadomo, co lepsze. W zawodowym boksie nie ma przecież nic cenniejszego niż szalenie, który nie boi się obnażyć przed milionami widzów. Reality TV w czystej formie. W ubiegłym tygodniu w Las Vegas show się zaczął. Czy będzie ciąg dalszy?

Lewis podobno nie chce. Ma już dość tego cyrku z Tysonem. Lennox Lewis jest bardzo dobrym człowiekiem. Bije się tylko w ringu, jest łagodny, kocha mamę i tatę, i swoje trzy ojczyzny - Jamajkę, gdzie mama i tata mieszkają, Kanadę, gdzie

się wychował, i Wielką Brytanię, gdzie się urodził. Niestety, Lennox, jak na wymagania komercyjnej telewizji, jest trochę za bardzo - by tak rzec - introwertyczny. Znaczący się - mało mówi, a jak mówi, to wolno. Tyson jest mu potrzebny. Bardziej niż on Tysonowi. A obaj potrzebni są zawodowemu boksowi i wszystkim, którzy na nim zarabiają.

Orzeczenie komisji w Nevadzie nie kończy sprawy. Walka Lewis - Tyson może się odbyć już w kwietniu w kilku innych stanach USA albo za granicą. Jeśli do niej dojdzie, stawka będzie ogromna. W Las Vegas mieli walczyć za 40 milionów

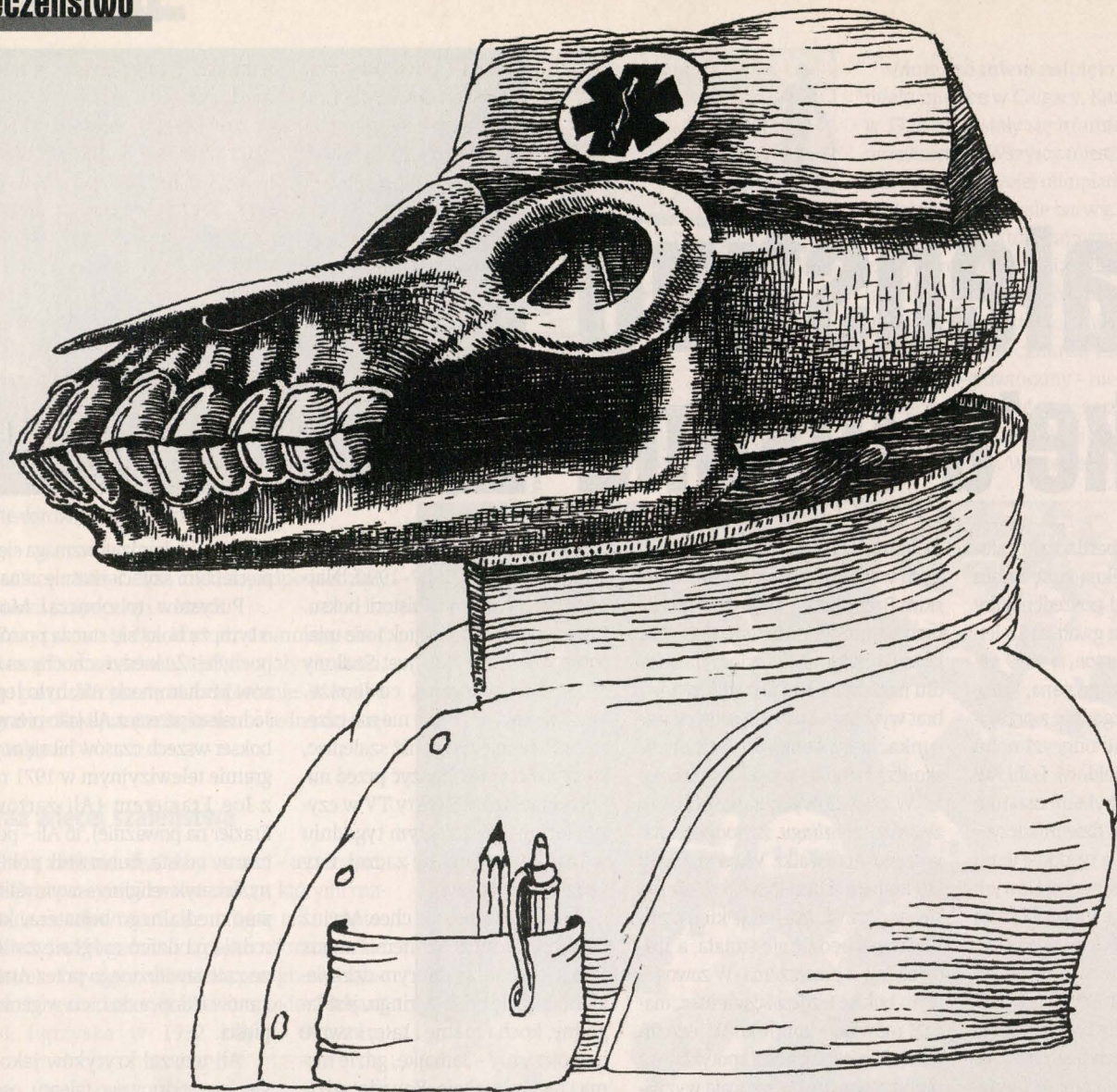
dolarów, im bardziej wzmaga się napięcie, tym szybciej rośnie cena.

Purystów to oburza. Mówią o tym, że boks się stacza po równi pochyłej. Że kiedyś, choćby za czasów Muhammada Ali, było lepiej. Jednak to przecież Ali jako pierwszy bokser wszech czasów bił się w programie telewizyjnym w 1971 roku z Joe Frazierem (Ali żartował, Frazier na poważnie), to Ali - poeta, czarny rasista, buntownik polityczny, fanatyk religijny - wymyślił postać medialnego bohatera, który z dnia na dzień mógł się zmienić ze znienawidzonego przez Amerykanów chłopca do bicia w geniusza pięści.

Ali uciszał krytyków jakością swojego sportowego talentu, osobowością i determinacją. Jednak to on przetrwał szlak dla bokserów typu Tysona. Szlak, który nigdy się nie kończy, bo nigdy nie zabraknie chętnych do tłuczenia kasy na boksie ani tych, którzy chcą za oglądanie boksu płacić.

Nie jest też prawdą, że zawodowy boks nie może upaść niżej. Nigdy - nawet na początku - nie stał wysoko. Zawsze, nawet w roku 1865, gdy ósmy markiz Queensberry ustalał reguły sportowej jatkki na pięści, chodziło o to, by bogaci, znudzeni życiem mężczyźni mogli popatrzeć na nędznych, ogołoconych z marzeń analfabetów tłukących się nawzajem po pyskach. Ameryka uczyniła z tego show-biznes i ze swojego tworu nie zrezygnuje. Każdy, kto sądzi inaczej, niech zada sobie pytanie, ile razy kariera Mike'a Tysona kończyła się i odradzała na nowo.

DARIUSZ ROSIAK



Lekarzu, ulecz się sam

TEKST JAKUB MIELNIK • RYSUNKI TOMASZ DANIEC

Handel zwłokami to nie tylko łódzka specjalność. W wielu krajach są lekarze, dla których pacjent to „skóra”, a żaden pieniądz nie śmierdzi

Małą Kayleigh pochowano kilka razy. W ubiegłym roku, po dziewięciu latach od jej śmierci, okazało się, że większość narządów jej czteromiesięcznego ciała zachował liverpoolski szpital Alder Hey, w którym umarła. Rodzice Kayleigh nie zgodzili się ani na sekcję zwłok, ani na pobranie narządów, które mogłyby być wykorzystane przy przeszczepach. Mimo to lekarze usunęli z ciała dziecka serce, płuca, a nawet narządy rodne. Zabezpieczone organy wylądowały w słojach w szpitalnym magazynie. Nikt naturalnie nie pytał o zgodę ani nie zadał sobie trudu poinformowania o tym rodziny. – Byliśmy w szoku, gdy uświadomiliśmy sobie, że pochowaliśmy właściwie tylko szkielet naszej córeczki – mówili rok temu rodzice Kayleigh, przygotowując się do kolejnego pogrzebu tego, co z niej zostało. Proceder ujawniła rutynowa kontrola w klinice Alder Hey. Okazało się, że w magazynach szpitala zgromadzono tysiące organów.

Kolekcjonerzy ludzkich kawałków

Wieści z Liverpoolu wywołały w Wielkiej Brytanii prawdziwy szok. Zakrojone na szeroką skalę dochodzenia wykazały, że placówki medyczne przechowują ponad sto tysięcy organów pobranych od zmarłych dzieci bez wiedzy ich rodzin. Trzy lata wcześniej media zwróciły uwagę na wysoką śmiertelność wśród niemowlaków operowanych w szpitalu w Bristolu. Przy okazji tej afery – przez dłuższy czas tuszowanej zresztą przez środowisko medyczne – ujawniono, że pobrane od zmarłych dzieci organy trafiały do liverpoolskiego szpitala Alder Hey. Proceder był tolerowany przez dziesiątki lat. 40 lat temu w Alder Hey zmarł syn państwa Grines. Przechowywane w klinice organy znaleziono dopiero w ubiegłym roku. – W 1961 roku śmierć kilkumiesięcznego Keitha była dla mnie szokiem, teraz szpital zwraca nam jego serce i płuca, a kosztmar zaczyna się na nowo – mówiła BBC Annette Grines, matka jednego z małych pacjentów szpitala w Liverpoolu.

Policja ustaliła, że klinika Alder Hey w tym mieście i Szpital Księżnej Diany w Birmingham nie tylko kolekcjonowały organy zmarłych dzieci, lecz także handlowały narządami nielegalnie pobranymi od żywych pacjentów. Przy okazji planowych operacji lekarze, działając bez wiedzy rodziców, usuwali też dzieciom gruczoły grasicy, które sprzedawano potem firmom farmaceutycznym prowadzącym badania nad nowymi lekami.

Brytyjskie szpitale regularnie narzekają na niedofinansowanie, więc reakcją niektórych lekarzy na ujawnienie skandalu w Liverpoolu i Birmingham było oskarżanie rządu o brak dotacji, a mediów – o organizowanie nagonki.

Na marginesie skandalu łódzkiego w podobnym tonie wypowiada się Konstanty Radziwiłł, prezes Naczelnej Izby Lekarskiej. – Rozmach nadany sprawie przez opiniotwórcze media w Polsce to zastona dymna – mówi dr Radziwiłł. – Sprzedaż informacji o zgonach zakładom pogrzebowym jest, owszem, dyskusyjna z etycznego punktu widzenia, ale umówmy się, nikomu krzywda się nie dzieje.

Innego zdania byli zapewne krewni zmarłych, których ciała sprzedawali sanitariusze i lekarze z Łodzi. Nie bez kozery w żargonie pracowników łódzkiego pogotowia pojawił się termin „skóra”. Oznacza on najwyraźniej kogoś, kto nie jest traktowany jak człowiek. Podobnie jak dzieci z brytyjskich szpitali, które lekarze uznali nie za zmarłych ludzi, lecz za zbiór organów gotowych do zamarynowania w słojach. – Umarły człowiek był zawsze jakimś tabu. Teraz tabu zastąpiła „skóra” – uważa Barbara Skarga, profesor filozofii z Warszawy. – W różnych epokach upadały różne tabu, teraz wygląda na to, że upada tabu śmierci.

Lekarze dalecy są od formułowania podobnych sądów. – Miliony lekarzy na świecie sumienie nie wykonują swojej pracy, nie można uogólniać na podstawie wybryków jednostek – mówi Konstanty Radziwiłł.

Jednak coraz więcej pracowników służby zdrowia ulega w ostatnich latach pokusie łatwego zarobku, nawet za cenę

łamania prawa i powodowania ludzkiego nieszczęścia. Podobne jak w Polsce praktyki skupowania od lekarzy i sanitariuszy ludzkich zwłok przez firmy pogrzebowe zdarzają się w Czechach i Bułgarii, handel organami bez zgody rodziny zmarłego dawcy to również nie tylko brytyjska specjalność.

Najważniejsze – zarobić

W roku 1999 brazylijski pielęgniarz Isidoro Guimares przyznał się do uśmiercenia pięciu pacjentów, których ciała sprzedał potem zakładom pogrzebowym. Dwa lata później brazylijska policja zatrzymała dr. Anisio Ferreire de Souse pod zarzutem spowodowania śmierci 13 dzieci, których organy sprzedano potem klinikom transplantologicznym.

Handel kwitnie. W ubiegłym roku prasa rosyjska pisała o kupowaniu organów od dawców w republikach nadbałtyckich. Według gazety „Nowoje Wriemia” odbiorcami byli

pacjenci izraelskiego Centrum Medycznego im. Beylinsona, a część kosztów operacji przeprowadzanych na przykład w Estonii miała być pokrywana przez izraelską służbę zdrowia. Śledztwo w sprawie nielegalnej działalności szefa ośrodka dr. Zaka Shapiro umorzono.

W Chinach, które są na świecie głównym źródłem nielegalnie pozyskiwanych organów ludzkich, obowiązuje rządowa instrukcja o wykorzystywaniu ciała i organów przestępców skazanych na karę śmierci. W czerwcu ubiegłego roku proceder ten opisał chiński lekarz wojskowy Wang Guo-ji. Sam zajmował się pobieraniem organów od co najmniej setki straconych. Przed egzekucją wstrzykiwał im środek zapobiegający krzepnięciu krwi, a tym samym wstrzymujący obumieranie narządów po egzekucji. – Daty egzekucji ustala się z biorcami, a kaci są instruowani, aby strzelać niecelnie, tak aby skazani żyli jeszcze w czasie pobierania narządów – mówił

komisji amerykańskiego Kongresu lekarz ubiegający się o azyl w USA.



Amerykanin Jim Cohen nazywa siebie międzynarodowym koordynatorem do spraw transplantacji, choć policja podejrzewa go o to, że sprzedaje organy chińskich skazańców. Swoim klientom oferuje znalezienie dawcy w ciągu miesiąca i operacje w klinikach w Singapurze lub na Filipinach, gdzie znacznie łatwiej dostarczyć chińskie nerki czy rogowki. Policji nie udało się jednak Cohenowi niczego udowodnić. Pod koniec lat 90. „międzynarodowy koordynator” spędził co prawda pół roku w włoskim więzieniu, jednak udało mu się wywinąć od odpowiedzialności za handel ludzkimi organami. Jego prawnicy udowodnili, że ich klient jedynie... poznawał ze sobą ludzi zainteresowanych operacją.

Można oczywiście przyjąć, że proceder ten to specyfika panującego w Chinach reżimu i niewiele ma wspólnego z cywilizacją, w której lekarzy obowiązuje przysięga Hipokratesa. Jednak to niektórzy zachodni transplantolodzy napędzają rynek, na którego potrzeby pracują w Chinach łowcy organów. Centrum Medyczne Uniwersytetu Nowojorskiego infor-

muje o wzrastającej liczbie pacjentów, którzy po powrocie z Chin zgłaszają się, aby kontynuować kuracje po przeszczepach. W trosce o zyski nikt nie pyta o los dawców. – Skandale z lekarzami w roli głównej nie zależą od systemu politycznego ani pieniędzy przeznaczanych na potrzeby służby zdrowia – mówi dr Zbigniew Stawrowski zajmujący się filozofią polityki w Polskiej Akademii Nauk. – To skutek erozji podstaw cywilizacji, według której życie ludzkie jest najwyższą wartością. Dziś nie wystarczy po prostu być człowiekiem, żeby twoje życie było bezcenne.

To histeria niszczy etos?

– Powierzając lekarzom swoje zdrowie i życie, przywykliśmy przypisywać im jakieś wyjątkowe przymioty moralne i etyczne, tymczasem to są zwykli, niczym nieróżniący się od nas ludzie – mówi dr Zbigniew Stawrowski.

A jednak sami lekarze nie chcą, by ich zawód traktować jak każdy inny sposób zarobkowania. – To niezwykła profesja, jej etos jest bardzo silny i zachowuje coś z kapłaństwa

– mówi prezes Radziwiłł. – Niestety, histeria, jaka zapanowała ostatnio, nie służy utrzymaniu tego etosu.

Reakcja obronna dr. Radziwiłła również nie jest niczym szczególnym. Lekarze na całym świecie korzystają z hermetyczności swojego środowiska, która niekiedy obraca się przeciwko uczciwym przedstawicielom zawodu. Prof. van Velzen, który z upodobaniem nielegalnie magazynował dziecięce narządy, odchodził kolejno z klinik w Hadze i Liverpoolu, a przełożeni za każdym razem tuszowali sprawę. Gdy brytyjskie media to nagłośniły, van Velzen kontynuował swój proceder w szpitalu w Kanadzie. Dopiero tamtejszy sąd skazał go na rok więzienia w zawieszeniu.

W Polsce środowiskowa solidarność lekarzy powoduje, że w praktyce nie wypowiadają się oni publicznie o korupcji w służbie zdrowia, a ukaranie lekarza za popełnienie błędu w sztuce należy do rzadkości. Według danych Stowarzyszenia Pacjentów „Primum Non Nocere” w latach 1998–1999 rzecznicy odpowiedzialności zawodowej umarzali odpowiednio 90 i 75 proc. skarg

zgłaszanych przez pacjentów. Lekarze twierdzą, że większość skarg jest bezzasadna lub niemożliwa do udowodnienia. – To publikacje prasowe napędzają histerię – powtarza dr Radziwiłł.

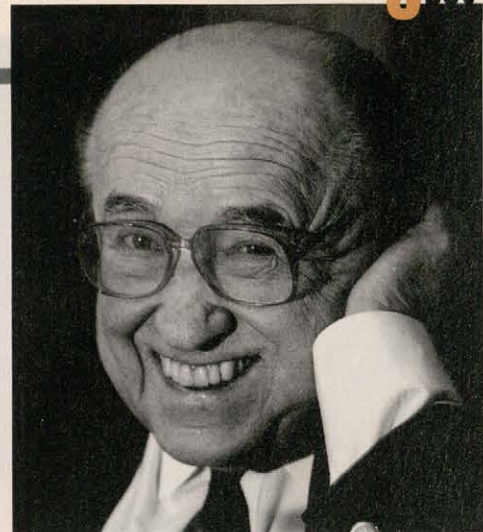
W Wielkiej Brytanii po ujawnieniu afery z dziecięcymi organami czołowe kliniki dokonujące transplantacji skarżyły się, że przez kilka tygodni nie zgłosił się do nich żaden dawca. Wywołało to jednak zdecydowaną reakcję władz. – Służba zdrowia musi przestać działać jak sekretnie stowarzyszenie w stylu masonerii – mówił brytyjski minister zdrowia Alan Millburn. Dziś przed podobnym dylematem stoją lekarze w Polsce, którzy muszą sobie odpowiedzieć na pytanie, gdzie przebiega granica zawodowej solidarności. Zwłaszcza że ostatnie wydarzenia w Łodzi pokazały, iż w Polsce erozji ulega podstawowa zasada, na której opiera się współczesna służba zdrowia w każdym kraju – zasada zaufania do lekarza i wiary, że jego celem jest pomoc choremu.

JAKUB MIELNIK
Współpraca
ANNA TARNOWSKA



Osadczuk

Ihcy wśród swoich



ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER

Euro,

czyli ostatnia deska ratunku

Trzymam w ręku plik banknotów oraz kilka błyszczących monet nowej waluty euro i nie wiem, czy mam się cieszyć, czy martwić. W podobny sposób reagują też inni Europejczycy, zwłaszcza ci, którzy nie w pełni podzielają optymizm polityków i bankierów z 12 krajów nowej unii gospodarczej i walutowej. Jest to zresztą optymizm zawodowy i celowy – dla pokrzepienia serc użytkowników nowego pieniądza i wzmocnienia kursu euro w stosunku do amerykańskiego dolara.

U niektórych Niemców i Francuzów można spostrzec odruchy nostalgii po marce czy franku. Zwłaszcza w niemieckim społeczeństwie, dla którego *Deutsche Mark* była obiektem niemal religijnego kultu, symbolem cudu gospodarczego i pierwszego w historii tego kraju powszechnego dobrobytu. Kult franka miał inne podłoże, mniej materialne, a bardziej narodowo-tradycyjne. Francji zależało na zniknięciu konkurencyjnej waluty niemieckiej, ponieważ zmuszała Paryż do kolejnych dewaluacji franka.

Formalnie decyzje o utworzeniu wspólnej waluty europejskiej zapadły na konferencji Unii Europejskiej w Maastricht w 1992 roku, ale zrzęby tego planu istniały już wcześniej w postaci idei finansowanych przez byłego prezydenta Francji Valéry'ego Giscarda d'Estaing i ekskanclerza Niemiec Helmuta Schmidta. Ostateczną decyzję podjęli prezydent Francji François Mitterrand i kanclerz Niemiec Helmut Kohl na poufnym spotkaniu, którego celem było uspokojenie obaw Francji przed potęgą zjednoczonych Niemiec. Chodziło o pełniejsze włączenie powiększonego państwa niemieckiego do wspólnoty europejskiej.

Rozpatrując z tego punktu widzenia wprowadzenie jednej waluty, należy stwierdzić, że operacja się udała. Jednak patrząc na rolę Europy w zmieniającej się polityce globalnej, nie można mieć pewności, że euro przyczyni się do stabili-

zacji gospodarki i wzmocnienia politycznego autorytetu Starego Kontynentu. Niepewność wynika z wielu względów. Z historycznego doświadczenia wiemy, że wspólna waluta może istnieć tylko przy sprzyjających warunkach politycznych, to znaczy ujednoliceniu przepisów prawnych i finansowych, bankowości, usunięciu barier konstytucyjno-ustrojowych. Tymczasem Unia Europejska składa się z kilkunastu państw, z których żadne nie dąży do utworzenia federacji.

Biedna Europa. Celebryje swoją radość z udanego wprowadzenia wspólnej waluty, ale nie zauważa, że w tym samym czasie stopniowo staje się peryferią globalnej sceny politycznej

Mamy wspólny pieniądź i całą gamę rozmaitych interesów narodowych.

Jednak nawet jeśli nowa waluta przyczyniła się w ciągu następnych lat do pogłębienia integracji, nie jest wcale wykluczone, że Europa znajdzie się na marginesie przemian w światowym układzie sił. To spychanie Europy na bok ma miejsce od owego apokaliptycznego 11 września 2001, który skończył erę amerykańskiej wiary w nienaruszalność i bezpieczeństwo terytorium USA. Wypowiadając wojnę światowemu terroryzmowi, Waszyngton postawił na koalicję państw odrzucających zarówno kolektywizm ONZ, jak i NATO, nie mówiąc już o Unii Europejskiej. Unia, mimo konwulsyjnych prób włączenia się do akcji antyterrorystycznej, pozostała na zupełnej peryferii. Politycy z centrali brukselskiej, jak Prodi czy Solana, zniknęli z pola podejmowania decyzji.

Może najbardziej jaskrawym fenomenem zachodzących zmian stało się ograniczenie roli NATO. Przejście prezydenta Rosji Władimira Putina na stronę Ameryki unicestwiło wymarzoną przez liderów Niemiec i Francji rolę pośredników pomiędzy Rosją a Waszyngtonem. Stali się po prostu niepotrzebni. Dla tradycyjnie myślących polityków natowskich i europejskich dzieją się rzeczy niepojęte. Ameryka liczy w wojnie z terroryzmem głównie na Wielką Brytanię, oddaje kierownictwo sił

porządkowych najpierw Anglikom, potem Turkom, ignorując Francuzów i Niemców, a prezydent Bush jedyną wizytę zagraniczną w toku kryzysu składa w Chinach. Biedna Europa.

Dobrze, że znalazł się choć jeden polityk, który odkrył niebezpieczeństwo zepchnięcia naszego regionu geopolitycznego na peryferie nowego cyklu strategii USA i zwołał do Warszawy konferencję polityków Europy Środkowo-Wschodniej. Inicjatywa prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego wciąż jeszcze nie została do głębi przemysłana i należyście oceniona zarówno w Polsce, jak i wśród jej sąsiadów. Najwyższy na to czas.

BOHDAN OSADCZUK

Autor jest ukraińskim historykiem i publicystą mieszkającym w Berlinie. Współpracował m.in. z paryską „Kulturą”. W zeszłym roku otrzymał Order Orła Białego



RZECZPOSPOLITA BABSKA

W środku patriarchalnych Chin żyje lud rządzony przez kobiety. Instytucja ojca jest tu nieznana

JAKUB MIELNIK, EWA BULANDA

Za lasami, za górami jest cudowna dolina, gdzie kobiety biorą sobie do łóżka tego, na kogo im tylko przyjdzie ochota. Gdy pan Zhang-hui się o tym dowiedział, niewiele myśląc, spakował tobołek i ruszył przed siebie w poszukiwaniu krainy marzeń. Powędrował krętą górską drogą do wioski Dazhu na pograniczu Syczuanu i Tybetu. Jeszcze sześć lat temu tej drogi w ogóle nie było i do najbliż-

szego chińskiego miasteczka szło się okrążyć tydzień. Teraz wreszcie jest droga. Wprawdzie wąska i kręta, ale wystarczająco dobra, by autobus pokonał ją w dwa dni, a to już w miarę rozsądny wymiar czasu. Cóż znaczą dwa dni wysiłku i niewygód, jeśli u celu podróży czeka na strudzonego wędrowca erotyczne eldorado pełne gotowych na wszystko kobiet?

Jednak pan Zhang-hui srogo się zawiódł, gdyż rzeczywistość nie jest w Dazhu tak atrakcyjna. – Wolno nam się spotykać, z kim tylko chcemy, ale wbrew temu, co powiadają Chińczycy, większość z nas przez całe życie ma stałych partnerów – mówi 23-letnia Aka-dama z ludu Mosu.

Tym ludem rządzą kobiety, a tutejsze dzieci nie mają ojców. To absolutny paradoks – w środ-

ku ultrapatriarchalnych Chin żyje społeczność od wieków oparta na matriarchacie.

W Państwie Środka narodzony syn to święto, a córki kłopot. – Kobieta to rozlana woda – pan Zhang przywołuje stare chińskie porzekadło. Jeszcze do niedawna w biednych rejonach, gdzie chłopci ledwo wiążą koniec z końcem, na porządku dziennym było uśmiercanie nowo narodzonych

dziewczynek. Dziś wiele się zmieniło, ale ciągle jeszcze zdarza się, że ojcowie sprzedają córki każdemu, kto za dobrą cenę zechce uwolnić rodzinę od kłopotliwego balastu.

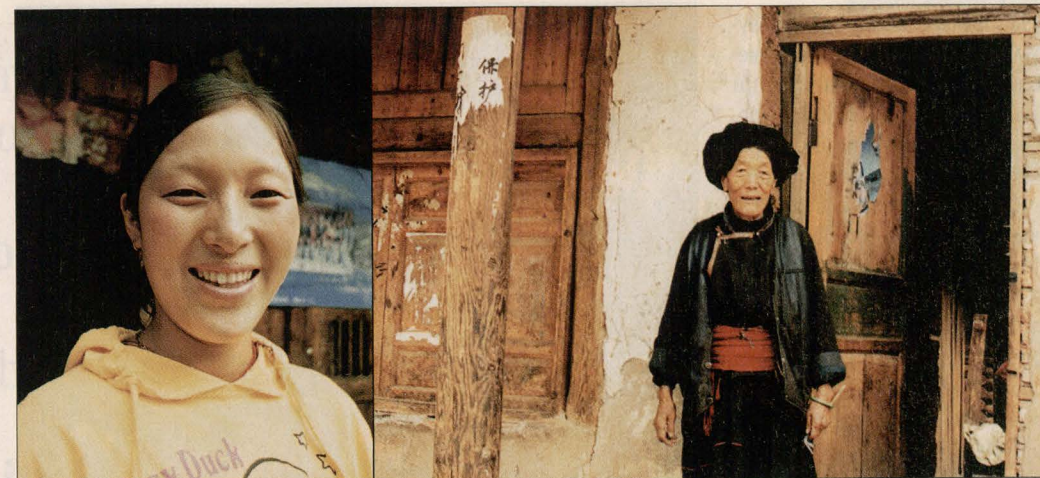
Dolina zamieszkiwana przez lud Mosu jest zdumiewającą enklawą. – My nie pochodzimy z Chin, my przyszlismy stamtąd – mówi Aka-dama, wskazując palcem w górę, nie wiadomo – w stronę nieba czy piętrzących się na horyzoncie szczytów wschodniego Tybetu.

Aka-dama jest osobą bywałą w świecie. Jako jedna z pierwszych w swojej wiosce skorzystała z wybudowanej przez Chińczyków drogi. Odwiedziła Pekin, pracowała w Kunming, stolicy prowincji Yunnan. Tam chciał się z nią ożenić pewien bogaty kupiec, jednak odmówiła mu i wróciła do domu. – Bo oni bardzo źle traktują kobiety – tłumaczy.

Aka-dama właściwie nie ma ojca. Jest wręcz zażenowana pytaniem o niego. I to nie dlatego, że jest sierotą. Wśród mieszkającego w dolinie ludu Mosu obowiązuje zasada, że dawca nasienia i wychowujący dziecko to dwie różne osoby.

– W twoim kraju ojcem nazywałbym tego człowieka – mówi, wskazując obojętnie na przechodzącego drogą mężczyznę. Kiedyś, dawno temu, przychodził na noc do jej matki. Gdy Aka-dama się urodziła, zgodnie z panującym tu zwyczajem zajęli się nią bracia matki, wychowując jak własną córkę. Naturalny ojciec zostawiał czasami jakiś podarunek dla małej, ale większość życia spędzała w domu własnej matki, pracując i zajmując się dziećmi swoich sióstr. Gdy Aka-dama miała kilka lat, jej matce znudził się biologiczny ojciec dziewczynki i po prostu przestała go wpuszczać do swojego pokoju.

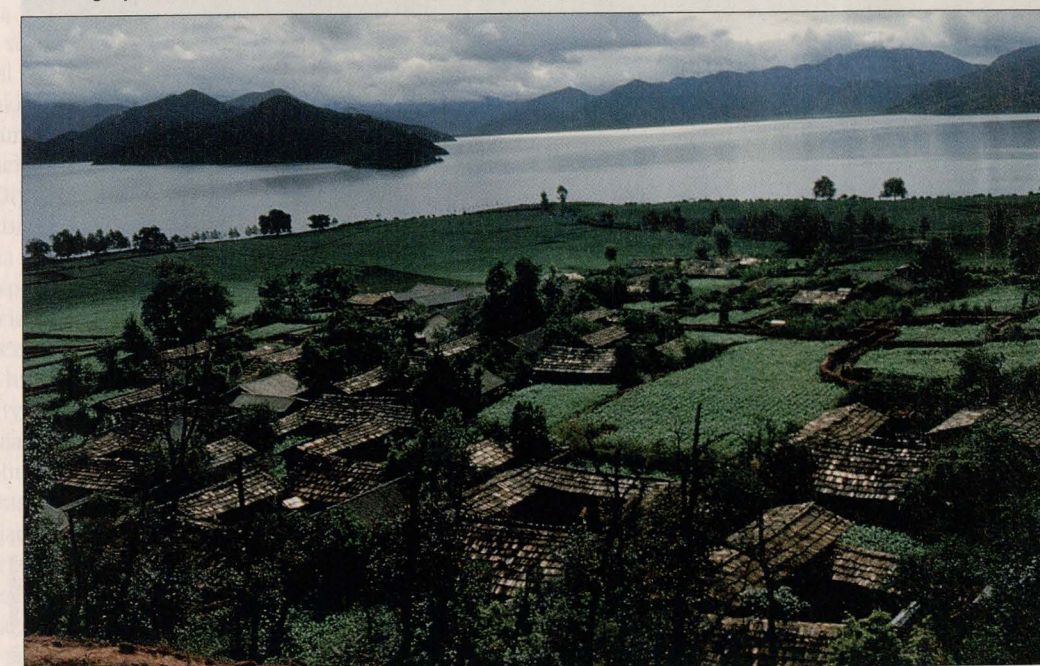
Wychował ją wuj, podobnie zresztą jak dwoje jej rodzeństwa. Sam spłodził troje dzieci, jednak nigdy się nimi nie zajmował. – Żeby je wychowywać, musiałbym z nimi mieszkać, ale tego robić nie mogę, bo dla rodziny matki moich dzieci jestem obcy – mówi. – Moje prawdziwe dzieci są tu – informuje, wskazując na Aka-damę, jej



Aka-dama z ludu Mosu... i jej matka



O dom i gospodarstwo troszczą się tu kobiety. Mężczyźni mają tylko pomagać w pracy i bawić dzieci swoich sióstr



Kraina rządzona przez kobiety w samym środku patriarchalnych Chin

dwie młodsze siostry i dwóch synów jednej z nich. Mimo że dobiega pięćdziesiątki, wraz z nimi mieszka u matki. Żadni teściowie, zięciowie czy szwagrowie nie zakłócają mu rodzinnej harmonii.

Pan Zhang nie może zrozumieć obojętności, z jaką Aka-dama traktuje biologicznego ojca. Chińczyk jest już w wiosce kilka dni i chwali sobie gościnność rządzonego przez kobiety ludu. Czuje się tu trochę jak kolonizator, przedstawiciel patriarchalnej cywilizacji, która sprowadziła w góry samochody, elektryczność i telefony. Z drugiej strony podziwia jednak porządek, jaki panuje w wioskach Mosu. Ludzie żyją tu skromnie, ale pola są zadbane, domy okazałe, a uliczki między nimi porządniesze niż w zrujnowanych wioskach Chińczyków. To pociąga, jednak matriarchat tego ludu ciągle jest dla niego zagadką. – Musiałbym być zdany na łaskę kobiet, a moich synów wychowywaliby obcy mężczyźni – mówi, patrząc na matkę Aka-damy.

Jiam-pa ma najlepsze masło z mleka jaków w okolicy. Codziennie rano parzy czajnik delikatnej herbaty, której zmarznięte liście wygrzebuje się spod śniegu. Do imbryka dodaje jace masło i sól, uzyskując napój wybornie wzmacniający na tych wysokościach. A siły są mu po-



Brak trosk, brak odpowiedzialności – eldorado mężczyzn

trzebane. Mężczyzna ma 46 lat i krąży po górach wokół jeziora Lugu już ponad ćwierć wieku. Noce spędza u swojej kobiety. Rankiem, zanim lodowaty wiatr znad Tybetu rozwieje mgły na jeziorze, wraca do matki. Jego marsz nazywa się *tise*, co w tu-tejszym dialekcie oznacza „w tę i z powrotem”. Jiam-pa zawsze pamięta o porcji suszonego mięsa na drogę, w razie gdyby kochanka go nie wpuściła i musiał wracać tej samej nocy.

Jiam-pa jest naturalnym ojcem Aka-damy i to jego kilka lat temu matka dziewczynki odprawiła sprzed drzwi. Znalazł sobie

kobietę w sąsiedniej wiosce. To jakieś trzy, cztery godziny forsownego marszu pod górę. Jiam-pa nie narzeka jednak, pamięta przecież czasy, gdy w Chinach szalała „rewolucja kulturalna”, a władze starały się wykorzenić stare góralskie obyczaje.

– Któregoś dnia Chińczyk rozkazali wszystkim mężczyznom wyprowadzić się od matek, założyć rodziny i wychowywać dzieci obcych kobiet – opowiada, siorbiąc głośno tusty, słony napój. Partyjni agitatorzy przekonywali, że system wizyt sprzyja rozwojowi chorób wenerycznych i wpływa na obniżenie

produkcji rolnej, gdyż mężczyźni są zmęczeni ciągłym krążeniem między domami matek i partnerek.

– Ustawili w wioskach posterunki, które wyłapywały wędrujących mężczyzn. Musieliśmy nakładać drogi przez góry, a w dzień, zamiast pracować, odsypialiśmy swoje w zaroślach – śmieje się Jiam-pa. Przed laty nie było mu jednak do śmiechu. Chińska akcja spowodowała, że nagle, z dnia na dzień, musiał oderwać się od wychowywania siostrzeńców i wykonywania poleceń kobiet i sam zacząć kierować gospodarką. – Przez wiele miesięcy nie mogłem jeść ani spać, martwiłem się, jak poradzę sobie bez pomocy matki i reszty rodziny – wspomina.

W połowie lat 80. Chiny zaczęły się liberalizować i Pekin przestał się wtrącać w życie górali z tybetańskiego pogranicza. Dziś Jiam-pa je dużo i śpi spokojnie. Jak tylko władze zlikwidowały posterunki i zakazy, znów zamieszkał z matką i siostrami. Teraz pomnaża majątek, który odziedziczył jego siostry i siostrzenice. Nie musi się martwić o dom i gospodarstwo, ten przykry dla niego obowiązek znów przejęły kobiety. Wystarczy mu, że pracuje i bawi dzieci swoich sióstr. Wieczory należą do niego. Jeśli nie odwiedza swojej partnerki z sąsiedniej wioski, ogląda satelitarne przekazy z Pekinu w telewizji, która zawitała tu niedawno razem z prądem. Najbardziej jednak lubi siadać z innymi mężczyznami nad jeziorem, grać w szachy i upijać się ryżową wódką.

Dziś pije z panem Zhangiem, Chińczykiem, który przywędrował tu w poszukiwaniu erotycznego eldorado. Zhang czuje, że nad jeziorem Lugu znalazł „rozlaną wodę” z całych Chin i stopniowo zadamawia się w świecie mężczyzn uwolnionych od odpowiedzialności za świat. – Może to nie jest takie głupie – mówi do Jiam-pa, który leje bimber z aluminiowego czajnika, patrząc obojętnie na młodego mężczyznę śpieszącego do domu Aka-damy.

JAKUB MIELNIK,
EWA BULANDA



Rodzina ludu Mosu. Obecni tu mężczyźni nie są biologicznymi ojcami tych dzieci

Staję na czerwonym świetle. Obserwuję autobusy. Okna mojego samochodu są na tej samej wysokości co ich luki bagażowe. Zastanawiam się, czy wytrzymam wybuch, czy też bomba roztrzaska mi bok auta



Izrael boi się terroru

Mieszkamy na szczęście w spokojnej części Tel Awiwu, a właściwie w podtelawimskim miasteczku. Od naszego domu do granic Tel Awiwu jest w linii prostej jakieś 200 metrów, może nawet mniej. Tutaj nigdy nic się nie stało – miejscowe sensacje ograniczają się do awarii studzienki przeciwpożarowej czy stłuczki przy wjeździe z parkingu. Nie można jednak spędzać życia w obrębie sześciu spokojnych uliczek, każdy z nas musi jeździć do pracy czy po zakupy.

Wszyscy moi sąsiedzi się boją. Wczoraj jedna z moich znajomych wybrała się z dwójką swoich dzieci do jednej z tzw. hal koncertowych, gdzie akurat odbywało się jakieś przedstawienie dla maluchów. Rozumiałam, że dzieci muszą się bawić, ale w głębi ducha myślałam o niej bardzo niepochwlebnie. Organizator tego spektaklu powiedział, że liczba widzów spadła ostatnio o połowę, a ja sama po chwili refleksji doszłam do wniosku, iż niepotrzebnie jednak „nakręcam” w sobie poczucie paniki.

Grożba zamachów terrorystycznych ma głównie skutek psychologiczny – ludzie biedzą się nad tym, co się dzieje, nad tym, co będzie dalej – jednak na co dzień kawiarnie, centra handlowe, deptaki, parki i autobusy są nadal pełne. Izraelczycy nie są zastraszeni, ale bardziej niż kiedyś czujni. Powracającym argumentem jest tłumaczenie, że w przeciętnym mieście europejskim nie jest wcale bezpieczniejsze. To prawda, w niewielu stolicach Europy można w miarę bezpiecznie iść na przechadzkę pustymi ulicami na przykład o 12 w nocy.

W Tel Awiwie czy Jerozolimie to normalne, a prawdopodobieństwo napadu, pobicia czy zwykłego wyrwania torby z rąk jest minimalne. Wielokrotnie opowiadałam o tym, jak czułam się zaskoczona po przyjeździe wiele lat temu do Izraela, kiedy zobaczyłam uliczki z latarniami wysokości dwóch metrów zwieńczonymi wielkimi szklanymi kulami. Moją pierwszą myślą było to, że w Warszawie takie latarnie nie przetrwałyby tygodnia. Tutaj nikt ich nie rozbija.

Cena, jaką płacimy za choćby minimalne poczucie bezpieczeństwa, to ingerencja władzy w prywatność. Przyjmujemy za rzecz normalną to, że rewiduje nam się torby przy wejściu do sklepów, a przy wjeździe na jakikolwiek parking żołnierz otwiera nam bagażnik, przewracając do góry nogami jego zawartość. W sumie jesteśmy zadowoleni, gdyż zwiększa to nasze poczucie pewności.

Pamiętam, że pierwszy raz mocno się zdziwiłam, kiedy dostałam zawiadomienie ze szkoły o wycieczce dziecka, a na kartce był dopisek, że każdej grupie uczniów towarzyszyć będzie uzbrojony ochroniarz. Teraz, jeśli dostaję takie zawiadomienie, sama sprawdzam, czy ochroniarz pojedzie z dziećmi. Jeśli odbieram syna ze szkoły przed zakończeniem lekcji, muszę spokojnie poczekać na ochroniarza, który otworzy mi bramę, spisując przedtem moje dane z dowodu osobistego. Potem jestem zmuszona iść do kancelarii szkoły po pozwolenie na odebranie dziecka (automatycznie przejmuję za nie odpowiedzialność) i dopiero

z tym zaświadczeniem mogę iść do klasy.

A jednak – wbrew temu, co pokazują światowe media – Izraelczycy (może poza tymi na Zachodnim Brzegu) prowadzą w zasadzie normalne życie. Nie oznacza to, że akceptują istniejącą sytuację. Do terroryzmu nie można się jednak przyzwyczaić, a na dłuższą metę nie da się zachować zdrowia psychicznego bez choćby iluzorycznego poczucia bezpieczeństwa.

Oczywiście reakcje na kolejne zamachy stają się z czasem przytępione. Gdy słyszę o kolejnym wybuchu, ogarnia mnie przede wszystkim nie strach czy przerażenie, ale dzika wściekłość i poczucie bezsilności. Izraelczycy zdają sobie coraz bardziej sprawę z tego, że działania polityczne, wznowianie i przerywanie rozmów pokojowych niewiele są w stanie zmienić, kiedy ma się do czynienia ze strasliwą nienawiścią i fanatyzmem. Jak bardzo trzeba nienawidzić i w jakim stopniu wierzyć w sensowność swoich działań, żeby zdecydować się na założenie pasa naładowanego materiałami wybuchowymi i wysadzić się w powietrze?

Życie toczy się dalej, ale pod koniec roku zmieniłam swoją codzienną poranną trasę. Przestałam jeździć koło dworca przy Arlozorow, wzbudza on we mnie niepokój – tłum śpieszących się ludzi, pełno żołnierzy, masa autobusów, a przy tym wszystkim fatalne, wieczne zatkane skrzyżowanie w samym środku porannego bałaganu. Wy tłumaczenie mam dobre – korki.

ANNA LIBROWSKA



Lalka Pippi Langstrumpf, najbardziej znanej bohaterki książek Astrid Lindgren, obok zniczy zapalonych przed domem pisarki po jej śmierci 28 stycznia

Sieroty z Bullerbyn

Zmarła Astrid Lindgren, najsłynniejsza szwedzka pisarka

- Wiesz, że mam umrzeć? - spytałem i rozpląkałem się.

Jonatan zastanawiał się przez chwilę. Może wolał nie odpowiadać mi, ale w końcu powiedział:

- Tak, wiem.

Wtedy zacząłem jeszcze bardziej płakać.

- Przecież to okropne. Jak tak może być - pytałem - żeby niektórzy ludzie musieli umierać, nie mając nawet dziesięciu lat?

- Wiesz co, Sucharku, nie wydaje mi się, żeby to było takie okropne. Myślę, że będzie ci wspaniale.

- Wspaniale? - zdziwiłem się. - Czy to wspaniale leżeć w ziemi i nie żyć?

- E tam. To jest tak, jakby tylko twoja skorupa leżała. A ty odfruniesz całkiem gdzie indziej.

ASTRID LINGREN, „BRACIA LWIE SERCE”

Na fotografii sprzed prawie 15 lat widać dwoje ludzi z rozpostartymi szeroko ramionami. Za chwilę się obejmą, dzieli ich tylko metr. Mężczyzna to Ingvar Carlsson, premier szwedzkiego rządu. Kobieta, której twarzy nie widać, to słynna autorka książek dla dzieci. Cieszą się z ustawy o ochronie zwierząt. Ma zapewnić zwierzętom hodowlanym godne warunki, zanim pójdą na rzeź. Krowy - tak jak w dawnych czasach - będą mogły paść się na zielonych łąkach, nie spędzą całego życia w ciasnych oborach. Astrid Lindgren, chłopka córka, wiedziała, że tak być powinno, i przypominała o tym od paru lat. Ustawę uchwalono w dniu 80. urodzin pisarki i powszechnie nazywano *Lex Lindgren*. Ona sama szybko się jednak od niej odżegnała, kie-

dy dowiedziała się, że pozostanie papierowym prawem: „Czy chodzi o to, bym czuła się zaszczycona, że to bezmyślne prawo nazywano moim imieniem? Żeby przyrzec specjalny prezent urodzinowy, a potem odebrać połowę?”.

Na darmo jej Pippi łamała bat mężczyźni, który dręczył swojego konia?

Sielskie dzieciństwo i gniazdo żmij

Przeżyła 94 lata - była długowieczna po ojcu Samuelu Augustie Ericssonie (umarł w tym samym wieku), dzierżawcy gospodarstwa probostwa w Näs pod Vimmerby w południowej Szwecji. Swoją rodzinną krainę będzie przypominać w pisanych w latach 60. książkach o Emilu ze Smålandii, bo tak się nazywa ta



Astrid Lindgren, od czterech lat pisarka, rok 1948

część jej ojczyzny. Urodziła się jako druga z czworga rodzeństwa, które zaznało szczęśliwego dzieciństwa w dostatku na dobrze prowadzonej farmie. Tak jak w „Dzieciach z Bullerbyn” - farmie z gospodarskimi zwierzętami i ze stogami siana, w których można było ryc tunele. W Näs nie było stojących obok siebie trzech zagrod - te akurat wzięła do książki ze Sevedstorp, gdzie dorastał jej ojciec.

Zaraz po ukończeniu gimnazjum podejmuje pracę w lokalnej gazecie, bo po Vimmerby rozeszła się wieść, że Astrid Ericsson świetnie pisze. Ma wtedy krótkie włosy (ścięła je jako pierwsza dziewczyna w miasteczku) i przydomek „Jazzmenka” - tak opisuje ją biografka Margareta Strömstedt. Milczy jednak o tym, kim był mężczyzna, z którym młoda dziennikarka w wieku 18 lat zaszła w ciążę. Sama Astrid wyjawiała tylko, że rodzice uważali, iż jeśli już koniecznie musiła zająć w ciążę, to ojcem dziecka powinien być „ktoś inny”.

Lindgren wspominała przede wszystkim, że kiedy miasteczko się o tym dowiedziało, było wstrząśnięte bardziej niż wtedy, gdy Gustaw Waza odebrał Vimmerby prawa miejskie. „Miałam uczucie, jakbym się znalazła w gnieździe żmij, i postanowiłam to gniazdo opuścić”.

Ciężarna Astrid wyjeżdża do Sztokholmu, zapisuje się na kurs stenografii. Przypadkowo udaje się jej nawiązać kontakt z Evą Andén, prawniczką broniącą samotnych matek. Dzięki jej pomocy swego synka rodzi w Kopenhadze, w Rigshospitalet, jedynym szpitalu w całej Skandynawii, gdzie porody odbierano bez informowania o nich biura ewidencji ludności. Znajduje dla małego Larsa rodzinę zastępczą w Danii i wraca do Sztokholmu, gdzie zatrudnia się jako sekretarka. Zarabia bardzo mało, nie dojada, ziębnie w wynajmowanej klitce.



Nakład jej książek przekroczył sto milionów egzemplarzy

Kiedy tylko może, wyjeżdża do Kopenhagi, by odwiedzić dziecko, o którym w Sztokholmie nikt nie wie. Być może właśnie z tego powodu będzie potem pisać o dzieciach żyjących w poczuciu osamotnienia, jak chłopiec odwiedzany przez Karlssona z Dachy czy sierota z „Mio, mój Mio”.

Cenzuruje i jest cenzurowana

Kiedyś kolejny pobyt w Kopenhadze przedłużyła się i Astrid nie zdążyła na czas do pracy - zostaje z niej z hukiem wyrzucona. Znajduje nową, w redakcji przewodników turystycznych. Szef nazywa się Sture Lindgren. W 1931 roku wychodzi za niego za mąż, a on adoptuje sprowadzonego już wcześniej do Szwecji Larsa. W 1934 roku rodzi się Karin.

10 lat później matka ofiaruje swojej córce na urodziny maszynopis. To spisywane od kilku lat opowieści o Pippi Langstrumpf. To imię

i nazwisko (początkowo w Polsce przekładane jako Fizia Pończoszanka, obecnie - Pippi) wymyśliła w 1941 roku chora na zapalenie płuc mała Karin. Poprosiła, żeby opowiedzieć jej o Pippi Pończoszance! „Imię było tak wariackie, że musiałam dopasować do niego równie wariacką baśń” - wspominała potem Astrid Lindgren.

Pracuje wtedy dla kontrwywiadu - trwa wojna, Szwecja pozostaje neutralna, ale listy są cenzurowane. Maszynopis opowieści o Pippi odrzuca jedno wydawnictwo, ale w innym powieść „Zwierzenia Britt-Mari” wygrywa konkurs na książkę dla dziewcząt. „Pippi Pończoszanka” wygrywa kolejny konkurs i ukazuje się wreszcie w 1945 roku jako trzecia książka Astrid Lindgren. Jest zaprzeczeniem dotychczasowej literatury dla dzieci, pisanej przez dorosłych tak, jak oni sami chcieliby dzieci postrzegać. Pippi staje się rzecznikiem szalonej strony dzieciństwa: tego, że właśnie można

i należy – tak jak Pippi – zjeść cały tort naraz, a nie tylko kawałek, całej dziecięcej nieświadomości anarchii, łamania konwenansów, wreszcie nierealnej magii. Mimo kontrowersji zdobywa olbrzymią popularność. Paradoksalnie, cenzurująca niedawno listy marynarzy Lindgren sama będzie teraz cenzurowana – we Francji książka o Pippi wydana została w 1951 roku z pominięciem wszystkich wywrotowych i prowokacyjnych wątków. Zakwestionowano też oryginalną okładkę, na której Pippi podnosiła konia. „Francuskie dzieci mają za sobą doświadczenia wojny, są więc większymi realistami niż szwedzkie” – tłumaczył wydawca.

I choć „Dzieci z Bullerbyn” – jej druga pod względem popularności książka – przedstawia akurat sielskie, bezkonfliktowe dzieciństwo wiejskich dzieci, wierna swoim małym czytelnikom Lindgren będzie się starała pokazywać prawdziwy świat, nawet jeśli okaże się pełen poczucia smutku i osamotnienia jak w „Mio, mój Mio”, „Karlssonie z Dachy”, wreszcie w „Braciach Lwie Serce”. Nie jest jednak wolna od wątpliwości. Kiedy – już jako uznana pisarka – pracuje w charakterze redaktorki w wydawnictwie Rabén & Sjögren, sugeruje początkowo Karlowi Rune Nordkvistowi poniechanie wprowadzenia do dziecięcej książki postaci ludzi chorych umysłowo. Jednak kiedy pisarz nie ustępuje, a jego powieść ukazuje się w pierwotnej postaci i zbiera pochwały, Lindgren pisze do Nordkvista o tej redaktorskiej porażce: „Takich klęsk pragnęłabym jak najwięcej”.

103 procent bez radości

Oficjalna bibliografia Astrid Lindgren składa się z 36 tytułów (z czego 28 przełożono na polski) – tak przynajmniej podaje jej biografka Margareta Strömstedt. Nieoficjalnie tytułów jest prawie sto – szwedzki wydawca wznawiał liczne książki pod różnymi tytułami, czasem w wersjach uproszczonych dla młodszych dzieci. Oficjalny nakład globalny wszystkich utworów Lindgren wynosi ponad sto milionów egzemplarzy, mniej więcej tyle, ile wynosi łączny nakład czterech tomów „Harry’ego Pottera”. Lindgren nie zdobyła masowej popularności w krajach anglosaskich, najpopularniejsza była w Niemczech i Rosji. W 1997 roku zapragnęła ją odwiedzić nawet Borys Jelcyński przyjeżdżający z oficjalną wizytą w Szwecji.

Choć zarabiała olbrzymie pieniądze, umarła w tym samym lokatorskim mieszkaniu, w którym 60 lat wcześniej Karin poprosiła ją o opowieść o Pippi. Wykupiła tylko zagrodę w Näs.

„Płacę podatki z radością” – mówiła Lindgren w wywiadach. Do czasu. W połowie lat 70. rządzący od 40 lat socjaldemokraci, aby dalej finansować państwo opiekuńcze, wyliczyli



Inger Nilsson jako Pippi w pierwszej ekranizacji

najlepiej zarabiającym samodzielnym przedsiębiorcom – do których zaliczono również uprawiających wolne zawody, a więc i pisarkę – takie podatki, które razem z opłatami socjalnymi wyniosły... 103 procent dochodu. Wtedy, w marcu 1976 roku, po raz pierwszy zabrała głos w sprawach publicznych: w dzienniku „Expressen” opublikowała baśń „Pamperipossa w Monismanien”. „O płomienna socjaldemokracjo mojej młodości – pisała w niej – jak długo jeszcze twoje czyste imię będzie nadużywane, by chronić dyktatorską, biurokratyczną i protekcyjną grupę? Ludzie nie

powinni być karani i prześladowani tylko dlatego, że w uczciwy sposób – z lub bez własnej woli – zdarzyło im się zarobić pieniądze”. Kiedy jednak prawicowa Partia Moderatów umieściła fragment tej baśni na swoich ulotkach, Lindgren zaprotestowała: „Tak samo nie podobają mi się te ulotki, jak to, żeby łączono mnie z panem Straussem w Niemczech. Gdybym była Niemką, głosowałabym na socjaldemokratów”. I wezwała, aby na szwedzkich socjaldemokratów nie głosować – ten jeden raz.

Socjaldemokraci wtedy przegrywają, zaś Astrid Lindgren włącza się na dobre w życie publiczne. Przede wszystkim w inicjatywy pokojowe i ekologiczne. Tym bardziej że przez ostatnie 20 lat życia już nie pisze książek. Kiedy premiera Carlssona (skądinąd socjaldemokratę) chce nakłonić do przeforsowania ustawy o ochronie zwierząt hodowlanych, najpierw rzuca na niego gromy, aby potem głośno po policzku jak chłopca.

Ostatnia strona

Na trzy lata przed śmiercią, kiedy wybrano ją Szwedką Roku, mówi o sobie: „Przynajęcie nagrodę osobie na wpół ślepej, na wpół głuchej i całkowicie postrzelonej”.

W latach 80. w Vimmerby powstał park Świat Astrid Lindgren (tak samo nazwana wystawa jeździ po świecie, w 1994 roku była w Polsce, między innymi we Wrocławiu i Poznaniu), a ulice ochrzczono imionami bohaterów jej książek. 350 deputowanych posadziło dla niej 350 drzewek. Mimo porażki *Lex Lindgren* wizerunek Astrid opiewającej życie tradycyjnej wsi smalandzkiej stał się szwedzkim towarem eksportowym.



„Przynajęcie nagrodę Szwedki Roku osobie na wpół ślepej, na wpół głuchej i całkowicie postrzelonej”



Astrid Lindgren przed rodzinnym domem w Näs pod Vimmerby

Dla miejskich dzieci, nawet w Polsce, „Dzieci z Bullerbyn” są często pierwszym kontaktem z wiejskimi zwierzętami: osiem lat temu tak reklamowano w poznańskiej gazecie festyn na osiedlu Bolesława Śmiałego: „Podczas zabawy będzie można spojrzeć głęboko w oczy kozie, cielątku i jagniętom prosto z Bullerbyn, pogłaskać brzuchatą świnkę uwielbiającą pieszczoty, pojeździć bryczką, dosiąść konia w siodle, spotkać Emila ze Smalandii, znaleźć się w świecie lasu Ronji, córki zbójnika”.

Imieniem Astrid Lindgren Rosjanie nazwali asteroidę. W Szwecji szkoły uznawały ją za patronkę już od lat 60., w Polsce też są co najmniej dwie takie podstawówki – w Stargardzie Szczecińskim i w Łodzi.

Pytana przez dzieci z tej ostatniej, czy zgadza się na nadanie szkole jej imienia,

91-letnia Lindgren przesyła list składający się z jednego słowa: „Acceptoras”. Tak.

W „Braciach Lwie Serce” w 1973 roku opisała śmiertelnie chore dziecko i złamała w ten sposób kolejne tabu literatury dziecięcej.

„Nie wierzę ani w niebo, ani w nic takiego – mówiła pytana w latach 90. o zakończenie tej powieści. – I właściwie tak przecież jest również w książce. Sucharek umiera na swojej kanapie w kuchni dopiero na ostatniej stronie”.

STEFAN WRZEŚMIAN

Wypowiedzi Astrid Lindgren cytowane za książką Margarety Strömstedt „Astrid Lindgren. Opowieść o życiu i twórczości”, przeł. Anna Węgleńska, Nasza Księgarnia, Warszawa 2000. Tłumaczenie fragmentu „Braci Lwie Serce” – Teresa Chłapowska

NAJSŁYNNIEJSI BOHATEROWIE KSIĄZEK ASTRID LINDGREN

Pippi Pończoszanka – ruda, piegowata 10-letnia dziewczynka (Inger Nilsson, która zagrała ją później w filmie, wygląda w nim dokładnie tak, jak Pippi narysowana w 1944 roku przez samą Lindgren), która mieszka sama, zachowuje się skandalicznie i opowiada, że jej ojciec jest kapitanem piratów.

Dzieci z Bullerbyn – Lisa, Lasse, Bosse, Britta, Anna, Olle i Kerstin – siedmioro szczęśliwych i grzecznych dzieci z trzech stojących obok siebie zagród.

Emil ze Smalandii – krzyżówka Pippi i dzieci z Bullerbyn: zmyślne wiejskie dziecko, w którym bunt miesza się z przystosowaniem, postać wzo-

rowana nieco na Samuelu Auguście Ericssonie, interpretowana jako najbliższa osobowości samej Astrid Lindgren. **Karlsson z Dachy** – zarozumialec, uważa się za najlepszego specjalistę od wszystkiego, mieszka za kominem. Jednak kiedy Braciszek czuje się samotny, Karlsson przyfruwa przez okno i dotrzymuje mu towarzystwa.

Kalle Blomkvist – 13-letni detektyw razem z przyjaciółmi rozwiązujący zagadki kryminalne.

Bracia Lwie Serce – trwożliwy Sucharek i dzielny Jonatan, który ginie w pożarze, wynosząc śmiertelnie chorego brata.

MOGŁA JUŻ TYLKO SIĘ ŚMIAĆ

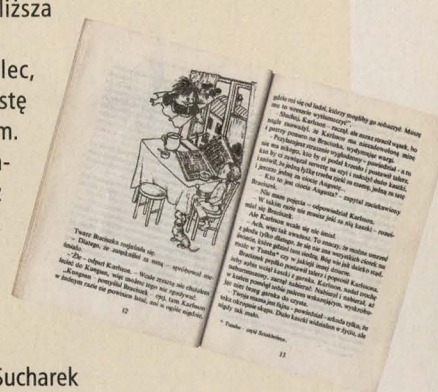
Mówi ANDERS BODEGÅRD, znakomity szwedzki tłumacz, wielki entuzjasta i znawca polskiej kultury:

Jestem smutny, jak wszyscy Szwedzi, choć wiedzieliśmy, że już jest z nią źle. W ostatnim roku zanie-mowała. Dziwny wyrok losu w stosunku do kogoś, kto pisał takim świetnym, błyskotliwym, odważnym językiem. Mogła już tylko się śmiać, co bardzo lubiła, i śpiewać bez słów. Ze swoją córką, z którą się przyjaźniła, też tłumaczka, przez ten ostatni rok stale się śmiały i śpiewały stare skandynawskie pieśni.

Mieszkaliśmy niedaleko siebie, czasem spotykaliśmy je w parku takie roześmiane. Miała dwie siostry, też już starszki, teraz została tylko jedna; przez całe lata codziennie dzwoniły do siebie i każdą rozmowę zaczynały sakramentalnym zwrotem: „Śmierć, śmierć, śmierć!”. I bardzo się zaraz śmiały, bo to było zaklęcie przeciw śmierci.

Pierwszą, a może drugą książką, jaką w życiu przeczytałam, były „Dzieci z Bullerbyn”. Czytałam ją pięć razy z rzędu, w kółko. Dla mnie Astrid Lindgren jest bardzo ważną osobą, nie tylko pisarką, może też dlatego, że urodziła się w tej samej dziwnej krainie szwedzkiej, gdzie się dzieje akcja wielu jej powieści, w Smalandii. To piękna, ale bardzo biedna i na swój sposób tragiczna prowincja. Do 1930 roku wyemigrowała stamtąd ponad połowa ludności, w tym też prawie cała moja rodzina. Zabawne, że właśnie taka Smalandia dała światu dwie wielkie rzeczy: Ikeę i Astrid Lindgren.

Astrid miała wyjątkowo szczęśliwe dzieciństwo, wspaniałego ojca. Problemy zaczęły się potem, z tym jej nieślubnym synem, co było wtedy skandalem; bardzo to przeżywała. Bez tego nie powstałyby jednak jej książki, które tak naprawdę pisała nie dla dzieci, ale dla siebie, o sobie. Smutek, okrucieństwo i radość są tam przemieszane w niezwykły sposób. Może byłaby tylko zwykłą pisarką dziecięcą, gdyby nie to właśnie. (TN)



Koniec ery „Rudego”

Do końca roku Bundeswehra sprzeda Polsce 128 czołgów Leopard 2. Skupujemy złom czy ratujemy polską armię?

MICHAŁ WÓJCIK

Na Śląsku mówi się, że wszystko co niemieckie jest trzy razy lepsze od polskiego. Gdy wiceminister obrony narodowej Janusz Zemke powiedział niedawno, że niemieckie czołgi są cztery razy lepsze od naszych Twardych, zdziwili się nie tylko Ślązacy.

Zdziwił się każdy, kto interesuje się strategią XXI w. Jeszcze nie wybraliśmy samolotu wielozadaniowego, a już wydajemy lekką ręką 90 mln zł na czołgi. Tymczasem najnowsze doktryny wojenne wyraźnie mówią, że to broń już w zasadzie przestarzała. Czołg jest skuteczny na odległość strza-

łu, czyli do dwóch kilometrów. Poza tym czołgami się nie atakuje. Chyba że na froncie. Tymczasem nikt w NATO nie przewiduje, aby w Europie miał się jakkolwiek front w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat zawiązać. Przyszłość to samoloty, helikoptery i siły specjalne.

Leopard 2 A4 jest czołgiem III generacji. Nowoczesny, ale nie najnowocześniejszy. W niemieckich siłach zbrojnych służy już Leopard 2 A6, który wygrywa w konkurencji z najnowocześniejszym czołgiem armii rosyjskiej T-90. Ponieważ Rosjanie

z zasady nie sprzedają najnowszych technologii (wyjątkowo zamierzają sprzedać T-90 Indiom), teoretycznie powinniśmy się starać o najnowocześniejszy sprzęt niemiecki. Tymczasem podpisany w Berlinie kontrakt mówi o czołgach starszych i w dodatku z tzw. parkingu, a więc zużytych. Za rozkonserwowanie, czyli dostosowanie ich do czynnej służby, Niemcy zażyczyli sobie 90 mln zł. Jak wyliczył Tadeusz Wróbel z magazynu wojskowego „Polska Zbrojna”, koszt rozkonserwowania jednej sztuki Leoparda to 460 tys. zł. Jak łatwo obliczyć

– polska strona płaci za kontrakt o kilkadziesiąt milionów za dużo. Nie wolno jednak zapominać, że jeden nowy Leopard kosztuje milion dolarów, a więc cena, jaką zażyczyli sobie Niemcy, nie jest wygórowana.

Zdaniem Andrzeja Kińskiego, redaktora naczelnego pisma „Nowe Techniki Wojskowe”, ocena kontraktu wypada pozytywnie. Jesteśmy i tak skazani na współpracę z Niemcami, bo mają najnowocześniejszy przemysł pancerny na świecie. Oczywiście są „ale”. Główny powód do niepokoju to kolejne ruchy MON-u. Wiadomo bowiem, że potrzeby polskich sił zbrojnych liczone są na 400–600 czołgów. Mamy 870, ale tych względnie nowoczesnych Twardych tylko 200. Jeżeli dozbiorzymy się pojazdami niemieckimi, polska armia będzie ich potrzebowała jeszcze około 150

lub 250. Jeżeli tylko 150 – to nie ma co się patyczkować i należy kupić resztę u Niemców. Jeśli potrzeba jeszcze 350, lepiej i taniej będzie, jak zmodernizujemy czołgi, które mamy.

Czołg niemiecki to cacko naszpikowane elektroniką, a silnik można mu wymienić w ciągu godziny. Silniki w polskich czołgach, które *nota bene* ciągle się psują, wymienia się dobie. Tyle że można to robić w warunkach polowych, w czasie ulewy czy gradobicia. Tymczasem silnik Leoparda jest tak samo delikatny jak silnik amerykańskiego Abramsa. Amerykanie w czasie „Pustynnej Burzy” przywieźli swoje czołgi na lawetach. Po działaniach wojennych musieli je również na lawetach wyciągać. Tymczasem z konstrukcjami radzieckimi, a nasze T-72 to przecież pomysł odziedziczony po byłych sojusznikach, jest tak jak z karabinami Kałasznikowa: toporne, ale działają w każdych warunkach. Na przykład T-72 może wjechać do rzeki i zanurzyć się w wodzie. Niemiecki Leopard z marszu pokona tylko bajoro o głębokości metra wody,

bo niemieccy inżynierowie nie przewidzieli pokonywania rzeki w bród. W Europie Zachodniej mostów nie brakuje.

Jeżeli przestawimy się w ogóle na niemieckie maszyny, to przestaniemy produkować czołgi. Skoro nie będziemy produkować – przestaniemy i sprzedawać. Ostatnio znowu się mówi o kontrakcie z Malezją. Podczas ubiegłorocznego salonu nowości wojskowych w Kielcach gliwickie zakłady już pokazały Twardego M w pustynnych barwach ochronnych, nazwanego tak od Malezji właśnie. Fabryce Bumar-Labedy i jej trzem tysiącom pracowników jest on potrzebny. Wiadomo, że w Afganistanie porządnie czołgi radzą sobie znakomicie. Jako zdecydowanie tańsze od jakichkolwiek maszyn zachodnich są ciągle atrakcyjne dla wielu klientów na całym świecie.

Jednak przeciwnicy polskich czołgów kierują się nie interesami Bumaru, lecz potrzebami polskiej armii – i powtarzają, że wszyscy następcy „Rudego 102” – z wyjątkiem Twardego – to „archeologia”. W środku mało miejsca, silnik słaby, bo tylko 850 KM



Twardy – jedyny polski czołg o standardach NATO

(dla porównania Leopard 2 ma silnik o mocy 1200 KM), poza tym bardzo trudne sterowanie i strzelanie. Do tego dochodzi kaliber działa 125 mm – nie pasują do niego żadne pociski z arsenału NATO. A Leopard to supercenna broń nawet w ruchu. To luksusowy pojazd dla czterech żołnierzy... Luksusowy – odpiera atak zwoleńnicy T-72 – ale o wiele większy i łatwiejszy do trafienia. Przebrojenie naszych sił zbrojnych ma również charakter symboliczny. Oto spadkobierca

Tygrisa wypiera z nadwiślańskich poligonów spadkobierca „Rudego 102”. Czy pojawienie się niemieckiego czołgu na wojkowej paradzie z okazji Święta Niepodległości nie wywoła powszechnego zgorznięcia Polaków? Zdaniem Andrzeja Kińskiego – nie wywoła. Przecież nawet dzieci wiedzą, że najlepiej w dłoni leży parabelka, najfajniej strzela szmajser, a niemieckiego helmu z II wojny światowej używał nawet Lord Vader z „Gwiezdnych wojen”.



Leopard 2 kosztuje milion dolarów. Polacy będą modernizować stare Leopardy po sto tysięcy dolarów za sztukę

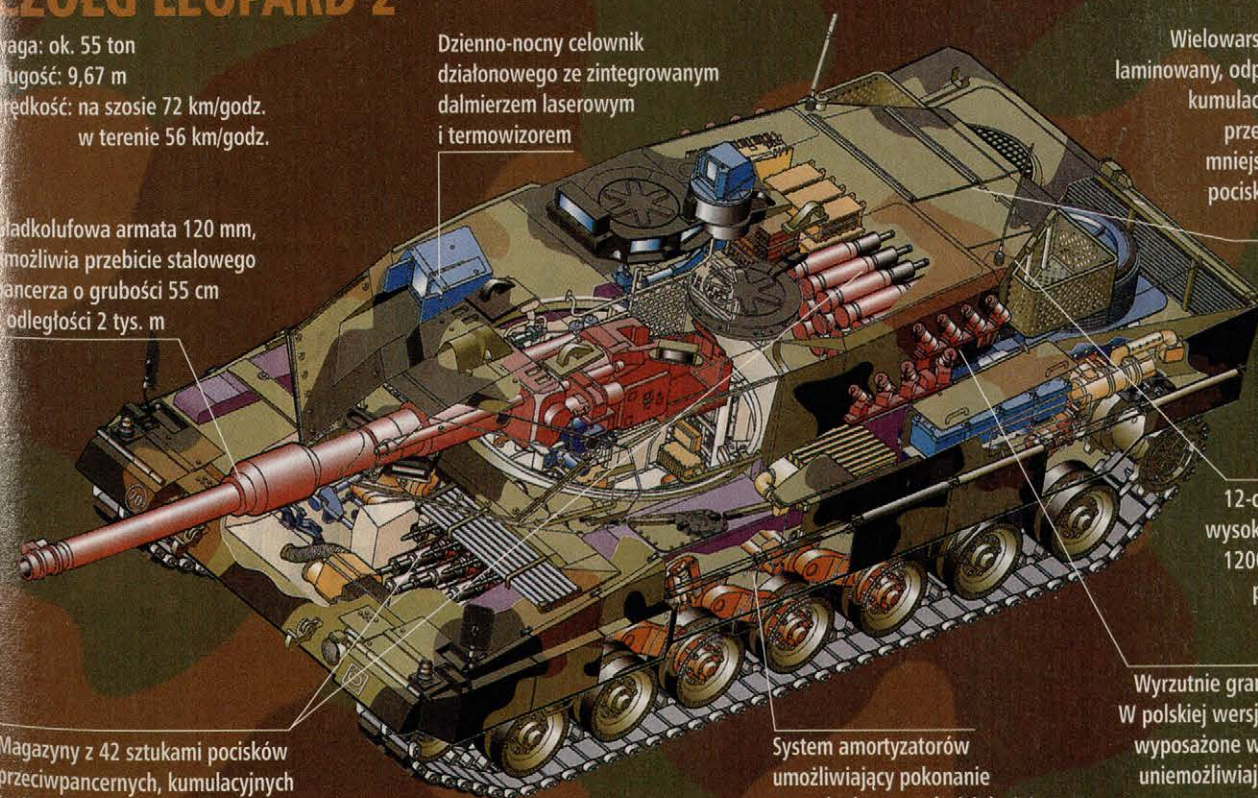
CZOŁG LEOPARD 2

Waga: ok. 55 ton
Długość: 9,67 m
Prędkość: na szosie 72 km/godz.
w terenie 56 km/godz.

Ładkufowa armata 120 mm,
umożliwia przebicie stalowego
pancerza o grubości 55 cm
z odległości 2 tys. m

Magazyny z 42 sztukami pocisków
przeciwpancernych, kumulacyjnych
i odłamkowo-burzących

Dziennie-nocny celownik
działonowy ze zintegrowanym
dalmierzem laserowym
i termowizorem

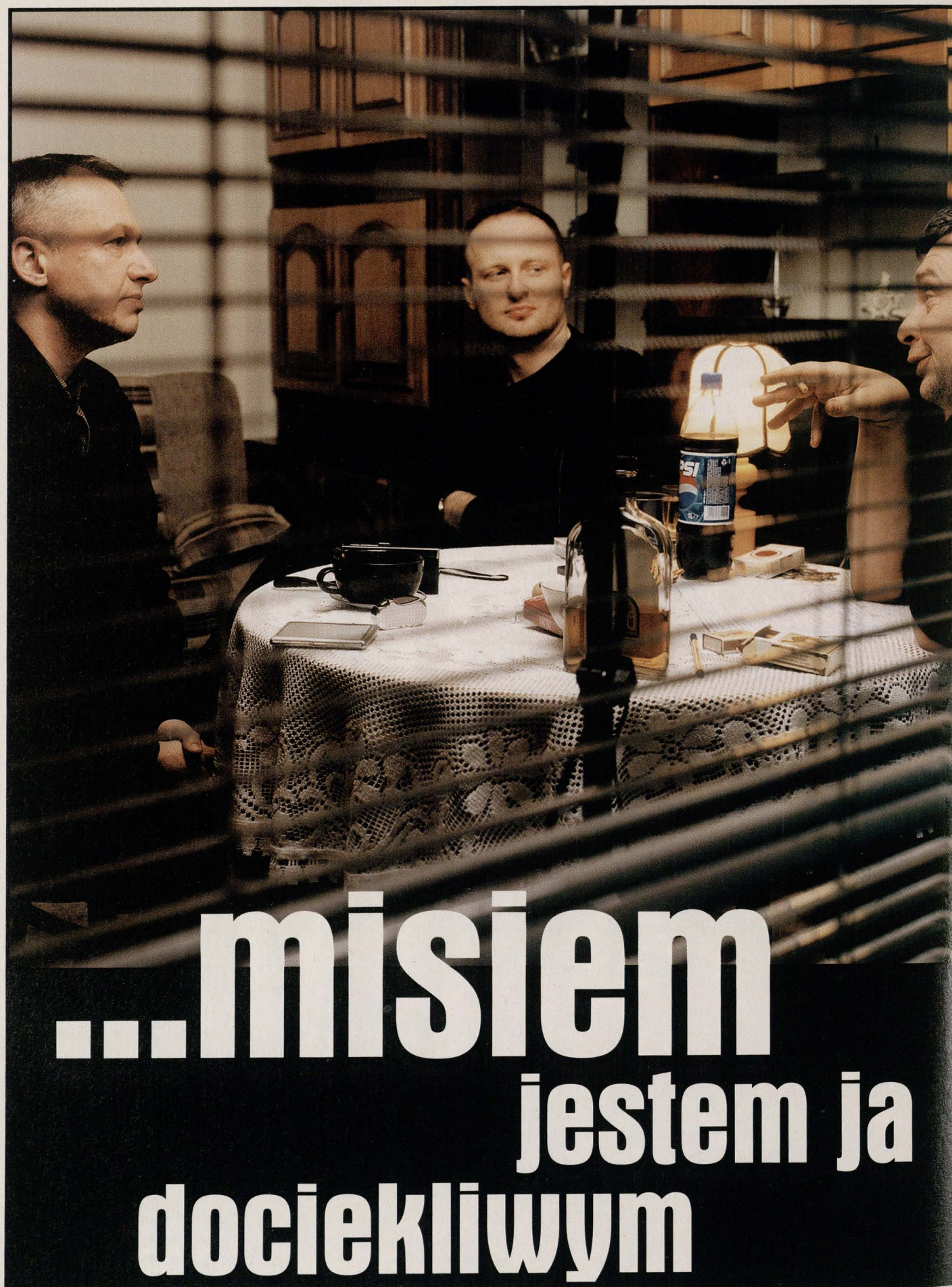


Wielowarstwowy pancierz
laminowany, odporny na pociski
kumulacyjne. Można go
przebić z odległości
mniejszej niż kilometr
pociskiem z rdzeniem
wolframowym

12-cylindrowy silnik
wysokoprężny o mocy
1200 KM. Leopard 2
pali na poligonie
500 l na 100 km

System amortyzatorów
umożliwiający pokonanie
przeszkody o wysokości do 1,1 m

Wyrzutnie granatów dymnych.
W polskiej wersji Leopardy będą
wyposażone w granaty dymne
uniemożliwiające namierzenie
czołgu laserem



...misiem
jestem ja
dociekliwym

W cyklu „Rozmowy na środek tygodnia” z **BOGUSŁAWEM LINDĄ** rozmawiają Świetlicki & Dyduch

O dzieciństwie mówi Pan niewiele albo wcale. Czy Pana narodzinom towarzyszyły jakieś znaki na niebie i ziemi?

– Nie sądzę.

Czy nie ma jednak legendy domowej, że na przykład wróżka powiedziała Pana matce, że urodzi t a k i e o syna?

– Nie pytałem nigdy o to, ale boję się, że nie było żadnej wróżki.

Czy jest jakieś traumatyczne przeżycie z Pana dzieciństwa, które Pana ukształtowało?

– Może przeprowadzka z Torunia do Bydgoszczy: po dwóch tygodniach mojego pobytu na świecie zostałem wywieziony z kulturalnego miasta. Potem wróciłem do Torunia, ale jednak ten szok gdzieś tam pozostał.

A bohater dzieciństwa? Był ktoś, kto Panu imponował?

– W bardzo młodym wieku imponował mi Koziołek Matołek. To była postać dla mnie kultowa i kiedy zaproponowałem matce zmianę mojego imienia i nazwiska na Koziołek Matołek, nie wiem dlaczego – ta propozycja nie została przyjęta.

Co Pana fascynowało w Koziołku Matołku?

– Podróże. W Afryce był nawet.

Pan wszak też wiele, jako berbeć, napodróżował się...

– Jeździłem pociągami, odkąd pamiętam, ponieważ dzieliłem czas między oboje rodziców. Byłem wsadzany do pociągu i wysadzany na innej stacji.

Przypomina się [jesteśmy czytani] „Awantura o Basię”, jeździł Pan z tabliczką?

– Nie.

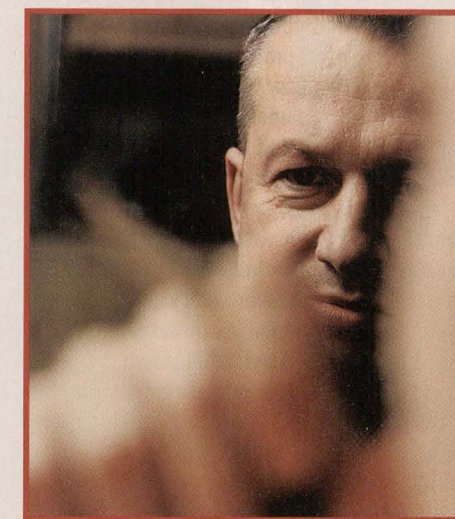
Jaką przyszłość przewidzieli rodzice dla tak mobilnego dziecka?

– Moja matka jest polonistką, więc w marzeniach matczynych miałem być polonistą. Matka to: toruńskie środowisko uniwersyteckie, słownik mickiewiczowski, profesor Górski. W takim klimacie wzrastałem. Myślałem, że mogę zostać nauczycielem, i taki miałem zamiar.

Jako dziecko, jako ten przeznaczony na polonistę, był Pan typem samotnika?

– Nie. Nawet zapisałem się do harcerstwa w ogólniaku, na wyraźne żądanie profesorki od prac ręcznych. Byłem łącznikiem.

Miałem zaszczytną funkcję łącznika. I miałem ją przez tydzień mniej więcej, bo się okazało na następnym zebraniu harcerskim, że nie połączyłem się z komendą i zostałem relegowany z harcerstwa.



W tym momencie zaczęliśmy z Panem Bogusławem rozmawiać o sprawach, które Czytelnika „Przekroju” na pewno nie zainteresują. Aż tu nagle, w ferworze rozmowy, padło z jego ust takie oto zdanie:

– Był moment, w którym pisałem poezję.

Przyznał się Pan kiedyś do tego?

– Przyznawałem się, kiedy pisałem. Wydawało mi się wtedy, że jestem wielkim poetą.

A wiersze dobre były? Obiektywnie.

– Wiersze były średnie.

Rymy były?

– Nie zawsze. Próbowałem wszelkich gatunków oprócz greckich, bo te były za trudne i tam się trzeba było wgłębiać w rytmi-zowanie.

A moment, w którym Pan zarzucił poezję?

– Zarzuciłem poezję, gdy poznałem prawdziwe życie, które mnie ukierunkowało zupełnie inaczej. To znaczy odszedłem ja od ideałów poetyckich, a przeszedłem na bardziej konkretne stanowisko. To się zdarzyło chyba z ukończeniem studiów.

Pan jest rocznik ‘52, wtedy w Krakowie działali ci wszyscy Zagajewscy, Kornhauserowie... Bywał Pan na jakichś wieczorach poezji?

– Nie. Nie bywałem na wieczorach poetyckich, bo bywałem na zupełnie innych wieczorach, ale czytałem takie drobne książeczki. Przeszedłem na zupełnie inne pozycje, ponieważ w trakcie studiów spotkałem mego kuzyna urodzonego w Anglii (nazywa się Olechowski), który przyjechał z Nowego Jorku do Krakowa robić doktorat z Witkacego. Był starszy ode mnie o siedem lat – i rodzina kazała mi się nim zaopiekować. Ja mu wtłaczałem Polskę w jego amerykańskie żyły, a on w moje inne widzenie świata. Opowiadał mi o różnych filmach, wtedy nieosiągalnych. Znał masę anegdot o tym, co chłopaki robili na planie, Marlon Brando z Nicholsonem, jak ich helikopter szukał. To było ciekawe dosyć. Poza tym paliliśmy trawkę wtedy, bo on przywoził, i chodziliśmy do kina. Namawiałem go na przykład na wino typu Wino, w którym zasmakował bardzo. Mówił, że takie wino w Nowym Jorku by szło. Chodziło się do kina w Pasażu i do drugiego, koło Rio. Myśmy jako studenci czytali listy dialogowe. Czytaliśmy mniej więcej tak, jak wyobrażnia dyktowała, piękna to rzecz, bo kreacyjna, można było tworzyć nowy film. I wtedy odszedłem od poezji. Ten Witkacy w amerykańskim wydaniu mnie bardziej pociągnął.

A kino w Toruniu?

– W Bydgoszczy bardziej. To walka o to, że mam 16 lat skończone, a miałem 14, bitwy z bileterkami... Zapamiętałem to i parę westernów.

A skoro wróciliśmy do arkadii Pana dzieciństwa, to czy miał Pan wtedy śmiałość do dziewcząt?

– Miałem śmiałość do dziewczyn i byłem kochliwym człowiekiem. W przedszkolu zakochałem się pierwszy raz. W tej chwili wydaje mi się to rzeczą karkołomną, ale tak było. Z jedną musiałem tańczyć, bo mi wychowawczynie kazała. Ja z tą tańczyłem, tęskniłem do innej. Tak to wyglądało, jak w życiu.

Grzechy młodości, bo to konstytuuje człowieka: palenie papierosów, alkohol etylowy i takie tam rzeczy.

– Każdy sportowiec musi kiedyś się napić i musi spróbować fajek. Pierwsze papierosy

– Bydgoszcz, szkoła podstawowa, Partagasy, kubańskie papierosy, w zrujnowanych jeszcze domach przy alei 1 Maja. Tam mieszkali moi dziadkowie, a na dachach rosła trawa i drzewa, ponieważ nie usuwano ziemi, która tam osiadała, i to były lasy na bydgoskich dachach. W międzyczasie w tych ruinach walczyliśmy ulica na ulicę, czym się dało. Miasto opanowały bandy chłopaków, może to nie było widoczne na zewnątrz, ale nas zajmowały bardzo te walki, czy przyjdzie ta druga strona na naszą, jak przyjdzie, to gdzie się spotkamy i gdzie wymienimy doświadczenia narzędziowe. I wtedy, po jakiejś stocznej bitwie, za murkiem, pamiętam, paczka papierosów, pierwsze sztachy. Okazało się, że jestem świetnym palaczem, nie rzygałem. Po Partagasach każdy rzygał.

A po pierwszym alkoholu Pan rzygał?

– Po pierwszym rzygałem, ponieważ zrobiliśmy pewne doświadczenie, mianowicie starszy kuzyn zakupił likiery. Likier były wtedy o smaku wiśniowym albo ananasowym, czekoladowym, orzechowym, w ćwiartkowych butelkach. Zakupiliśmy trzy, poszliśmy do komórki, w której był szacz, i tam waliliśmy tę gorzałę, mieszając, bo chcieliśmy spróbować tego wszystkiego. Potem wyszliśmy na miasto, na główną ulicę, i tam zdarzyło się nam oddać ten wypity alkohol.

Był Pan wyrobiony politycznie jako nastolatek?

– Nie. Zajmowałem się boksem i dżudo. Środowisko sportowe interesowało się zupełnie czym innym – kto wejdzie na sześciopiętrowy blok po rusztowaniu w zimie, kto potem zajrzy z dachu do okien... Takie rzeczy najbardziej mnie interesowały.

A przyjął Pan jakąś indoktrynację?

– Nie, absolutnie nie. Nie byłem w żadnym ZMS-ie ani w żadnych innych związkach.

I co potem? Dlaczego Pan poszedł na studia do Krakowa?

– Mam standardową odpowiedź i myślę, że będę się tego trzymał: do Krakowa dlatego, że daleko.

Nie musiał Pan przed czymś uciekać?

– W tym wieku człowiek szukając, ucieka albo uciekając, szuka, jak najdalej od tego co miał, czyli dzieciństwa. Poza tym Kraków to miasto teatralne, bohema, coś tam wisiało w powietrzu.

Jak się można było wtedy dostać do bohemy?

– Czarny kapelus, czarny długi płaszcz, długi szalik. Bywać w Rio. Bywać w Jaszczurach.

Skąd pomysł, żeby zostać aktorem?

– Zawód aktorski wydawał mi się najciekawszy, bo przyjdą, obejrzą, dostaną kwiaty, kochają, nic człowiek nie musi robić, wyjdzie na scenę, powie parę słów, zejdzie i już. Tak kombinowałem. I nie udało się. Przez całą tę pieprzoną szkołę teatralną musiałem się męczyć jako aktor, czyli musiałem przejść etap dojrzewania czy otwierania aktorskiego. Było

to dosyć żenujące, bo trzeba było robić rzeczy, na które człowiek się nie zgadza i wstydzi. Opowiadać jakieś głupoty i rozwijać swoją wrażliwość, ja bym powiedział – nadwrażliwość. Ale ponieważ byłem ambitny, więc starałem się nie być ostatnim w grupie i walczyłem, żeby zdobyć tę pozycję. I to też w kategoriach bardziej sportowych.

Jaka ta uczelnia wtedy była?

– To była piękna uczelnia. Fantastyczni ludzie, wśród pedagogów zwłaszcza, jakich trudno jest spotkać. Profesor Merunowicz, który miał „o” centralne, ponieważ Niemiec go kolbą karabinu uderzył w szczękę, profesor Eugeniusz Fulde, który mówił, że aktor musi zagrać wszystko, i natychmiast wyjmował sztuczną szczękę i pokazywał, że aktor powinien być bez zębów, bez brwi (bo on nie miał brwi), bez niczego, wszystko ma doprawiać sobie, jeżeli rola tego wymaga. Byli pedagodzy, do których się chodziło po kasę, jak nie było na gorzałę, i wtedy się sprawdzało bezpośrednio, na ile się człowiek liczy w tej szkole. Bo jak dali, to znaczy, że człowiek się czegoś nauczył na zajęciach. Jak nie dali – to cienki.

Jak Pan wspomina Stary Teatr?

– W Starym było koszmarnie, ale to jest absolutnie mój punkt widzenia. Środowisko było strasznie zhierarchizowane. Wszyscy byli zakochani w Swinarskim, który akurat przestał żyć wtedy. I licytacja (jak potem po Kieślowskim), licytacja, kto był najbliższym przyjacielem, a kto najwięcej wiedział albo kto nim kierował itd. Ja nie miałem szans uczestniczyć w tej rozgrywce. Poddałem się.

Przykro o tym mówić, ale zdaje się, że nie był Pan wtedy człowiekiem sukcesu.

– Ja wtedy miałem zupełnie inne sukcesy, ponieważ doszedłem do tego, co trzeba robić w tym zawodzie. Żeby się nie przejmować kompletnie tą szkołą aktorską z zeszłego wieku i myśleniem na temat posłannictwa aktora, też zeszłowiecznym, i tym, jak trzeba wychodzić z lewej kulis i którą nogą tupnąć, żeby dobrze zagrać. Przestało mnie to własnie wtedy interesować.

Czy już wtedy kino bardziej Pana obchodziło niż teatr?

– Ja wtedy sobie nie zdawałem sprawy, co mnie naprawdę kręci. Nie w tych kategoriach. Chodziło o to, żeby być w miarę wolnym człowiekiem. Żeby nie być w jakiejś instytucji albo w gromadzie ludzi, w której jestem podporządkowany czemuś, komuś albo jakiejś idei. Ten zawód polega na tym, że pracując w teatrze, trzeba się ładnie uśmiechać do dyrektora, żeby dostać rolę. Wolałem robić coś po swojemu i ryzykować. Jeżeli wyjdzie, to znaczy, że ja wygrałem. Że to jest moja pula i ja ją biorę. Mogę przegrać. Ale to ryzyko zawsze istniało i zawsze je lubiłem. Byłem chyba jednym z pierwszych, który odszedł z teatru.

Przegrywanie nie jest miłe...

– Wydaje mi się, że przegrywanie jest naturalne nam, facetom, bez przegrywania nie kształtujemy się.

Jak się ma pokera kierowego, a przeciwnik ma pikowego...

– To też nie ma znaczenia. Jeżeli się przegra z dwiema dziewiątkami i wie się, że się przegra, ale się przegra z klasą, to to jest lepsze niż wygrać. Koszty porażki można obrócić w zwycięstwo, nie jest ważne, co się przegrało, tylko jak człowiek z tego wybrnie. Porażek miałem mnóstwo.

Przegrał Pan w pokera olbrzymie pieniądze?

– Nie, jeżeli grałem, to nie za swoje pieniądze.



Kilka minut przed wywiadem Pan Linda przegrał do Świetlickiego 20 PLN. Grał rozważnie, przegrał pięknie, w przeciwieństwie do Świetlickiego, który grał i wygrał brzydko. Partia była ustawiona przez Dyducha.

Co to znaczy?

– Dostawałem kasę, żeby grać. Dlatego że byli to goście, którzy grali zawodowo w Warszawie, tacy koledzy moi, i brali mnie do pary. Jak Pan postrzega lata 80.?

– Jeżeli chodzi o zawód, to były niewątpliwie lata najważniejsze, ale nie o życie. Rozgraniczmy te rzeczy. Jeżeli chodzi o zawodowe sprawy, były o tyle ważne, że zostałem ukierunkowany politycznie na pewien okres swojego życia. Człowiek staje wobec wyborów – albo idzie w sekretarza w teatrze, albo idzie w stronę chłopaków z podziemia. Ja poszedłem zdecydowanie w stronę chłopaków

i dziewczyn z podziemia, byłem z nimi zażyjany i to, co robiłem, to był świadomy wybór.

A czy była jakaś dziwna propozycja, którą Pan odrzucił?

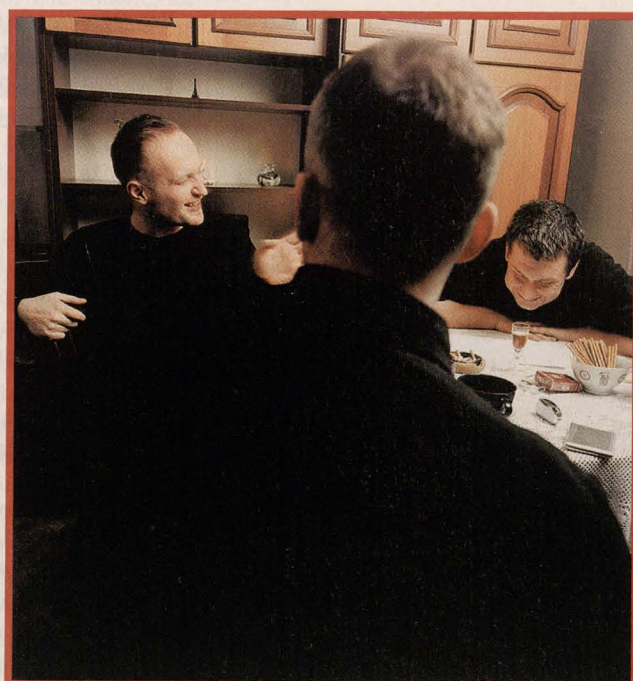
– Była na przykład propozycja bycia informatorem w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Propozycja odrzucona.

A 13 grudnia gdzie Pan był?

– Nocą robiłem rzeczy całkiem niepolityczne. Pamiętam, że w nocy szukałem jakiejś muzyki. Nie znalazłem. Rano chciałem pójść do SPATiF-u i okazało się, że są czołgi na ulicach.

A te pierwsze ciemne miesiące?

– Pierwsze ciemne miesiące wypełnione były szukaniem mieszkania, kątem u kolegi



wtedy mieszkalem. Poza tym akurat padła propozycja, żeby wyjechać. Zorganizowałem jakiś paszport i w lutym wyjechałem do Paryża.

Nie myślał Pan o pozostaniu za granicą?

– W momencie wyjazdu jeszcze może myślałem, ale po prawie półrocznym pobycie chciałem jak najszybciej wrócić i wracałem pierwszym samolotem. Nie podobało mi się tam, te rozmaite zależności, zaczynanie od początku, startowanie po tych biurach misiów, którzy poklepywali nas po ramieniu i wręczali tabliczkę czekolady. Kaczmarek akurat przyjechał, ale to było za mało – napić się wódki i płakać z nim razem, jak śpiewał różne wzruszające piosenki. Wtedy wzruszające.

A teraz jak Pan słyszy tego rodzaju piosenki?

– Nie słucham raczej.

A co Pana wzrusza w muzyce w tej chwili?

– Jakaś prawda. Kiedyś mnie bardzo wzruszył Jacques Brel, kiedy będąc chory na raka, nagrał swoją ostatnią płytę. I to było wstrząsające.

Ma Pan w domu bogatą kolekcję płyt z muzyką klasyczną?

– Nie. Trochę degeneratów. Kiedyś lubiłem chłopaków, którzy szybko umierali. Coś w tym jest, jeśli ktoś się angażuje do końca, bezkompromisowo, to widać. W moim pokoleniu od dwóch zespołów się zaczynały kryteria gustu i polityki muzycznej: Beatles i Rolling Stones. Ja byłem za Stonesami.

A Morrison Pana ekscytował?

– Bardzo. Mimo że grafoman, ale ja wtedy nie rozróżniałem tekstów specjalnie, a nie było tłumaczeń.

Pan zaśpiewał przecież, co Pana do tego pchnęło?

– Wyraźne życzenie mojego kolegi, reżysera, który zażądał, żebym zaśpiewał Cohena, plus relatywne pieniądze za jedną sesję nagraniową trwającą dwie godziny.

Czy wykonałby Pan każdą piosenkę za dobre pieniądze?

– Nie, to raczej sprawa koleżeńkiej przysługi, z zastrzeżeniem, by nie robić tego za darmo.

Czy miałby Pan odwagę robić rzeczy, których Pan jeszcze nie robił?

– W sensie sportowym, podróżniczym – tak, w sensie artystycznego ryzyka – tak, to się zawsze gdzieś tam ciągnie, zawsze ryzykowne jest branie udziału w filmie Żuławskiego, znając scenariusz Grotkowskiej, czy w 12 filmach, które robiłem, na które był zapis. Jestem królem półek filmowych w Polsce. Ryzykiem artystycznym było wzięcie udziału w „Krollu” czy „Psach”. W „Psach” się zakochałem, ponieważ starałem się uciec

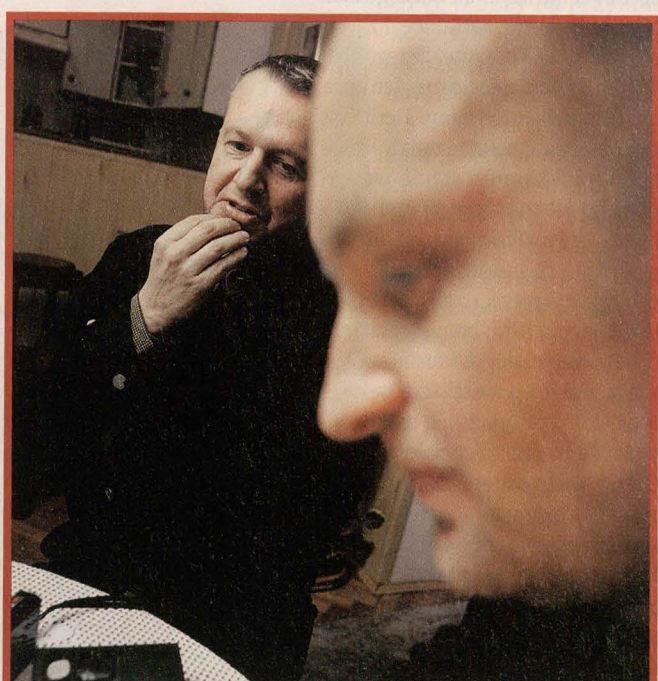
od tego, co się nazywa „Solidarnością”, od tego, co się wtedy nazywało czarne, i również od tego, co się nazywało czerwone. Starałem się dać temu wyraz w dialogach.

W jaki sposób Pan stworzył Franciszka Maurera?

– Chodziło mi o coś takiego: a ja wam, kurwa, powiem nie. W czasach, w których się wymaga zaangażowania po jakiejś stronie, trzeba powiedzieć: „Pierdolę serdecznie, wybieram wolność”. O to chodziło. Nic więcej.

Maurer był postacią trochę fantastyczną...

– Pewnie, że tak. Czy Pan wierzy w to, że policjant z jakiegokolwiek filmu amerykańskiego jest postacią prawdziwą? Że jego zachowanie jest prawdziwe? Absolutnie nie. Jak mówi stolarz w filmie: „Kino to je bajka”.



BOGDAN KRÓĆ (3)

Każde kino. Nie ma co na ten temat dywagować, bo wejdziemy inaczej w ton krytyki polskiej, będziemy zastanawiali się, co z tym filmem zrobić, że on tak nie odpowiada rzeczywistości. Kino może być dobre albo złe.

A czemu Pan się w piórka reżysera zaczął stroić?

– Ponieważ wydawało mi się, że potrafię robić filmy.

Skąd ta pewność?

– Z tego chociażby, że pracuję w filmie więcej niż poszczególni reżyserzy, ponieważ reżyser robi jeden film na rok, ja robiłem wtedy trzy, cztery czy pięć. Z różnymi reżyserami. Ponieważ przyjaźnię się z operatorami, a jednocześnie jestem dociekliwym miśm. Z kina moralnego niepokoju przejęliśmy taki zwyczaj, żeby siadać w grupie i pisać dialogi do filmu. Technicznie – siedziałem przy stołach montażowych filmów Kieślowskiego i Agnieszki Holland, uczyłem się od nich, z pełną pokorą.

Publiczność woli jednak Lindę aktora niż Lindę reżysera.

Ta prowokacyjna wypowiedź Dyducha spodobała się jedynie Świetlickiemu. Pan Linda nie dał się zbić z pantafyku i ciągnął dalej o swoich reżyserskich przygodach:

– ...dostałem scenariusz filmu politycznego „Seszele” od Czarka Harasimowicza. Kiedy już czerwoni odeszli, to raptem się okazało – a mam styczność ze scenariuszami, z tym wszystkim, co się dzieje w środowisku – że wszyscy piszą o tym, jacy to źli są czerwoni, i wszyscy robią o tym filmy. Jak się leje w czerwonego, to jest bardzo dobry film. Im bardziej się leje, tym lepszy film. Zmienialiśmy z Czarakiem scenariusz, siedząc gdzieś tam, na balkonie na Tamce, i zastanawiałem się, co, kurwa, z tego zrobić. Bo ja dostałem zezwolenie na ten film, właśnie wtedy, kiedy już było można, i powiedziałem: „Nie będę robił filmu o stanie wojennym, bo nie ma stanu wojennego”. I teraz zmieniać scenariusz, na który już się dostało zezwolenie na produkcję i pieniądze!!! Zrobiłem taki właśnie film, bo nie chciałem filmu politycznego. Musiałem coś z tym zrobić i powstało coś pięknego, coś o przyjaźni, o czymś takim. Ale po prostu chciałem zrobić film, a nie być niewolnikiem przemian ustrojowych.

Zajmuje się Pan reżyserią, a czy ma Pan jeszcze jakieś marzenia jako aktor?

– Interesuje mnie pewna przyгода, która się wiąże z tym zawodem. Na przykład robimy serial „Crimen” w Bieszczadach. Wiem, że będę przez trzy miesiące jeździł na koniu w zbroi, wejdę w klimak epoki, pojadę w 60 koni, będę musiał na planie przejechać jakimiś strumieniami, przeprowadzić te konie. Potem wieczorem się spotkamy, napijemy się wódki w hotelu, następnego dnia coś zagramy, jakąś szarżę, jakieś pojedynki. Jest przygoda. Myślę, że jeśli się dostanie jakiś naprawdę mądry scenariusz, który dotyka spraw ważnych, jakieś tam istoty, to problemem jest tylko, jak to wyrazić w filmie. I to są rzeczy istotne. Ja takie rzeczy spotykam bardzo rzadko. Natomiast jaką postać będę grał, w co będę ubrany, czy będę ja strzelał z kałacha, czy będę leżał na łóżku, na prawdę nie ma to żadnego znaczenia. Czy ja będę mówił bardzo dramatyczne rzeczy, czy będę śpiewał, pierdole. To nie jest ważne.

Ale zagra Pan w jakimś filmie Pasikowskiego?

– Oczywiście, że zagram, ponieważ się przyjaźnimy. Możliwości są dwie. Albo będę ja Brunerem, albo będę krawcem czy szew-

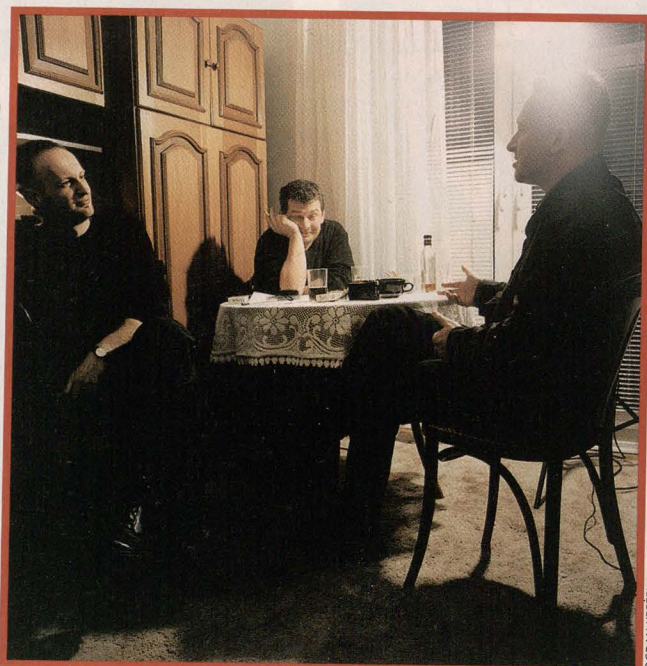
cem w małym miasteczku. Taki rozrzut. To dwie rzeczy, które on tam dziargoli, coś robi. Coś o jego rodzinie. Władek bardzo dobrze pisze...

A autobiografię by Pan sobie napisał?

– Nie. Bobym nakłamał. Jakbym pięknie nakłamał, to może byłaby to piękna literatura.

Co Pan myśli o piszących aktorach?

– Aktor ma coś takiego, co czasami się przetrzuca na życie. Aktorowi się wydaje, że potrafi wszystko, więc niektórzy piszą. To jest dosyć niebezpieczne. Znam paru aktorów, którzy grali policjantów, już się stali policjantami, i znam paru, którzy zaśpiewali i stali się piosenkarzami. Znam jednego, który pisze dobrze dialogi dla siebie, to Jurek Stuhr. Aktor zazwyczaj zajmuje się tym,



„Projekt X”... Nie lepiej było pojechać na spotkanie egzotycznej przygody bez kamery?

– Zapewniam panów, że wolę prywatnie wspinać się na góry i skakać z samolotu niż przed kamerą. Ale jak mam możliwość pojeżdżenia i zobaczenia pewnych rzeczy, to dlaczego nie. Problem stanowiły pieniądze. Mój kolega Andrzej Ziarko miał parę pomysłów na wyjazd. Olaf Lubaszenko powiedział, żeby to zanieść do telewizji, bo oni może znajdą kasę. I tak się zaczęło, zdobyliśmy fundusze i reszta powstawała przy okazji, a myśmy sobie jeździli. Takie spełnienie marzeń dziecięcych. „A byłeś w Afryce na wielbłądach?”. „Nie”. „Jedziemy?”. „Jedziemy”.

Niektórzy mówią: narcyzm duży i po co Linda rżnie twardziela, skoro to miał być dokument?

– Narracja pierwszoosobowa była wymogiem telewizji. Wolałbym być na drugim planie. Ale byli tacy niedobrzy ludzie, którzy mówili: „Udaje policjanta, a pewnie strzelać nie umie”. Postanowiłem zrobić coś takiego, żeby się odczepili.

I co? Nadal powątpiewają w Pana męskość?

– U nas, jeżeli się człowiek wdrapie na pewien stopień, to potem może tylko spaść i wszyscy czekają, kiedy się wypierdoli i w jaki sposób. Ja, kurwa, w życiu nie myślałem, że jestem jakimś macho. Wszystkie artykuły: macho, macho, twardzioszek, mało tego, jakiś misio, zły misio, przychodzi do mnie i robi mi zdjęcia dziecka przez płot i pisze artykuł w jakimś cienkim piśmie „Macho w kapciach”. I pokazuje moją córkę ze mną, chociaż nie byłem w kapciach, tylko w tenisówkach. Zresztą...

Zareagował Pan ostro...

– Tak. Procesowałem się o to cztery lata, że nie mają prawa robić mojemu dziecku zdjęcia na moim prywatnym terenie. Że jeżeli mnie gdzieś złapią, jak jestem pijany albo dłubię w nosie, to proszę bardzo. Ale nie mają prawa mieszać mojego dziecka do tego świństwa. Nie chcę, by moje dziecko było

uwikłane w media. I myślę, że mam do tego prawo. Ponieważ u nas był to kompletnie bandycki okres, więc uważałem za wskazane wytoczyć proces choćby po to, żeby pokazać, że są jakieś granice. Nawet, gdybym przegrał.

Główny motyw to było dziecko, a nie Pan?

– Tak. Moja córka na zdjęciu na tytułowej stronie. Moje życie prywatne jest moim życiem prywatnym i waram do tego.

Dla części polskiej populacji jest Pan symbolem kiczu, mówią o Panu protekcyjnie: Boguś. Wkurza to Pana? Czy to Pana to boli?

– Oczywiście, że mnie to boli, ponieważ synonimów kiczu w naszym kraju znajduje dużo więcej, dużo bardziej wyraźnych, o których się pisze na przykład, że są dużym artystą. Nie mówię, że nie lubię kiczu, ja lubię kicz nawet, ale tylko do pewnego momentu. Jeżeli nie gram w serialach, w telenowelach, to właśnie dlatego, że uważam, że w kiczu można się posunąć tylko do pewnych granic...

Jest Pan ikoną popkultury. Ustaliliśmy, że w supermarkecie zakupów Pan nie może zrobić spokojnie, bo się ludność na Pana rzuca i domaga rozmaitych świadczeń, niekiedy uzewnętrzniając pokłady agresji. Czy czuje się Pan bezpieczny?

– Miałem takich parę spotkań, 10–15 lat temu. **Ma Pan jakieś ślady po tym?**

– Stary mistrz walki, który mnie uczył kiedyś, mówił tak: „Synu, walka nie polega na tym, żeby się napierdalać, tylko żeby wygrać. A w jaki sposób? To jest twoja prywatna sprawa”.

Czy jest ktoś, kto Panu imponuje?

– Wydaje mi się, że w ogóle cykl biologiczny człowieka jest tak skonstruowany, że idoli ma się do momentu osiągnięcia dojrzałości. Imponowanie wymaga bezgranicznej wiary w coś, co ktoś wykonuje, że jest mistrzem. W sensie twórczym jestem w stanie się zakochać w jakichś tam wydarzeniach, że jest rzecz, która porusza. Jeśli mówimy o imponowaniu, to to nie polega na jakimś kulcie macho, ale akurat imponują mi ludzie, którzy na przykład umierają, ratując ludzi, tak jak teraz w Zakopanem czy gdzieś. Zdychają za to, że kogoś ratują, nie mając pojęcia o tym, co by ich w życiu jeszcze czekało, ile mają przed sobą. I bez tej świadomości bohaterstwa; idą, kurwa, i to robią. Czy choćby jakiś tam ratownik w ko-

palni, to mi imponuje. To jest rzecz, na którą, podejrzewam, mógłbym się nie zdobyć.

A jakiś święty Panu imponuje? Święty Jerzy?

– Nie istniał.

Święty Mikołaj?

– Nie wierzę.

Wymieniliśmy jeszcze około siedmiu osób świętych, które istniały. Nie znalazły jednak uznania w oczach Artysty. Po dłuższej chwili uporczywego wiercenia dziury w brzuchu i chwili refleksji powiedział:

– Święty Maksymilian Kolbe.

Dlaczego?

– Bo oddał życie za życie zupełnie obcej osoby.

•BOGUSŁAW LINDA PREZENTUJE•



Radio ZET

sluchaj rano, a Twoje życie zmieni się jak w filmie
Makszet wygrał 100-metrowe mieszkanie, luksusowy samochód i do tego panuje przez cały rok!

Od lutego twarz Bogusława Lindy promuje nową zabawę w komercyjnym Radiu Zet. W kampanii reklamowej Linda wcieliła się w bohaterów znanych filmów: Maskę, Frankensteina, Marilyn Monroe i Supermana.

•BOGUSŁAW LINDA PREZENTUJE•



Radio ZET

sluchaj rano, a Twoje życie zmieni się jak w filmie
Makszet wygrał 100-metrowe mieszkanie, luksusowy samochód i do tego panuje przez cały rok!

Wszak, w pewnym sensie, taki był jego zawód.

– Nieprawda. Pasterz nie musi oddawać życia za swoje owieczki. To nie zawód, to wybór.

Czy jest ktoś, kogo chciałby Pan poznać?

– Jestem ciekaw ludzi, ale jest tylu, których chciałbym poznać...

A jakaś aktorką, z którą Pan by chciał się na planie całować?

– Proszę panów... mnóstwo, mnóstwo. I zagranicznych, i krajowych. W całowaniu na planie jest czasem magia, element gry...

A spółkowanie przed kamerą?

– Udawanie kopulacji frustruje.

A w życiu?

– Rytuał uwodzenia jest jakby bardziej zabawny.

Nie ma co ukrywać, że temat miłośno-plciowy skierował nas ku tematowi ostatecznym. Eros wcześniej czy później doprowadza do Tanatosa:

Boi się Pan jakiejś choroby?

– Boję się choroby, która boli i która okalecza.

A gdyby Pan się dowiedział, że ma chorobę nieuleczalną...

– Nie znam siebie na tyle, myślę, że nikt siebie na tyle nie zna, żeby wiedzieć, jak się wtedy zachowa. Można sobie dywagować. Śmierć i wszystko, co jest związane ze śmiercią, to są sytuacje, których nie znamy do końca.

A starość?

– Chyba mi to nie grozi, ale nie wiadomo. Pamiętam swoją wizję siebie jako starego piernika, kiedy miałem 20 lat. I w tej chwili ją realizuję, ponieważ mam lat 50. Zaczynam się zastanawiać, co mi umyka, zmieniają się moje zachowania, zaczynam pa-

trzeć w oczy na przykład kobiet, bo one widzą w człowieku coś, czego sam nie dostrzega, pewnego rodzaju energię, samoczość, życie jeszcze się tłące, miłość, pieniądze...

Umówmy się: Bóg jest i umrzemy w luksusie, otoczeni gromadką dzieciąt i wnucząt. Co po Panu zostanie?

Po chwili namysłu pada odpowiedź:

– Zostają dzieci, czyli biologiczna kontynuacja. I złe uczynki. Więcej niewiele chyba.

Czyli to, co się zrobiło dobrego i złego, jest wieczne?

– W pewnym sensie tak.

A sztuka nie jest rzeczą wieczną?

– Sztuka może być wieczna po wiekach. Natomiast czy my możemy osądzić, co jest wieczne, w tym momencie?

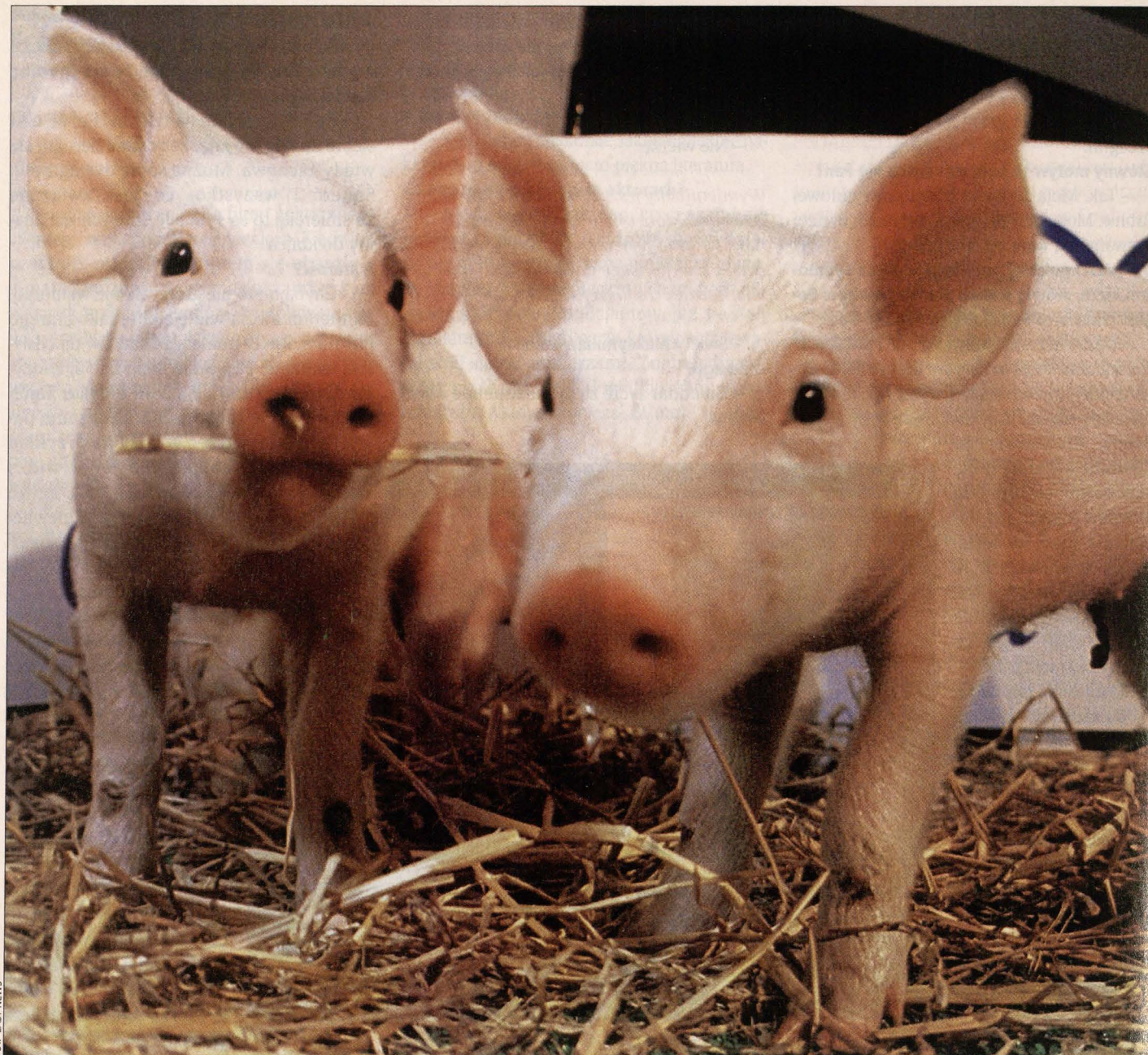
A film jest wieczny?

– Nie.

DKF na początku XXII wieku puszcza jakimś cudem zachowany film z Lindą. Który miałby to być?

– Kompletnie obojętne. Jeżeli patrzymy w tej chwili na Ludwika Solskiego, który grał Starego Wiarusa w „Warszawiance”, o której to roli legendy krążą, i że jest to rola nieśmiertelna..., i jak się ogląda faceta, który idzie krokiem pijanego, to widać ewidentnie pijanego faceta, który ani nie wzrusza, ani nie szokuje, to jest jedynie Ludwik Solski, aktor, który wtedy przeszedł... Nic więcej.

Rozmawiali
MARCIN ŚWIETLICKI
i **GRZEGORZ DYDUCH**



FOT. EAST NEWS

Dwie z pięciu sklonowanych ostatnio świnek: Noel i Angel. Pozostałe to Joy, Mary i Star. Same dziewczynki. Naukowcy mają niebawem wyhodować im kolegów

Przepis na świńskie SERCE

OLGA WOŹNIAK

Genetycy są coraz bliżej stworzenia świnki, której wątroba lub serce bez przeszkód zaaklimatyzuje się w ludzkim ciele

Jest rok 1925. Profesor Filip Filipowicz Preobrażeński skończył eksperymentalną operację — wszczepił psu przysadkę mózgową wcześniej należąca do sympatyka partii, a zarazem alkoholika i złodzieja. Z medycznego punktu widzenia eksperyment się powiódł. Ze społecznego — miał opłakane skutki. Na szczęście był tylko elementem fabuły słynnego opowiadania „Psie serce” Michaiła Bułhakowa. Gdy ukazało się ono drukiem (w Niemczech — ze względu na działającą wówczas w Rosji cenzurę), zaliczono je do gatunku science fiction. Niesłusznie. Od pięciu lat rodak Bułhakowa lekarz Serge Voronoff dokonywał w Paryżu przeszczepu tkanek zwierzęcych do organizmu człowieka. Co prawda nie były to przysadki, ale części... małpich jąder. Takie operacje, którym poddawali się starsi mężczyźni, miały dodawać wigoru i odmładzać. Niewątpliwie zaś stanowiły krok w dziedzinie ksenotransplantacji, czyli przeszczepów odzwierzęcych.

Od operacji opisanej przez Bułhakowa minęło 75 lat. Jest rok 2000. W Stanach Zjednoczonych 77 tysięcy ludzi czeka na transplantację. Ich serca, wątroby, nerki, trzustki nie są w stanie samodzielnie funkcjonować. Aby żyć, potrzebują nowych narządów. Jednak wystarczy ich tylko dla 23 tysięcy — pięć tysięcy umrze, nie doczekawszy operacji. Problem w tym, że dawców jest niewiele i nawet ogromny postęp w medycynie nie może tego zmienić. Dlatego lekarze szukają narządów „na wymianę” poza naszym gatunkiem.

Od psa, przez żabę, do małpy

Pierwsze udokumentowane próby wszczepienia ludziom narządów zwierzęcych sięgają XVII wieku. Wtedy to ubytek w czaszce pewnego rosyjskiego szlachcica załatwiano kawałkiem psiej czaszki. Zabieg co prawda się udał, ale Cerkiew prawosławna uznała chorego za odszczępionego i pod groźbą ekskomunikacji zmusiła go do usunięcia przeszczepionego fragmentu. Pod koniec XIX wieku transplantowano skórę żaby w celu leczenia oparzeń i wrzodów — była to jedna z metod dość często stosowanych w armii brytyj-

skiej. Z kolei we Francji króliczą nerkę otrzymało chore dziecko. Choć „bezpośrednie wyniki były znakomite”, mały pacjent zmarł po dwóch tygodniach. Podobne niepowodzenia, których przyczyny nie były znane, trapiły lekarzy przez następne dziesięciolecie. Idea ksenotransplantacji powróciła dopiero w połowie wieku, kiedy to po raz pierwszy udało się dokonać przeszczepów organów między ludźmi.

W latach 60. Keith Reemtsma, profesor chirurgii w Tulane University of Louisiana, przeszczepił nerki szympanсів 13 chorym. Jedna kobieta przeżyła po zabiegu dziewięć miesięcy, wracając nawet na krótko

do pracy nauczycielki. W tym samym czasie prof. James D. Hardy z University of Mississippi wszczepił człowiekowi serce szympansa. Dwie godziny po zabiegu pacjent zmarł — organ małpy okazał się za mały, by pompować krew u człowieka. Kilkanaście lat później inny lekarz — legendarny już Christiaan Barnard z RPA — próbował wyko-



FOT. EAST NEWS

Blisko 400 osób rocznie umiera w Polsce, nie doczekawszy przeszczepu serca. Brakuje dawców

Jedyną udaną operacją z wykorzystaniem małpiej tkanki okazał się przeszczep szpiku. W 1995 roku chory na AIDS Jeff Getty otrzymał życiodajne komórki od pawiana. — Pomysł był następujący — opowiada dr Suzane T. Ilstad z Allegheny University of the Health Sciences, która przeprowadzała operację. — Pawian jest odporny na

zrastać serca pawiana i szympansa jako „tymczasowe zastępstwo” u dwóch pacjentów, u których przeszczepy ludzkich serc nie funkcjonowały prawidłowo. Znów okazały się niewystarczające. „Za małe dla dorosłych, ale może dobre dla dzieci?” — pomyśleli lekarze. Postanowili to sprawdzić. Okazja do tego nadarzyła się w roku 1984. Wtedy to urodzonemu przedwcześnie z wadą serca Bobowi Facowi (naukowcy nazwali go niemowlęciem FAE) przeszczepiono serce pawiana. Pomimo zastosowania nowych leków ochraniających transplantowany organ dziecko żyło tylko 20 dni.

Z SERCEM NA DŁONI

Jednym z pionierów ksenotransplantacji był południowoafrykański chirurg, doktor Christiaan Barnard (1922–2001). W 1967 roku udało mu się przeprowadzić pierwszy przeszczep serca (pobranego od człowieka). Próbował zastosować serca małp u pacjentów, którzy czekali na dawcę. Nie było mu łatwo ze względu na niechęć społeczeństwa. Etycy protestowali, uważając serce za „siedlisko duszy”. — Jednostka to mózg — odpowiadał. — Serce to tylko prymitywna pompa.

Jego doświadczenia z przeszczepami od zwierząt się nie powiodły. Serca pawianów i szympanсів były za małe dla człowieka. Dr Barnard zajął się więc doskonaleniem transplantacji narządów pobieranych od ludzi. Badał też procesy starzenia. Liczył, że uda mu się przedłużyć życie, które tak mu smakowało (był wielbicielem nocnych klubów i kobiet — trzykrotnie żonaty). Zmarł nagle. Przyczyną śmierci był... zawał serca.

Na zdjęciu: dr Christiaan Barnard (z lewej) wraz z pionierami kardiologii — dr. Michaeliem de Bakey'em (pośrodku) i dr. Andrinem Kantrem. Grudzień 1967 roku

wirusa HIV, więc mieliśmy nadzieję, że jeśli komórki jego szpiku przeszczepimy człowiekowi, to i on nie będzie chorował na AIDS — wyjaśnia. Wcześniej dr Ilstadt musiała poddać Getty'ego serii naświetlań i chemioterapii, które zniszczyły jego własny szpik. Po przeszczepie stan chorego poprawił się na tyle, że trzy

krewniakami człowieka, by opinia publiczna tolerowała ich masową hodowlę na potrzeby transplantacji. A ponieważ każdego roku w samych Stanach zabija się ponad 100 milionów świń w celach czysto spożywczych, społeczeństwo łatwiej zaakceptowałoby „transplantacyjną hodowlę”.

Z tego powodu amerykańska Komisja ds. Żywności i Leków (FDA) zakazała eksperymentów z przeszczepianiem ludziom świńskich narządów. Zakaz uchyliła dopiero pod koniec roku 1997, kiedy naukowcy stwierdzili, że potrafią zidentyfikować specyficzne dla świń mikroby i wykazać, czy są one obecne w ich

rozpoznaje świńskie komórki — na ich powierzchni znajduje się pewien rodzaj cukru (zwany alfa-1-galaktozą) niewystępujący u ludzi. Wystarczy pozbawić je tej „etykiety”, a narządy świń staną się dla nas jak własne. Wydaje się to proste, ale nie sposób tego dokonać bez precyzyjnych manipulacji genetycznych.

W komórkach świń drzemia nieaktywne wirusy. Przeniesione do organizmu człowieka mogą się nagle obudzić. Będą złe

lata później mógł opowiedzieć o swoim przypadku na zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Rozwoju Nauki. — Uczniowie nie są zgodni, czy należy ludziom przeszczepiać tkanki i organy zwierzęce. Tymczasem pacjenci potrzebują takich przeszczepów i już! — krzyczał do naukowców.

Lekarze nie przestali interesować się ksenotransplantacją, jednak skreślili małpy z listy potencjalnych dawców narządów.

Nasz najlepszy przyjaciel (albo wróg)

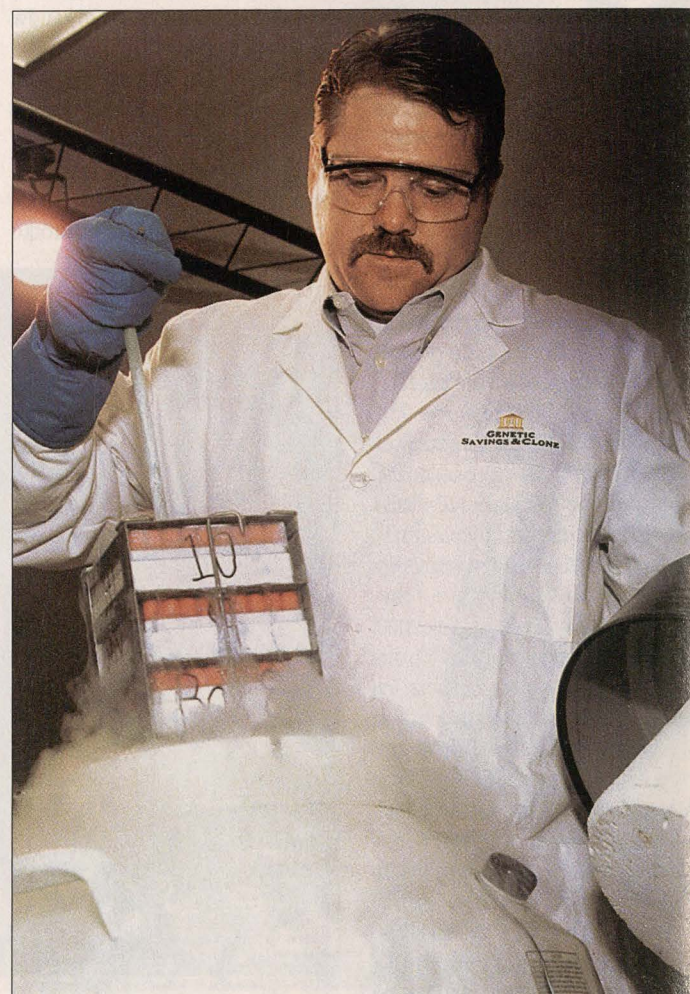
Wieloletnie badania pokazują, że najlepszym kandydatem na dawcę organów dla człowieka jest świnia. Choć w ogólnym przekonaniu nie jest to zwierzę nazbyt szlachetne,

Jednak przeszczepy odzwierzęce nie u wszystkich budzą entuzjazm. O co chodzi? — O ryzyko przeniesienia chorób, które do tej pory występowały tylko wśród zwierząt — mówi dr Thomas Murray, dyrektor Centrum Etyki Biomedycznej Uniwersytetu Case Western Reserve. Organizm biorcy jest idealnym środowiskiem dla rozwoju wirusów obecnych w tkankach dawcy. Gdy pobieramy organ od innego człowieka, ryzyko przeniesienia jakiejś choroby istnieje tylko dla biorcy. Jeśli jednak dawcą jest świnia, może wybuchnąć nieznana dotąd epidemia.

Szczególnie groźne są dla nas świńskie retrowirusy — mikroby, które włączają swój materiał genetyczny bezpośrednio do DNA zaatakowanego organizmu. Takie wirusowe

geny stanowią jeden procent ludzkiego DNA i występują także u współczesnych zwierząt. Trafiły tam w odległej przeszłości i teraz przenoszą się z pokolenia na pokolenie, zwykle w formie nieaktywnej. Jednak gdyby retro-

wirusy świni trafiły do organizmu człowieka — zwłaszcza osłabionego lekami ułatwiającymi przyjęcie przeszczepu — mogłyby się ponownie uzłodzić i zaatakować.



Komórki czekają na klonowanie w mroźnej kąpieli z ciekłego azotu

komórkach. Dziś potrafią już hodoować zwierzęta wolne od wirusów.

Przeszczepianie bez cukru

Do pokonania została jeszcze jedna przeszkoda — najważniejsza, bo krzyżująca plany lekarzy od początku historii ksenotransplantacji. Nasz układ odpornościowy z łatwością orientuje się, że przeszczepiony narząd pochodzi od świni. Świńskie komórki są dla naszego ciała obce, a obcy oznacza wroga — dlatego przeszczep odzwierzęcy prędzej czy później jest bezlitośnie niszczone.

Na szczęście naukowcy wiedzą już, po czym układ odpornościowy

Wiemy już jednak, że jest to możliwe. Na początku stycznia cały świat obieżyły zdjęcia pięciu różnych, karłowatych świnek sklonowanych przez badaczy z amerykańskiego University of Missouri oraz firmy Immerge BioTherapeutics. U zwierzątek tych udało się znacznie zmniejszyć ilość „świńskiego cukru”, a już wkrótce powinny powstać osobniki zupełnie go pozbawione. Wtedy droga do przeszczepów odzwierzęcych będzie stała otworem. Jeśli wszystkie eksperymenty wypadną pomyślnie, pierwsze próby transplantacji świńskich narządów rozpoczną się w roku 2005.

Naukowcy nie wiedzą jednak, czy te machinacje w świńskim DNA nie wpłyną źle na zdrowie zwierząt. Druga wątpliwość, to czy na przykład wieprzowe wątroby nie będą produkować substancji różniących się od ludzkich i czy dobrze to znieśie nasz organizm. Dlatego zanim świat zapełni się ludźmi o świńskich sercach, zostaną przeprowadzone szczegółowe testy na... małpach, które tym samym awansują z dawców na biorców. Na początek będą dla nas testować nowy sposób leczenia cukrzycy — przeszczep z wieprzowych komórek trzustkowych odpowiedzialnych za produkcję insuliny.

Będzie jak w książce?

W 1999 roku szwajcarski parlament — wbrew stanowisku rządu — zezwolił na przeprowadzanie ksenotransplantacji. Od tego czasu lekarze mogą tam przeszczepiać ludziom organy, tkanki i komórki zwierzęce. Zgodę na takie eksperymenty wydały też parlamenty USA, Kanady i Wielkiej Brytanii.

Dla chirurgów takich jak Asgar Khaghani, który wykonał już prawie tysiąc ludzko-ludzkich przeszczepów w podlondyńskim Harefield Hospital, ksenotransplantacje to ekscytująca perspektywa. — Być może brzmi to nazbyt optymistycznie lub nawet futurystycznie, lecz moim zdaniem hodowanie zwierzęcych dawców stanie się niedługo rzeczywistością — twierdzi. — Myślę, że będziemy mogli mówić o sukcesie, jeśli uda nam się dojść w ciągu 10 lat do tego samego poziomu praktycznego zastosowania narządów zwierzęcych, jaki osiągnęliśmy w przypadku narządów ludzkich — dodaje.

W Polsce od dawna w operacjach serca stosuje się zastawki sercowe świń (chemicznie zabezpieczone przed atakiem układu odpornościowego biorcy), a skóra tych zwierząt jest stosowana przy zszywaniu rozległych ran.

Dobrze by jednak było, aby przed przeszczepieniem pierwszego świńskiego serca wszyscy entuzjaści zajrzeli do „Psiego serca”. Bułhakow przecież także był lekarzem i dobrze wiedział, jak się to wszystko może skończyć.

OLGA WOŹNIAK

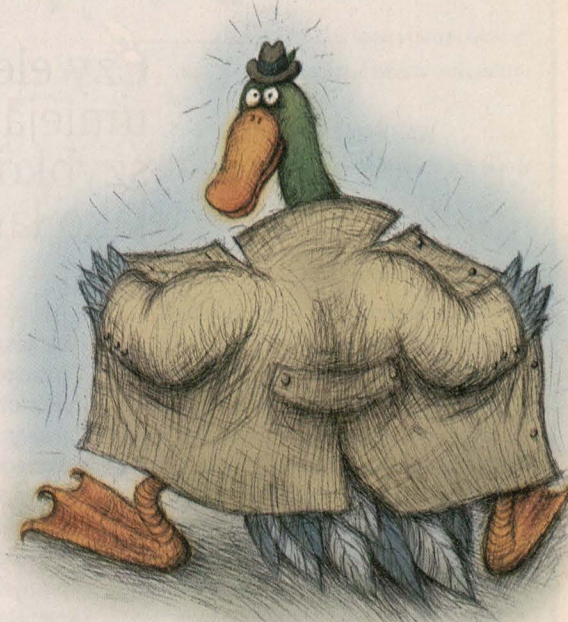
MARZENNA NOWAKOWSKA I PIOTR SOCHA przedstawiają:

KOŃ bY się uśMiał

CHODZI O ROZMIAR!

Czystość europejskich kaczek zagrożona przez bezwstydne pokazy amerykańskich kaczorów!

Kaczory sterniczek w zalotach prezentują penisy. Jest się czym chwalić. Narządy te zachowały się u zaledwie trzech procent gatunków ptaków, a wyjątkowo imponujące akurat u ośmiu gatunków sterniczek. Rekordzista może się pochwalić 20 centymetrami długości, co stanowi niemal połowę długości zwierza! Ku uciesze kaczek samce popisują się w grupach, więc panie mogą porównać wszystkie rozmiary i wybrać najokazalszego partnera. Jeszcze do niedawna w Europie konkurowały ze sobą tylko kaczory sterniczek zwyczajnych, gatunku bardzo rzadkiego (w Polsce spotykanego sporadycznie). Ostatnio jednak pojawiła się konkurencja ze strony sterniczek jamajskich. Ptaki te zostały sprowadzone z Ameryki Północnej jako ozdoba prywatnych kolekcji, ale wydostały się na wolność i zaczęły rozmnażać. Choć kaczory zza oceanu są mniejsze, jednak w czasie prezentacji muszą robić na naszych kaczkach niezapomniane wrażenie — rozmiary ich narządu przekraczają bowiem wszelkie europejskie standardy. Coraz częściej pojawiają się więc mieszańce.



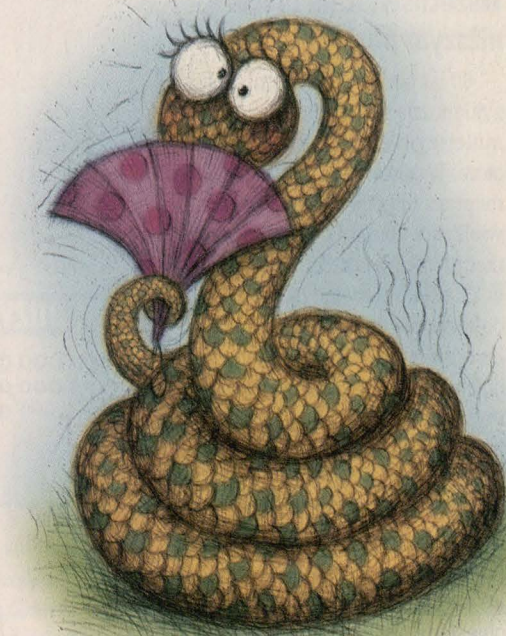
Zagrożenie dla czystości genetycznej europejskiego gatunku jest tak duże, że Hiszpania i Wielka Brytania zdecydowały się na odstrzał jamajskich kaczorów i ich potomstwa. Nawet ptaki mają swoich stróżów moralności...

Na podstawie „Nature” nr 407 (2000)

WĘŻOWE BAKI

To, co wśród ludzi uchodzi za towarzyski nietakt, węże uważają za dobry sposób wyrażania emocji

Gdy wąż czuje się niepewnie, syczy ostrzegawczo lub grzechocze. Na pustyni Sonora w USA należy być uczulonym na inne dźwięki, do złudzenia przypominające takie, jakie są wydawane przez ludzi objedzonych grochówką. Seria odgłosów, która oburza na salonach, u dwóch gatunków pustynnych węży stanowi podstawowy sposób komunikowania się z następnikiem i znaczy tyle, co „Uważaj, bo pokąsam”. „Kloaczne wystrzały” — jak w literaturze naukowej nazywa się węzowe puszczenie wiatrów — słychać z odległości dwóch metrów, a osiągają one głośność 70 decybeli. Naukowcy z Lafayette College w Pensylwanii opisali też pozostałe cechy dźwięku, ale nie wdawajmy się w szczegóły. Dość powiedzieć, że szef badań puszczał studentom nagrania owych odgłosów i musiał się zarzekać, że nie dokonał nagrania we własnej toalecie. Naukowcy stwierdzili także, że węże z pustyni Sonora nie mają żadnych szczególnych przystosowań anatomicznych do emisji takich dźwięków. Być może



więc — wnioskują uczeni na łamach poważnego czasopisma naukowego — stosowanie kloacznych wystrzałów jest wśród gadów znacznie popularniejsze. Pamiętajmy o tym przy najbliższej wycieczce do lasu, bo nietaktem byłoby zlekceważyć ostrzeżenie wystosowane przez żmiję zygzakowatą.

Na podstawie „Journal of Herpetology” nr 3 (1999)

Witajcie w świecie atto

WALDEMAR SADOWSKI

Czy elektron jest fotogeniczny? Tak. Naukowcy umieją go sfotografować, nawet gdy bardzo szybko się porusza. Aby zrobić takie zdjęcie, jako lampy błyskowej trzeba użyć lasera

Powiedzenie, że Wszechświat jest niewyobrażalnie wielki, to tylko część prawdy. Wszechświat jest również niewyobrażalnie mały. Wszystko zależy od tego, w którą stronę się skierujemy. Z wielkimi odległościami i długimi przedziałami czasu mamy do czynienia w kosmosie.

Jednak jeżeli odłożymy na bok teleskopy i spojrzymy w przeciwnym kierunku prze z zupełnie inne instrumenty, zobaczymy drugą stronę naszej rzeczywistości – świat niewyobrażalnie mały. Jest to po prostu inne oblicze Wszechświata, nieustępujące kosmosowi bogactwem ani różnorodnością.

Wszechświat na nieco niższym poziomie

80 lat temu w podręcznikach fizyki można było przeczytać, że najmniejszym elementem świata jest atom. W porównaniu z dostrzeganymi przez ludzkie oko przedmiotami wielkości ułamka milimetra atomy rzeczywiście są bardzo małe. Jednak w XX wieku wewnątrz atomu nauka odkrywała coraz mniejsze obiekty. Za tymi odkryciami idą próby oprowadzania nowej rzeczywistości i wyważenia dla zachodzących w niej zjawisk praktycznych zastosowań.

Najpierw udało się nam opanować świat na poziomie mikro – jednej milionowej metra. Wkrótce potem badacze zaczęli schodzić na jeszcze niższy poziom, wypełniony obiektami wielkości rzędu jednej miliardowej metra – to świat nano.

W ciągu ostatnich lat powstała dzięki temu zupełnie nowa dziedzina wiedzy – nanotechnologia. Mamy już wiele narzędzi, które pozwalają nam operować atomami i budować z nich różne przedmioty: powstają pierwsze silniki molekularne. Tech-

Błysk flesza pozwolił fotografowi uchwycić szczegół postaci w ruchu. Z tego pomysłu skorzystali naukowcy, fotografując poruszające się atomy. Jako lampy błyskowej użyli lasera



TAKI DUŻY, TAKI MAŁY MOŻE WSZECHŚWIAT BYĆ

1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ²⁴	Y	yotta
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ²¹	Z	zatta
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ¹⁸	E	eksa
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ¹⁵	P	peta
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ¹²	T	tera
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ⁹	G	giga
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ⁶	M	mega
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ³	k	kilo
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ²	ha	hekto
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ¹	da	deka
1 000 000 000 000 000 000 000 000 000	10 ⁰		jeden
0,1	10 ⁻¹	d	decy
0,01	10 ⁻²	c	centy
0,001	10 ⁻³	m	mili
0,000 001	10 ⁻⁶	μ	mikro
0,000 000 001	10 ⁻⁹	n	nano
0,000 000 000 001	10 ⁻¹²	p	piko
0,000 000 000 000 001	10 ⁻¹⁵	f	femto
0,000 000 000 000 000 001	10 ⁻¹⁸	a	atto
0,000 000 000 000 000 000 001	10 ⁻²¹	z	zatto
0,000 000 000 000 000 000 000 001	10 ⁻²⁴	y	yatto

nika nano wkrótce zrewolucjonizuje naszą cywilizację – maszyny mniejsze od ludzkich komórek będą mogły bronić nas przed chorobami i starością, a nawet podłączać nasz mózg bezpośrednio do Internetu czy mózgów innych ludzi.

Po spenetrowaniu świata atomów fizycy odkryli następne, jeszcze mniejsze poziomy materialnej rzeczywistości.

Nowy, kwantowy świat

Docierają do nich na dwa sposoby. Teoretycznie – przez budowanie modeli rzeczywistości i dokonywanie skomplikowanych obliczeń, które ją objaśniają. Druga droga prowadzi poprzez eksperymenty – konstruowanie instrumentów, dzięki którym nieznane obszary możemy obejrzeć za pomocą dostępnych nam zmysłów. Światy mikro i nano opanowane zostały dość dobrze, zarówno na poziomie teoretycznym, jak i doświadczalnym. Wkroczyli już do nich „zwykli” inżynierowie i konstruktorzy. Teraz dla wielu naukowców prawdziwe wyzwanie stanowią jeszcze dość słabo poznane krainy atto i femto.

W świecie femto czas liczy się w femtosekundach. Jedna femtosekunda to 0,000 000 000 000 001 sekundy; do jednej sekundy ma się tak, jak ta do 32 milionów lat. Schodząc jeszcze dalej i głębiej w świat materii, docieramy do strefy atto. Jest to świat tysiąckrotnie mniejszy od femto. Jedna attosekunda ma się do jednej sekundy tak, jak ta ostatnia do 32 miliardów lat (to ponad dwa razy więcej niż czas, który upłynął od Wielkiego Wybuchu). Nie dość więc, że owe krainy zbudowane są z bardzo

małych obiektów, to jeszcze wszystko w nich odbywa się tak szybko, iż do niedawna nie umieliśmy takich zdarzeń zarejestrować.

Przed naukowcami pojawia się nowy, rozległy wszechświat. Rządzą tu zupełnie inne prawa niż w naszym widzialnym świecie. Dla nauki istnienie tego niezbadanego ładu jest prawdziwym wyzwaniem. Jest to królestwo fizyki kwantowej. Dzieją się tu niezwykle ciekawe i trochę zwariowane rzeczy, które ciężko zrozumieć ludziom żyjącym pośród przedmiotów wielkości kota, samochodu czy wieżowca.

No bo jak sensownie wytłumaczyć, że jakiś obiekt (na przykład elektron w atomie) może być w dwóch miejscach jednocześnie? A tak właśnie wygląda rzeczywistość w zakamarkach materii. Nic dziwnego, że naukowcy z uporem próbują zobaczyć coraz to mniejsze obiekty.

Milion miliardów tyknięć na sekundę

Wiedzy o świecie – w tym także o tych światach, które nie są dla nas bezpośrednio dostępne – najczęściej dostarcza nam światło, oczywiście o różnej długości fali (a więc także na przykład promieniowanie rentgenowskie). Fotony światła wysłane do różnych obiektów i odbite od nich wracają, niosąc cenne informacje. Przy badaniu kosmosu posługujemy się teleskopami – za ich pomocą dość łatwo jest zrobić zdjęcie nawet odległej gwiazdy.

Jednak by zobaczyć granice budowy materii, potrzebujemy aparatu fotograficznego zbudowanego z lasera i mikroskopu. Laser, wytwarzając światło o stałej długości fali, pełni tu rolę lampy błyskowej – oświetla interesujący nas obiekt. Wystarczy odczytać to, co się od obiektu odbiło – za pomocą mikroskopu – i zapisać, najlepiej w komputerze.

W zwykłych aparatach fotograficznych światło odbite od krajobrazu, przedmiotu czy osoby utrzuwa się na kliszy. W czasach pierwszych aparatów fotograficznych, by uścisnąć swoje zdjęcie, fotografowany musiał spędzić przed obiektywem nawet godzinę. Dzisiaj zwykłym aparatem można utrwać wyczyni sportowców – migawki otwierają się na jedną tysięczną sekundy, a lampy błyskowe potrafią równie szybko

oświetlać obiekt (im szybciej się on porusza, tym szybszy musi być błysk światła, aby obraz nie został zniekształcony). Jednak obiekty na poziomie femto są tak małe i poruszają się tak prędko, że do ich oświetlenia nie wystarczą nawet najszybsze lampy. Dlatego na ich obserwację pozwalają tylko lasery.

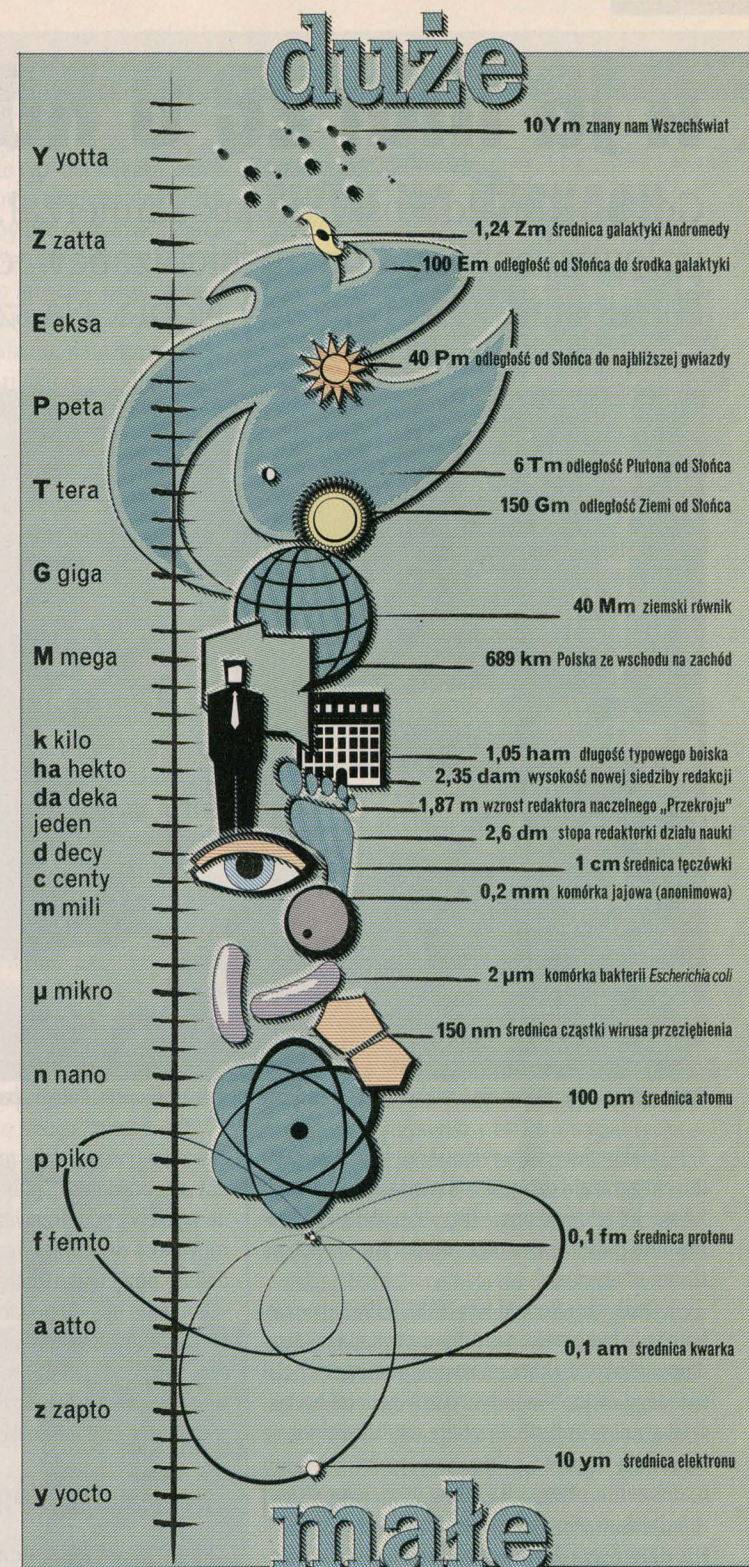
Dotychczas dzięki nim można było wytworzyć jedynie femtosekundowe błyski światła. Jednym z pionierów ich stosowania jest chemik Ahmed H. Zewail, Egipcjanin pracujący w USA. Za pomocą precyzyjnej techniki laserowej umożliwiającej obserwację przebiegu reakcji chemicznych udało mu się „sfotografować” świat femto. Ukonorowano go za to Nagrodą Nobla (2000 r.) w dziedzinie chemii.

Choć tak trudno je uchwycić, naukowcy znaleźli już zastosowanie dla zjawisk w skali femto. Fizycy amerykańscy zbudowali zegar, którego „wahadłem” jest pojedynczy atom rtęci. Atom ów w odpowiednich warunkach wysyła promieniowanie o częstotliwości jednego petaherca – w ciągu jednej sekundy „tyka” milion miliardów razy. (Nawet taki zegar nie jest idealny. Może się spieszyć lub opóźniać siedem femtosekund w ciągu sekundy, to znaczy, że za 4,5 mln lat będzie się spieszył lub opóźniał aż o sekundę!).

Z kolei naukowcy niemieccy wykorzystali femtolaser jako precyzyjny skalpel. Impuls światła laserowego trwa jedną tysięczną jednej bilionowej sekundy. Cięcia wykonane takim laserem są niezwykle precyzyjne i nie niszczą materiału. Tę technologię wykorzystuje się przede wszystkim w medycynie.

Elektron jak żywy

Niedawno Ferenc Krausz wraz z zespołem badaczy z Politechniki Wiedeńskiej opracował laser wytwarzający tysiąc razy krótsze błyski światła – attosekundowe, czyli trwające 0,000 000 000 000 000 001 sekundy. Dzięki temu po raz pierwszy udało się sfotografować poruszający się elektron w atomie gazu szlachetnego – kryptonu. Naukowcy oświetlili laserem inny gaz – neon – a wyemitowane przez ten atom światło przepuścili przez specjalny filtr z cyrkonu. W trakcie owego procesu powstawały attosekundowe błyski,



które penetrowały wnętrza atomu kryptonu. Dzięki specjalnej aparaturze naukowcy mogą obserwować fotony, które – odbite od pojedynczych elektronów tego gazu – przekazują informacje na ich temat.

Dla nauk eksperymentalnych rozpoczęła się nowa epoka – możemy docierać coraz dalej w głąb materii. Zbliżamy się do jednej z granic naszego Wszechświata. Nadal jednak nie mamy jeszcze instru-

mentów, które zaprowadziłyby tam, gdzie widać jego kres. Wciąż istnieją niższe poziomy i mniejsze zjawiska, do których nie mamy dostępu: zatto – jedna tryliardowa sekundy czy metra – i yocto – jedna kwadrylionowa. To światy, w których można by dokładnie zobaczyć, jak wygląda kwark i czy można go podzielić na jakieś kawałki. Gdybyśmy tylko wiedzieli, czym go oświetlić...

A ja marzę o komarze

Gdyby Ronald Ross, tak jak zamierzał, strawił swoje życie na golfie, polowaniach i grafomańskich zabawach, nie zostałby szlachcicem. Nie dostałby też Nagrody Nobla. Na szczęście zajrzał w mikroskop...



Przez cztery lata sir Ross nie umiał dostrzec zarodźców pod mikroskopem. Potem opanował to w parę minut

...i jako pierwszy wykazał, że to komary widliszki zarażają człowieka malarią. Na początku XX wieku takie odkrycie dawało nadzieję na uratowanie milionów istnień ludzkich – a więc na triumf medycyny.

Jednak sam Ronald Ross (1857–1932) początkowo nie był przekonany do uprawiania tej dziedziny wiedzy. Lekarzem został, ponieważ chciał tego jego ojciec – apodyktyczny generał brytyjskiej armii w Indiach. Przyszły noblista dostał się na studia dopiero za drugim razem, a po ich ukończeniu przypadła mu w udziale praktyka w indyjskim odpowiedniku „Przystanku Alaska”. Nic dziwnego, że pracę traktował jako zło konieczne, przedkładając nad nią typowo brytyjskie rozrywki – golf, polowanie czy tworzenie kiepskich dzieł literackich wszelkiego rodzaju: powieści, sztuk teatralnych i wierszy.

Dopiero urlopy spędzane w Anglii zmieniły nastawienie Rossa do sztuki medycznej. Jego nowym hobby stał się tam mikroskop, za pomocą którego próbował dojrzeć odkrytego parę lat wcześniej pierwotniaka zwanego zarodźcem. Wiedzano już wówczas, że ów mikroskopijny krewny pantofelka i ameba ma coś wspólnego z szalejącą w tropikach malarią, ale sama istota choroby nadal pozostawała nieznana. Świadczy

zresztą o tym nazwa – *mal aria* po włosku oznacza „złe powietrze”, ponieważ to właśnie bagienne wyziewy podejrzewano o wywołanie choroby. Ross przez pierwsze lata nie wyszedł zbyt daleko poza tę definicję, uznając malarię za... schorzenie układu pokarmowego.

Dopiero Patrick Manson z Londynu, wybitny specjalista od chorób tropikalnych, wskazał mu właściwą drogę. Nauczył go odnajdywania pierwotniaków pod mikroskopem i – co najważniej-

sze – zaraził ideą zakładającą, że to komary przenoszą malarię na człowieka. Ross poświęcił kilka następnych lat swego życia, aby dowieść słuszności tego, jak określał, „genialnego domysłu”.

Jednak w Indiach nie było to proste. Przełożonym lekarza nie podobało się, że poświęca on tyle czasu na badania naukowe. Te zaś okazały się żmudne i często prowadziły w ślepią uliczkę. Ross musiał m.in. opanować do perfekcji sztukę preparowania niewielkich wszak komarów w poszukiwaniu złowrogiego zarodźca. Często wydawało mu się, że jego wysiłek do niczego nie doprowadzi; w pewnym momencie chciał wręcz porzucić zawód lekarza i zostać pisarzem. Na szczęście Manson wybił mu to z głowy.

Pierwszy upragniony sukces przyszedł po dwóch latach. 40-letni wówczas Ross ujrział pod mikroskopem zarodźca malarii przyczajonego w komarym żołądku. Na cześć owego dokonania popełnił stosowny utwór:

Owego dnia łaskawy Bóg
Tę odkryć mi pozwolił
Przecudną rzecz. I Mu do nóg
upadną. Z Jego woli

Zgłębiam sekrety znane Jemu,
We łzach i z rwącym się oddechem
Przysłgdam się nasieniu temu,
Co jest milionów śmierci echem.

Drobina ta, ja o tym wiem,
Ocalić może i miliardy.
O Śmierci, cóż orzęm twem?
I czemu wyrok twój tak twardy?
(tłum. Jan Stradowski)

NAGŁY ATAK PIERWOTNIAKA

Malaria ma kilka odmian, a każdą z nich wywołuje inny gatunek zarodźca. Choroba przenosi się przez krew i za pośrednictwem komarów. Gdy kogoś ugryzie zakażony owad, pierwotniak przenika do organizmu i atakuje przede wszystkim czerwone krwinki. Namnaża się w nich przez kilka dni, a potem je niszczy, wywołując u chorego atak gorączki, dreszczy i osłabienia. Towarzysząca temu anemia może być śmiertelna, zwłaszcza u dzieci i osób niedożywionych. Malarię do dziś leczy się chininą i jej pochodnymi.

Te trzy strofy są ponoć jednymi z najlepszych w twórczości uczonego.

Pięć lat po ich napisaniu Ross mógł cieszyć się wszelkimi honorami przysługującymi Wielkiemu Odkrywczy – tytułami (w tym szlacheckim), medalami i propozycjami pracy. Jednak nie dały mu one wiele satysfakcji. Wręcz przeciwnie – sir Ronald uważał, że jego praca jest niedoceniana. Nawet Nobel (1902) nie ukołił jego żalu. Przez resztę życia walczył ze współczesnymi naukowcami i politykami o konieczność przeciwdziałania malarii. Niestety, przegrał. Do dziś choroba ta zabija rocznie miliony ludzi w ubogich krajach, a szczeniaki nadal nie opracowano.

JAN STRADOWSKI

NAIWNE PYTANIA CZY ATOMY MAJĄ KOLOR?

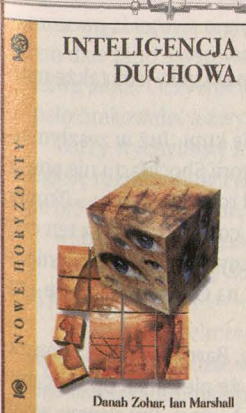
Dlaczego widzimy jakiś przedmiot? Ponieważ odbija on światło, które rejestrują nasze oczy. A dlaczego ów przedmiot ma kolor? Właściwie to nie on, tylko odbite od niego światło. To, w jaki sposób zostanie ono odbite, zależy od materiału, z którego tenże przedmiot jest zbudowany. Na przykład liść odbija głównie kolor zielony – takim go więc widzimy. Najbardziej kolorowe jest... światło białe, będące wynikiem zmieszania wszystkich kolorów tęczy – czerwonego, pomarańczowego, żółtego, zielonego i fioletowego. Przedmiot nim oświetlony będzie miał najintensywniejszą barwę.

W atomach lub cząsteczkach częścią odbijającą światło są elektrony otaczające jądra atomowe. Kolor powstaje w dwóch etapach: 1) elektrony absorbują (pochłaniają) część światła padającego na atom czy cząsteczkę, 2) następnie emitują je z powrotem, czyli świecą.

Pojedynczy atom świeci niezbyt okazale. Na przykład sód absorbuje i emituje światło, które widzimy jako żółte (można to sprawdzić, wysypując trochę soli na palnik kuchenki). Natomiast grupy atomów, a zwłaszcza cząsteczki składające się z różnych pierwiastków, mogą mieć bardziej wyszukane kolory, bo każdy atom może świecić swoją barwą. Dlatego farby czy barwniki z reguły składają się z bardzo skomplikowanych cząsteczek.

Odpowiadał Stephen Pordes
z amerykańskiego laboratorium Fermilab

POD STRZECHY POTRÓJNE ŻYCIE INTELIGENCJI



Jestem inteligentna. Brzmi to może niezbyt skromnie, ale robiono mi kiedyś test na inteligencję, więc wiem, że moje IQ wynosi 170 (do elitarnej Mensy przyjmują od 148). Kilka lat tkwiłam w tym błogim przekonaniu i było mi ze sobą bardzo przyjemnie – do

czasu, gdy w moje ręce wpadła książka Danie-la Golemana „Inteligencja emocjonalna”. Okazało się wtedy, że – aby być prawdziwie inteligentnym – nie wystarczy wysokie IQ. Musimy być jeszcze otwarci na innych – uświadamiać sobie uczucia własne i bliźnich. Inteligencja emocjonalna wyzwala w nas motywację, współczucie i jest warunkiem prawidłowego posługiwania się intelektem. Zaniepokoiła mnie ta informacja, ale szybko się uspokoiłam, robiąc sobie kolejne testy – z inteligencją emocjonalną było u mnie OK. Znowu bez przeszkód oddałam się błogiemu przekonaniu, że mądra jestem niezwykle.

A tu masz! Rebis wydaje książkę amerykańskich uczonych zajmujących się ludzkim umysłem. Dowodzą oni niezbitie, że obok inteligencji racjonalnej i emocjonalnej istnieje jeszcze jedna, bez której ani rusz. To inteligencja duchowa. Jak twierdzą autorzy książki Danah Zohar i Ian Marshall, jest to najważniejszy rodzaj inteligencji; ludzie nią obdarzeni mogą być twórcy, zmieniać reguły i wpływać na okoliczności, w jakich się znaleźli, oraz zadawać sobie pytanie „dlaczego?”. Dzięki niej mamy marzenia, ambicje, system wartości, potrzebę Boga – jesteśmy istotami duchowymi.

I co teraz ze mną będzie? Jestem inteligentna czy nie? Do czasu wynalezienia kolejnych testów – polecam lekturę.

Danah Zohar, Ian Marshall „Inteligencja duchowa”, wydawnictwo Rebis, Poznań 2001

KTO BY POMYŚLAŁ KOZA JAK SPIDERMAN

Czy kozy mają coś wspólnego z pajakami?

W amerykańskiej firmie Nexia – całkiem sporo, bo mają posłużyć do produkcji pajęczyny na skalę przemysłową. Pajęczyna jest bowiem produktem białkowym, którego składowe mogą być produkowane przez genetycznie zmodyfikowane kozy i wydzielane wraz z mlekiem. Potem wystarczy uprząść pajęczynę z mleka (za pomocą najnowszej technologii) i oto mamy superlekkie, bardzo wytrzymałe naturalne włókno – idealny surowiec na szwy chirurgiczne albo... kamizelki kuloodporne. Wynalazkiem żywo interesuje się armia USA.



POSTAĆ FIZYK NA DESKACH



Nie wydaje mi się, by ten fantastycznie odważny wszechświat, ta ogromna przestrzeń istniejąca przez tyle czasu oraz różne gatunki zwierząt, wszystkie te rozmaite planety i atomy ze wszystkimi ich

ruchami, były jedynie sceną stworzoną po to, by Bóg mógł obserwować ludzi walczących o dobro i zło. Ta scena jest zbyt duża jak na ten dramat – twierdził publicznie wielki fizyk Richard Feynman (1918–1988). Długowłosey, ekscentryczny, ubarwiający swoje wykłady z fizyki kwantowej grą na bongo stał się pośmiertnie bohaterem sztuki teatralnej. Na deskach Vivian Beaumont Theater na Broadwayu wystawiana jest sztuka „QED”, w której postać niezwykłego naukowca odtwarza znany z serialu „M.A.S.H.” aktor Alan Alda.

Co oznacza tytuł? Na pewno tzw. elektrodynamikę kwantową, jedną z najdoskonalszych współczesnych teorii fizycznych, która znakomicie tłumaczy zjawiska elektromagnetyczne. Feynman był jednym z twórców QED i został za to uhonorowany Nagrodą Nobla (1965). Jednak skrót ten można też rozwinąć do facyjskiej maksymy *quod erat demonstrandum*, czyli po polsku c.b.d.o. – co było do okazania. Tym uniwersalnym stwierdzeniem naukowcy wieńczą swe wywody. Feynman zapewne nieraz go używał, choć równocześnie twierdził, że prawdziwa wiedza musi być niepełna i ułomna. Na temat różnych skomplikowanych problemów fizycznych, o które pytali go nieraz studenci, zwykł mówić: „Tego nikt nie wie”.

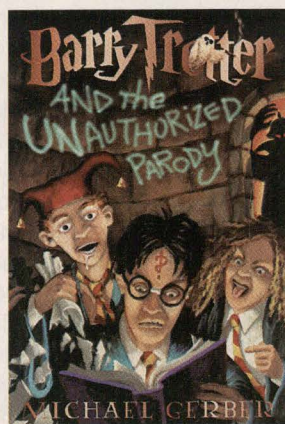
Był nie tylko wyjątkowym i niekonwencjonalnym nauczycielem oraz autorem poczytnych książek, ale też nieomal bohaterem narodowym, ponieważ odkrył przyczynę katastrofy wahadłowca kosmicznego „Challenger” w roku 1986 (gumowe uszczelki, które pękły na mrozie); zginęło w niej siedmioro astronautów.

Przyczyną śmierci Feynmana była prawdopodobnie bomba atomowa, nad którą wraz z innymi fizykami pracował w czasie II wojny światowej. Otrzymał wówczas dużą dawkę promieniowania, która po latach wywołała rzadką odmianę raka. Walczył z nim przez 10 lat, ale cztery lata temu choroba zwyciężyła.

Nadchodzi era BARRY'EGO TROTTERA

W chwili gdy ekranizacja pierwszej części cyklu powieściowego Joanne K. Rowling o Harrym Potterze triumfuje w kinach całego świata, Michael Gerber wydał powieść „Barry Trotter and the Unauthorized Parody” („Barry Trotter i nieautoryzowana parodia”). Fragment jej pierwszego rozdziału – specjalnie dla „Przekroju” – przełożył i opatrzył komentarzem polski tłumacz książek Rowling Andrzej Polkowski.

Bohaterem „Barry’ego Trottera” jest 22-letni młodzian, który od lat nie wychyla nosa poza mury Szkoły Czarodziejów, gdzie zażywa rozkoszy sławy, jaką przyniosły mu książki niejakiej J.G. Rollins. Niestety, dowiaduje się, że ktoś chce nakręcić jego



biografię. Już sam tytuł planowanej ekranizacji – „Barry Trotter i skok na kasę” – doprowadza go do szału. Postanawia działać.

„Barry Trotter” to pierwsza książka Michaela Gerbera (rocznik 1969), amerykańskiego humorysty znanego z publikacji m.in. w „New Yorkerze”, „Esquire” i „Playboyu”.

Michael Gerber mieszka w Chicago. Lubi koty, Felliniego, Beatlesów

i fajerwerki. Fragment powieści publikujemy dzięki uprzejmości autora. Pełny tekst pierwszego rozdziału dostępny jest na stronie www.barrytrotter.com, a całą książkę można kupić w księgarni internetowej amazon.com

MICHAEL GERBER

Kłopoty z międolami



co mu chodzi, o dziewczynki czy o to, że przehandlowałem tę mapę? A może o coś innego, o czym już zapomniałem? – zastanawiał się Barry, kiedy wraz z Lonem wspinał się po spróchniałych schodach do gabinetu Bubelmore’a. Bo jeśli chodzi o mapę, to mogliby się nie czepiać – naprawdę potrzebował tej forszy. Ze spadkiem już się pożegnał, bo jego ojciec chrestny Syfajusz Brack utopił wszystko w jakimś dennym interesie, a Barry już dawno przepuścił to, co dostał od J.G. Rollins za opowiadanie swojego życiorysu. W perspektywie miał spędzenie całego lata w tej parszywej dziurze u Durświrów, a żeby

to przeżyć, musiał mieć nie tylko spory zapas fajek, lecz także mnóstwo innych rzeczy.

No tak, ale Bubelmore na pewno tego nie kupi. Już w zeszłym roku chciał go wylać. „Jeszcze nikt w całej historii Shockfartu nie powtórzył jednej klasy pięć razy z rzędu! – ryczał rozwścieczony. – Trotter, jesteś zakałą całej szkoły. I dobrze wiesz, co robisz. Przez ten cały huczek wokół twej osoby stałeś się kosmicznym, czarującym leniem! Wyświadczyć nam wszystkim łaskę i przejdź na Czerwoną Stronę – nigdy się nie pozbierają!”.

Stary, zmurszały zgred miał świętą rację, Barry nie mógł temu zaprzeczyć. Któż jednak mógł winić go za to, że nie chciał opuścić murów Shockfartu? Był tutaj królem, ba, prawie bogiem. Był sławny, wciąż otaczał go tłum naiwniaków, którzy wyłazili ze skóry, żeby mu poży-

czyć samochód, uprać skarpetki, zrobić cokolwiek, byle tylko zdobyć przychylność wielkiego Barry’ego Trottera. Poza murami Shockfartu życie mogło być tylko gorsze.

W każdym razie z punktu widzenia Barry’ego ten ostatni przekręt opłacił się sowicie. Nie tylko zgarnął niezły szmal za mapę, lecz na błoniach Shockfartu koczował teraz także cały tłum jego cuchnących, brudnych fanów. Żaden z syfonów mu nie podskoczy, skoro tuż za oknem obozuje pięciotysięczna armia protrotterowskich wandal.

Ale nawet jego zaczynało to lekko niepokoić. Te ich nieustające kretyńskie hymny pochwalne na jego cześć tylko pogłębiały niemiłe wrażenie, jakie budziły w nim ich chwiejne, groźące zawaleniem budy i ich niewiarygodnie plugawy wygląd. Byli naprawdę okropni i cuchnęli z daleka. No, a potem odkryli bimbrownię Harkgita i doszło do wielkiej rozróby.

Wódzie Harkgita nie dałaby rady żadna zdrowa osoba. Ta piekielna siara dawała takiego kopa jak paliwo do odrzutowców. Barry’emu udało się jakoś udobruchać Harkgita przy baniaku 90-procentowej siwuchy, ale olbrzym nadal gardził międolami, a oni to wyczuwali, bo omijali go jak rozwścieczonego skunksa. Skończyło się na tym, że po słynnym Tylnoodrutowym Pershingu Harkgita kilkunastu intruzów trafiło do szpitala, a kilku straciło wzrok, ale Barry wiedział, że ma fanów, którzy skoczyliby za nim w ogień.

Czy te schody nigdy się nie skończą?

– Chciałbym już mieć to za sobą – mruknął, a Lon stęknął ciężko, co miało wyrażać zbieżność opinii.

Kiedy zbliżali się już do drzwi gabinetu Bubelmore’a, wypadło na nich z cienia stadko złodziejskich nietoperzy. Wszystko, co tym szczywanym torbacom udało się zwędzić, trafiło do rywalizujących z Chrypindorem Śledzionów, a biada uczniowi, który by próbował coś od nich odzyskać. Barry’ego nie zaczepiali, ale Lon był ich ulubioną ofiarą, bo często nosił w kieszeniach resztki śniadania lub obiadu.

Wymachując gorączkowo rękami, dobiegli do drzwi gabinetu. Otworzyły się automatycznie.

– Trotter...

Barry i Lon weszli do środka, a drzwi zatrzasnęły się za nimi.

– Panie profesorze, chciałem tylko powiedzieć, że zrobiłem wywiady z tymi wszystkimi dziewczynami. Do szkolnej gazetki...

Bubelmore odwrócił się do nich. Wyglądał, jakby miał wszystkiego dość.

– Trotter, dobrze wiesz, że w Shockfarcie nie ma żadnej szkolnej gazetki, a jeśli te młode międolki same ci pozwoliły zbliżyć się na odległość mniejszą niż 50 stóp, to zasługują na to, co je spotkało. Ale to wszystko zaczyna wyglądać bardzo poważnie. Podejdź do okna.

Spojrzeni na zawodzący, roztańczony tłum uwalanych błotem międoli. Kłębiły się ich tam tysiące, a w polu widzenia nie było ani jednej przenośnej toalety. Smród był prawie widzialny, jak rozgrzane powietrze nad drogą.

– Spójrz na tych baranów. To mi przypomina jakąś krwawą renesansową zbiorową orgię – warknął Bubelmore. – Czy wiesz, że musiałem dziś rano asystować przy porodzie? A międolski poród to prawdziwa jatka. Oczywiście nazwali go Barry. Byłem tak przerażony, że mało brakowało, a zwymiotowałbym na noworodka.

Barry wychylił się z okna, co spowodowało, że tłum zamarł. Rozległ się rozradowany ryk. Rozwinięto transparenty zawierające okropne błędy ortograficzne.

– Spadajcie! – wrzasnął Barry.

– Mówi, żebyśmy zostali! – krzyknął jakiś międol. – Hurra! Niech żyje Barry Trotter!

– Idiota! – Bubelmore prychnął na naszego bohatera. – Teraz nigdy się ich nie pozbędziemy. – Złapał Barry’ego za łokieć. – Odejdź od tego okna, zanim narobisz jeszcze większego bigosu.

Błyskawicznie polizał kciuk, odgarnął Barry’emu włosy i zaczął pocierać bliznę na jego czole. Blizna w kształcie pytykrzyknika* była pa-

miątką po starciu z Lordem Valumartem, kiedy Barry był jeszcze niemowlęciem. Była również oznaką jego czarodziejskiej wielkości, co Bubelmore uważał za wielką pomyłkę.

– Odwal się! – krzyknął Barry, odpychając cuchnącego molami i paczulą zgredomaga.

Obaj się odwrócili i zobaczyli, jak Lon wypycha sobie do ust cieńszy koniec teleskopu Bubelmore’a. Od pamiętnego wypadku Lon żuł wszystko, co nawinęło mu się pod rękę.

– Lon! NIE!

Lon wzdrygnął się i potknął o puszkę z magicznymi pszczołami, które wysypały się na podłogę, natychmiast układając się w sprośną obelgę.

Zmurszały dyrektor starał się zachować spokój.

– Słuchajcie, wy dwaj... Posłuchajcie uważnie, bo mam was już serdecznie dosyć!

W ciemnym kącie zaiskrzyło. To Fircyk, ulubiony feniks Bubelmore’a, dziobnął w azbestowy szkielet matwy.

Bubelmore wyciągnął egzemplarz „Zadziwy”.

– Ktoś... a podejrzewam, że to ta ostatnia odrażająca odrośl klanu Malihooyów panosząca się w domu Śledzionów... – Barry miał nadzieję, że ulga, jaką poczuł, pozostanie niezauważona – spowodował, że to świństwo trafiło do Shockfartu. Ergo, ta gromada matolów na łące. – Cisnął „Zadziwę” do kosza na śmieci. – Chyba robię się już za stary na takie bzdety.

Czując, że zagrożenie mija, Barry odprężył się i zaczął błaznić oczami po grzbietach książek na półkach. „Miała w ręku złoty bicz”, „Gabinet tortur Miss Harriet” i – ulubiona pozycja Barry’ego – „Więzień żeńskiego liceum, czyli tajny dziennik masochisty Phineasa Bantama-Pulleta”. Kiedy po raz pierwszy pojawił się w Shockfarcie, był wstrząśnięty, teraz, 11 lat później, tylko nieco rozbawiony. Bubelmore ma dziwne poczucie humoru, to fakt, ale czy to taka rzadkość? Huk, z jakim gazeta wylądowała w koszu, wyrwał go z tych leniwych rozważań. Usłyszał głos dyrektora:

– Nasze zaklęcia zwodzące są bezużyteczne. Żeby ktoś dał się zwieść, musi mieć choć odrobinę inteligencji, a te matoly w ogóle jej nie mają.

– Jak ktoś mógł zrobić coś takiego? I z jakiego powodu? Dla tych paru groszy! – prychnął z pogardą Barry, idąc na całego. – Zawsze powtarzam, że w życiu liczy się nie tylko forsa, co nie, Lon?

– No – mruknął Lon z głupawym uśmieszkiem na twarzy.

– O Boże, ale z ciebie kretyn, Weeseamey – westchnął Bubelmore i umilkł na chwilę, zamykając oczy i ugniatając sobie palcami nasadę nosa. – Wybaczcie mi. To piekielne wycie rozsada mi czaszkę. Jest niedobrze, ale może być o wiele, wiele gorzej... jeśli jest prawdą to, co piszą w dzisiejszym „Wróżbicie Codziennym”.

Wyjął z biurka gazetę i podał Barry’emu.

GLUPOL – ułożyły z siebie pszczoły.

– Co? „Afera seks-za-stopnie wstrząsa akademickim światem”? – zapytał Barry, czytając nagłówek.

– Nie, niżej – burknął niecierpliwie Bubelmore.

– „Nowe kary za sodomie zwaną wejściem smoka”?

– Daj mi to! – krzyknął Bubelmore, wydzierając mu gazetę z rąk. Przez chwilę daremnie przebiegał wzrokiem stronę – Barry zdążył ją przewrócić.

– Uważasz, że to bardzo dowcipne, tak? – warknął dyrektor. W końcu znalazł to, czego szukał, i szturchnął palcem w artykuł. – O to mi chodzi.

– „Nowy brytyjski film o czarodziejach stuprocentowym hitem – przeczytał Barry. – W całym Tinseltown aż huczy od plotek o filmie... »Barry Trotter i skok na kasę« na ekranach już za miesiąc... Oczekuje się, że miłośnicy słynnej serii powieści fantastycznych dla dzieci zapelnia sale kinowe na całym świecie... Wagner Brothers postawili na wysokobudżetowy film biograficzny, mając nadzieję, że potężna

machina reklamowa uczyni z niego prawdziwy hit światowy, jeszcze większy, niż była nim książka i towarzyszący jej fenomen rynkowy...”.

– Nie rozumiem – powiedział Barry. – Przecież to może tylko pomóc Shockfartowi. Zna pan powiedzenie: brak sławy to zła sława.

Bubelmore trzasnął się w czoło, zdumiony głupotą Trottera. Z fałd jego szaty wyfrunęła niebieska ćma.

– Trotter, jesteś kompletnym kretyńcem. Ile dzieciaków czyta jeszcze książki? Jeden na dziesięciu? Setka? A jednak, wyrzyj za okno... – odciągnął zasłonę i w tym samym momencie coś miękkiego pacnęło w szybę. (Nie było to błoto).

– Chcemy Barry’ego! – ryknął tłum.

Bubelmore pokazał im ordynarny gest, co wywołało zadzierzyste gwizdy.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, ilu ludzi tu będzie po tym filmie? Policz sobie widzów na całym świecie, dodaj kasety wideo i DVD... Ze sto milionów, lekko licząc. A to oznacza, że pojawi się tu z 500 tysięcy międoli w różnym wieku, którzy będą pchać się, deptać po sobie, śpiewać, krwawić i wyprawiać Bóg wie co jeszcze... na naszym trawniku... W pierwszy dzień po Bożym Narodzeniu...

ŁAUUU... – ułożyły z siebie pszczoły, aż Lon, chichocząc, zaczął je deptać obcasem, niszcząc ostatnie U.

To, co powiedział Bubelmore, dotarło wreszcie do Barry’ego i strużka potu spłynęła mu po czole.

– A może by tak przenieść gdzieś Shockfart? Za pomocą czarów?

– Ubezpieczenie – odpowiedział Bubelmore. – Nasi prawnicy z kancelarii Wydoja i Wyczaja powiedzieli mi, że warunki umowy nie pozwalają nam się przenieść. Równie dobrze moglibyśmy w ogóle zamknąć szkołę i wrócić do kursów korespondencyjnych. Tak czy owak, skoro to ty jesteś przyczyną tego wszystkiego, musisz temu zapobiec. Albo ich powstrzymasz, Barry Trotterze, albo Shockfart stanie się już tylko historią.

– Ale jeśli to zrobił Malihooy... – zaczął beczelnie Barry.

– Jego rodzice są w radzie nadzorczej – rzekł Bubelmore. – A twój są mierzwą.

– Dobra już, dobra.

„To mogłoby być tematem mojej następnej książki – pomyślał Barry, a w głowie zastukał mu licznik kasy. – Zatelefonuję do J.G.... Ale... nie. To ten sposób myślenia, który doprowadził ich do całego tego bałaganu”.

– Może Lon by pomógł? I Hermafrodiona?

– Lona nie może zabraknąć, w końcu jest naszym uczniem specjalnej troski. To mu na pewno dobrze zrobi. Panna Blager jest nauczycielką w poprawczaku dla czarodziejów koło Shockbloody; czy mogłaby pomóc, to już tylko od niej zależy.

Rozległo się pukanie do drzwi i wtoczył się Harkgit. Jak zwykle miał na głowie wyświechtaną czapkę bejsbolową z reklamą pokarmu dla smoków.

– Panie psorze, paru tych międoli znowu włamało się do mojej chaty! Grzebią mi w zapasowych gaciach. Mogę ich zabić?

Gacie Harkgita były wielkości dwuosobowego namiotu.

– Smoczysyn... – mruknął pod nosem Bubelmore. – Nie, Harkgicie, sam się tym zajmę. – Ruszył w stronę drzwi, ale po chwili znowu się odwrócił i powiedział prawie ojcowskim tonem: – Barry, los szkoły jest w twoich rękach. Jeśli dopadnie cię zwątpienie i pomyślisz, że nie dasz rady powstrzymać tej hecy z filmem, radzę ci pamiętać o jednym... – Położył Barry’emu rękę na ramieniu. – Jeśli trzeba będzie zamknąć Shockfart, stracisz posadę.

I wyszedł razem z Harkgitem.

Lon zebrął z podłogi garść pszczoł i wepchnął je sobie do ust, zostawiając na dywanie litery GÓW.

– Bueee – powiedział, wywalając język.

– Z ust mi to wyjąłeś – mruknął Barry.

TŁUM. ANDRZEJ POLKOWSKI

*W świecie międoli pytykrzyknik to niezbyt udany znak przestankowy będący połączeniem pytajnika i wykrzyknika. Jak we frazie: „Co to, do diabła, ma znaczyć?!” albo „Co to było, do jasnej cholery?!”. Matka Barry’ego była chronicznie czymś zdziwiona i łatwo się podniecała, więc czuła wyjątkową sympatię do pytykrzyknika. Dlatego Barry został napiętnowany taką blizną.



KILKA SŁÓW OD TŁUMACZA, CZYLI KRÓTKI SŁOWNICZEK DLA DOCIEKLIWYCH

Książka Michaela Gerbera została przełożona z angielskiego i jej akcja rozgrywa się w Anglii. Dlatego występują w niej pewne słowa, a zwłaszcza nazwy własne, które niewiele znaczą dla tych, którzy wolą gapić się w telewizor albo okładać ławkami na stadionach, niż uczyć się obcych języków. Dla tych osób zamieszczam krótki słowniczek, który pomoże im wczuć się w sytuację angielskiego czytelnika. Zachęcam do własnych dalszych badań językowych, zwłaszcza jeśli ktoś będzie miał możliwość porozmawiania przy piwie z jakimś międolskim Angolem.

Bubelmore – nazwisko zjełczałego dyrektora Shockfartu zostało tylko trochę spolszczone, aby łatwiej je było wymawiać, a składa się z *bubble* – bubel – i *more* – więcej.

Czerwona Strona – w oryginale *Dork Side*, obóz zwolenników Valumarta, przeciwników Bubelmore’a. *Dork* to po angielsku słowo tak dosadne (można je znaleźć tylko w słownikach specjalnych), że nie chciałem nim obarczać niewinnych główek naszych dzieci, więc zamieniłem je na termin dobrze wszystkim w Polsce znany, niezłe pasujący do kontekstu.

Durświrowie – w oryginale *Dimsleys*, czyli Ciemniacy, ale pragnąłem zachować choć przybliżone brzmienie angielskiego nazwiska i nie pozbawić czytelnika przyjemności odbioru jego znaczenia.

Malihooy – nazwisko beczelnego Śledziona wciąż wchodzącego Barry’emu w drogę; mówi

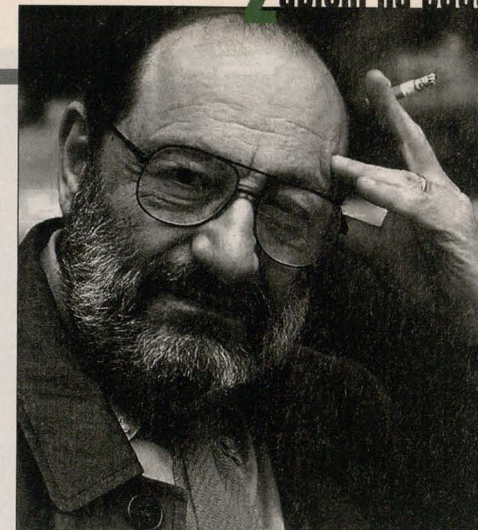
samo za siebie, wystarczy pamiętać o wymowie angielskiego podwójnego o.

Międole – zwykli, niemagiczni ludzie, często bardzo rozwyrzeni i cuchnący (ciekawa obserwacja: ludożercy z Nowej Gwinei twierdzą, że biali ludzie bardzo śmierdzą). W oryginale: *Muddles*, od *muddle* – zamrozić, otumanić. Polski termin pochodzi od „międolić”, czyli gadać nudno i bez sensu, co prowadzi do zamroczenia słuchacza.

Shockfart [czyt. Szokfart] – nazwa zamku, w którym mieści się renomowana szkoła magii. *Shock* to po polsku prawie to samo, a *fart* to, niestety, nie szczęście, lecz odgłos, na jaki czasem pozwala sobie nasz organizm po zbyt rozdymającym pożywieniu.

Weeseamey [czyt. Wisimi] – nazwisko przyjaciela Barry’ego, lekko opóźnionego w rozwoju. Właściwie nic nie oznacza.

Eco



Czy Harry Potter ma zły wpływ na dorosłych?

Harry’emu Potterowi poświęciłem już jedno „Zapiski...”. Było to prawie dwa lata temu, kiedy ukazała się trzecia książka z tej serii, a przez świat anglosaski przetaczała się dyskusja, czy aby na pewno nie jest niepedagogiczne opowiadanie dzieciom tych czarodziejskich historii, które mogą przecież je skłonić do poważnego traktowania okultystycznych mrzonek. W tych dniach, kiedy na ekrany wchodzi filmowa wersja powieści, dzięki czemu Harry Potter naprawdę staje się zjawiskiem globalnym, zdarzyło mi się zobaczyć pewien program telewizyjny, w którym wystąpił obok siebie mag Otelma, uszczęśliwiony propagandą na rzecz ludzi takich jak on (miał zresztą na sobie tak „czarnoksięskie” ubranie, że nawet Ed Wood [reżyser uznawany za najgorszego twórcę w dziejach Hollywood – przyp. tłum.] nie ośmieliłby się obsadzić go w swoim horrorze), i wybitny egzorcysta ojciec Amorth (nomen omen), którego zdaniem książki o Potterze kolportują szatańskie idee.

Gwoli jasności – większość rozsądnych uczestników tego programu utrzymywała, że magia biała i magia czarna to bujdy (choć trzeba poważnie traktować tych, którzy w nie wierzą), natomiast ojciec egzorcysta całkiem serio traktował wszelkie jej odmiany (białe, czarne i w kropki) i twierdził, że są one dziełem szatana.

Wobec takich opinii muszę wystąpić w obronę Harry’ego Pottera. Owszem, książki te opowiadają o czarnoksiężnikach i czarodziejach. Trudno się dziwić, że odnoszą sukces, ponieważ dzieci zawsze lubiły wróżki, karły, smoki i czarnoksiężników i jakoś nikt nigdy nie twierdził, że Królowa Śnieżka jest owocem spisku szatana. Przyczyną tego sukcesu jest również to, że autorka (nie wiem, czy z przemyślnego wyrachowania, czy dzięki nadzwyczajnemu instynktowi) zdołała odtworzyć pewne archetypiczne sytuacje narracyjne.

Harry Potter jest synem bardzo dobrego czarodzieja i bardzo dobrej czarodziejki, którzy zginęli w walce ze złymi mocami. Na początku nie miał pojęcia o swoim pochodzeniu i mieszkał ja-

ko maltretowana sierota u apodyktycznego i podstępного wujostwa. Następnie, kiedy poznał wreszcie swoją naturę i powołanie, podjął naukę w koedukacyjnej Szkole Magii i Czarodziejstwa, gdzie przydarzyły mu się zdumiewające przygody. I oto mamy pierwszy klasyczny schemat: weźcie młodą i kruchą istotę, wystawcie ją na największe udręki, po czym objawcie jej, że jest latoroślą, której przeznaczeniem jest świetlana przyszłość, a otrzymacie nie tylko Brzydkie Kaczętko i Kopciuszka, lecz również Olivera Twista i Rémy’ego z „Bez rodziny” Héctora Malota. Sama szkoła, w której Harry uczy się przyrządzać magiczne mikstury, przypomina wiele angielskich college’ów, gdzie uczniowie uprawiają jedną z tych anglosaskich dyscyplin sportowych, które fascynują czytelników brytyjskich, ponieważ doskonale rozumieją oni jej reguły, i czytelników z innych krajów, ponieważ nie rozumieją ich nigdy. Inną sytuację archetypiczną można odnaleźć w „Chłopcach z placu Broni”. Kolejną – w „Giorنالino di Gran Burrasca” (opowiadania Vamby, klasyka włoskiej literatury młodzieżowej), gdzie uczniowie zbierają się potajemnie, żeby spiskować przeciw ekscentrycznym profesorom (którzy wykazują m.in. skłonności do perwersji). Jako że dzieciaki dosiadają mioteł, to nie możemy nie wspomnieć również o Mary Poppins i Piotrusiu Panu. Hogwart wreszcie jest podobny do tajemniczych zamków, o których czytaliśmy w książkach z „Biblioteki moich dzieci” [seria wydawnictwa Salani, które publikuje również włoskie przekłady Harry’ego Pottera – przyp. tłum.], gdzie grupa chłopców w krótkich spodenkach, zaprzyjaźnionych z grupą złotowłosych dziewcząt, demaskuje machlojki nieuczciwego zarządcy, skorpupowanego wuja i całej bandy oszustów, a w końcu odnajduje ukryty skarb, zagubiony rękopis i kryptę tajemnic.

To prawda, że czary i bestie, o których czytamy w „Harrym Potterze”, budzą dreszcz przerażenia. Ta książka jest przecież przeznaczona dla dzieci, które wychowały się na potworach Ram-baldiego [scenograf i stylist, laureat Oscara m.in. za „King Konga” – przyp. tłum.] i na japoń-

skich kreskówkach. Pamiętajmy jednak, że dziecięcy bohaterowie walczą tu po stronie dobra, jak harcerze, i słuchają cnotliwych wychowawców, przypominając (przy zachowaniu historycznych różnic) chłopców z pocziwego „Serca” de Amicisa.

Czy naprawdę sądzimy, że dzieci, które czytają opowiadania o magii, w chwili gdy dorosną, będą wierzyły w czarownice (jak jednomyślnie – choć z różnym nastawieniem – sądzą mag Otelma i ojciec Amorth)? W dzieciństwie wszyscy baliśmy się olbrzymów i wilkołaków, ale jako dorośli boimy się nie tyle zatrutych jabłek, co dziury ozonowej; wszyscy wierzyliśmy w bociany, które przynoszą dzieci, lecz obecnie stosujemy nieco bardziej skuteczne (i przyjemniejsze) sposoby rozmnażania.

Problemem nie są tu dzieci, które wierzą w Kota i Lisa [postaci z „Pinokia” Collodiego – przyp. tłum.], a kiedy dorosną, będą się obawiały całkiem innych i mniej baśniowych oszustów. Prawdziwym i niepokojącym problemem są ci dorośli, którzy jako dzieci nie czytali historii o magii, za to pod wpływem programów telewizyjnych chodzą do jasnowidzów, do osobników, którzy przepowiadają przyszłość z fusów albo tarota, odprawiają czarne msze, uzdrawiają, manipulują okrągłym stoliczkiem, żonglują ektoplazmą lub głoszą tajemnicę Tutenchamona. W ostatecznym rozrachunku, obdarzając zaufaniem magów, powierzają się Kotom i Lisom.

UMBERTO ECO

tłum. Magdalena Mikołajewska

Autor (ur. 1932) jest wybitnym eseistą, pisarzem i specjalistą w zakresie semiotyki i teorii literatury. Jego zainteresowania sięgają od historii średniowiecza, poprzez filozofię i literaturę, aż po współczesne media. Eco jest bibliofilem – ma 30 tysięcy książek. Po sukcesie „Imienia róży” jego sławę pisarską utrwalił cykl powieści: „Wahadło Foucaulta”, „Wyspa dnia poprzedniego” i „Baudolino”. Niniejsze felietony ukazują się równolegle we włoskim tygodniku „L’Espresso”.



Dwa wywiady, w tym jeden telefoniczny, z właścicielem dziwnej lodówki i dziwnego umysłu

z DAVIDEM LYNCEM NA TLE JEGO WŁASNEGO OBRAZU ROZMAWIALI RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI I MAGDA ROZMARYNOWSKA

RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI: W swojej autobiografii Pana była partnerka Isabella Rossellini napisała, że w Pańskiej lodówce obok wędlin i stoików z dżemem odnaleźć można ciała zwierząt przygotowane do sekcji. Czy to prawda?

DAVID LYNCH: Tak. Bardzo interesuję się przyrodą i często trzymam w lodówce okazy przygotowane do moich badań. Nie jestem jednak ich kolekcjonerem. Jedyny tego typu obiekt, jaki na stałe trzymam u siebie, to macica Raffaelli di Laurentis [producentki „Diuny” – przyp. R.N.]. Musiała ją sobie usunąć, a ponieważ wiedziała o moim hobby, podarowała mi ją po operacji.

To zamiłowanie odziedziczył Pan po ojcu, który jest biologiem?

– Zapewne tak. Mój ojciec całe życie zajmował się badaniem insektów i chorób drewna. Gdybym nie zajął się kręceniem filmów, prawdopodobnie poszedłbym jego śladami i zostałbym badaczem naukowym, ewentualnie chirurgiem. Bardzo lubię badania i eksperymenty naukowe. Nie chciałbym jednak, aby ktoś sobie pomyślał, że moje zainteresowanie sekcją zwierząt jest czymś patologicznym. Wynika ze zwykłego zainteresowania przyrodą. W takim samym stopniu interesuje mnie studiowanie zachowań ludzi, kiedy obserwuję ich w restauracji. Interesuję mnie wszystkie gatunki.

Czy można zatem uznać, że Pana filmy są próbą sekcji ludzkiego umysłu?

– Ludzki umysł leży w samym centrum moich zainteresowań. Często zadaję sobie pytanie, jak to działa? W jaki sposób umysł zdolny jest oszukiwać sam siebie? Zastanawiam się nad tym, w jaki sposób możliwe jest, że O.J. Simpson gra w golf? Za każdym razem musi zagłuszyć brutalne wspomnienia o zamordowaniu dwojga niewinnych ludzi, żeby skoncentrować się nad niezwykle precyzyjnym uderzeniem w piłeczkę golfową? Coś niezwykłego musi się wtedy dziać w jego mózgu. Jakaś potężna reakcja chemiczna, która manipuluje połączeniami neuronów.

Czy kiedykolwiek sięgał Pan po substancje chemiczne, aby poszerzyć swoją percepcję?

– Nigdy. Nawet podczas studiów w latach 60., kiedy wszyscy dookoła faszzerowali się LSD. Ja nigdy nie miałem takiej potrzeby. Każdy miewa podświadome myśli raz na jakiś czas. Sztuka polega na tym, żeby w danym momencie uciszyć swój intelekt, tak aby strumień podświadomości mógł się uwolnić. A wtedy, tak jak w reakcji łańcuchowej, jedna podświadoma myśl przywiedzie kolejne. Niespodzianie osiąga się stan jaźni potencjalnie podobny do tego, jakiego doświadcza się podczas narkotycznej ekstazy, ale bez żadnych efektów ubocznych, które mogłyby zamącić przejrzystość strumienia podświadomości.

A próbował Pan już dokonać sekcji umysłu, w którym powstało tak wiele schizofrenicznych postaci, abstrakcyjnych obrazów i poszerzających przestrzeń szumów?

– Obawiam się, że nic by z tego nie wyszło. Jestem głęboko przekonany, że gdybym zaczął analizować moje myśli, przyniosłoby to kres mojej kreatywności. Jestem prawdopodobnie jedyną osobą w Hollywood, która nie korzysta z usług psychoanalityka.

Zdobył Pan sławę jako reżyser filmowy. Tymczasem mało kto zna Pana malarstwo, fotografię, komiks i filmy animowane, produkcje muzyczne czy zaprojektowane przez Pana meble...

– Moja ciekawość i pomysły zawsze kierowały mnie ku rozmaitym dziedzinom. Najistotniejszy jest dla mnie jednak film, ponieważ pozwala mi realizować wszystkie moje zainteresowania jednocześnie. Swoje odbicie znajdują w nim zarówno moje zamiłowania plastyczne, jak i muzyczne, a nawet obserwacje przyrodnicze. I tak na przykład wyprodukowane przeze mnie utwory trafiają na ścieżkę dźwiękową filmu, a własnoręcznie wykonane meble często pojawiają się w tle jako elementy scenografii. Film pojawił się jako kontynuacja poszukiwań malarskich. Z biegiem czasu narastało we mnie pragnienie, aby w moich obrazach ujrzeć ruch. Taka właśnie była geneza mojego pierwszego filmu „Six Figures Getting Sick”, który nie był

niczym innym jak tylko obrazem olejnym wprawionym w ruch za pomocą technik animacji.

Malarstwo to bardzo intymne, indywidualne zajęcie, natomiast kręcenie filmu to praca zespołowa. Jak Pan sobie poradził z tak drastyczną zmianą stylu pracy?

– Mimo wielu różnic pomiędzy malarstwem i filmem esencja procesu twórczego pozostaje ta sama. Jest nią w obu przypadkach dialog między artystą a jego dziełem, które bezustannie przemawia do autora, sugerując mu swoją ostateczną formę. Reżyser powinien ponadto umieć rozmawiać z aktorami i z całą ekipą. Ja najczęściej komunikuję się z nimi tak samo jak z moimi płótnami: za pomocą gestów i min.

Próbował Pan studiów plastycznych, także w Europie.



– Tak, miałem wtedy 17 lat i byłem niezadowolonym z życia uczniem szkoły plastycznej w Bostonie. Moja decyzja o wyjeździe do Europy była formą ucieczki. Miałem wtedy bardzo wyidealizowaną wizję Europy, którą wyobrażałem sobie jako raj dla młodego malarza. Pojechałem do Salzburga, gdzie przez trzy lata miałem studiować malarstwo w pracowni ekspresjonisty Oskara Kokoschki. Od samego początku czułem się tam okropnie. Owszem, Salzburg to bardzo piękne miasto, ale jak na mój gust nieznośnie czyste i sterylne. W rezultacie wróciłem do Stanów po 15 dniach.

[dzwoni telefon]

Przepraszam, jestem umówiony na następny wywiad. David Lynch, słucham?

MAGDA ROZMARYNOWSKA: Rozmawiam z Panem naprawdę czy to mi się tylko śni?

– Nie wiem. To się jeszcze okaże. Może jest odwrotnie. To pani śni się mnie.

Swoją najnowszy film „Mulholland Drive” streścił Pan w kilku słowach: „Historia miłosna dziejąca się w krainie snów”. Często odwiez Pan tę krainę?

– Zaraz po przebudzeniu pamiętam sny. Są dla mnie czymś wyjątkowym i potężnym, ale kiedy próbuję je później komuś opowiedzieć, nie wydają się już takie ciekawe czy straszne. Za pomocą filmu, wykorzystując dźwięk, aktorów, możliwości obrazu, udaje mi się uzyskać lepsze efekty. Dokładnie w tym tkwi potęga kina. Pomaga opowiadać sny.

A czym się różni film od snu?

– Sen ma władzę nade mną, ale to ja mam władzę nad filmem. Kiedy reżyseruję, mam pełną kontrolę nad obrazem i dźwiękiem. Lubie zanurzać się w świat snu, który sam stworzyłem albo odkryłem, świat, który ja wybieram.

Śnił się Panu „Mulholland Drive”?

– Wyobraziłem sobie znak drogowy z nazwą ulicy, tak jak zobaczyć to można w pierwszym ujęciu filmu. Od tego się zaczęło – od niepozornego obrazu, który sprawił, że zacząłem śnić na jawie. Mulholland Drive to droga, znam ją bardzo dobrze, bo codziennie wracam nią do domu. Jest bardzo stara, niesamowicie długa i kręta. Prowadzi wzgórzami Hollywood aż do Santa Barbara. Nocą panuje tam kompletny mrok, tylko w dole widać rozświetlone miasto.



RUE DES ARCHIVES PICTURES

Na planie „Dziłości serca” z Nicolasem Cage’em

Jadąc, mijają się kilka tajemniczych rezydencji, poza tym jest pusto.

Droga to Pana ulubiony temat?

– Pozornie nudne pokonywanie drogi tak naprawdę pełne jest napięcia i przeczuć. W każdej chwili coś się może wydarzyć. Droga symbolizuje życie. Posuwamy się do przodu albo cofamy, zmierzamy ku nieznanemu. Prowadzi nas ciekawość tego, co będzie za zakrętem.

W Polsce mówimy: „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”.

– Tak, do piekła, ale i do nieba. Świadomość istnienia tajemnicy to potężne przeżycie. To uczucie, że poza tym, co widoczne, jest jeszcze coś ukryte, że tak naprawdę dzieje się dużo więcej, niż możemy dostrzec. Tu pomaga nam intuicja. Wszyscy jesteśmy detektywami, szukamy rozwiązania zagadki własnego losu. Nie wiem, dlaczego to konieczne, abyśmy gubili się w mroku i niepewności... a potem odnajdywali.

Wraca Pan do dzieciństwa?

– Ja nigdy nie przestałem być dzieckiem. Mój prawdziwy wiek waha się w granicach od pięciu do 17 lat. Wciąż z tym samym lękiem i podnieceniem zaglądam

pod kamień, żeby obserwować mrówki. Widzę świat jak dziecko, w ogromnych zbliżeniach.

Jak Pan pamiętał swojego ojca?

– Idzie do pracy ubrany w ogromny kowbojski kapelusz. Wtedy akurat mieszkaliśmy w Wirginii – ten kapelusz wywoły-

wał moje zażenowanie, ale teraz uważam, że było to absolutnie na luzie. Najzwyczajniej w świecie wkładał na głowę wielki szarozielony kowbojski kapelusz i wychodził z domu. Nie wsiadał do autobusu, samochodu czy czegośkolwiek, po prostu wychodził i szedł

pieszo, przemierzając w tym kapeluszu całą kilkumilową trasę.

Ja chyba znam ten kapelusz. Tak sam ma na głowie kowboj z „Mulholland Drive”. Trwa noc, w sztucznym elektrycznym świetle jego twarz wydaje się trupio blada. Wygląda przerażająco. Kim



GUTKIN TILIA

Na planie ostatniego filmu – „Mulholland Drive” – z Naomi Watts

jest ta postać – ojcem, Bogiem, szatanem?

– Nie wiem. Po prostu kiedyś nocą kowboj pojawił się w mojej głowie. Zapamiętałem, co mówił: „Nastawienie. Nasze nastawienie do życia decyduje o tym, kim jesteśmy”. Taką samą wiedzę zdobyłem, ćwicząc jogę. Liczy się stan świadomości. Jesteśmy różnymi ludźmi, w różnych miejscach i w różnym czasie. Mamy w sobie wiele ukrytych osobowości, które mogą zostać powołane do życia, ale nie muszą. Ta sama osoba może być jednocześnie dobra i zła, niewinna i zepsuta, odważna i zastraszone. W „Mulholland Drive” pokazuję to ekstremalnie.

Brunetka i blondynka. Każda z nich odgrywa podwójną rolę – wampa i niewiniątka?

– To taka gra przeciwieństw. Jak w klasycznym hollywoodzkim *love story* punktem zwrotnym akcji są słowa: *I love You*. Kiedy zostają wypowiedziane, nagle wszystko się zmienia... bohaterki zamieniają się rolami w miłosnym ducie.

Zdecydował się Pan pokazać miłość lesbijską, bo...

– Kobiety mają większą intuicję i bogatszą wrażliwość. Wydawało mi się to ciekawsze.

Podobno podczas kręcenia intymnych scen wypraszał Pan z planu całą ekipę, sam siadał gdzieś w oddali i przez tubę instruował aktorki: „Proszę się nie krępować. Proszę dotykać swoich piersi”.

– W filmie jest też inna „krępująca” scena – masturbacji. W montażu straciła wiele ze swej drastyczności. Nie chodziło mi o epatowanie seksualnością. Ta seksualność jest bardzo psychiczna. Zależało mi, żeby aktorki wydobły z siebie wszystko co najlepsze. tłumaczyłem im, że to co najlepsze niekoniecznie musi być dobre i niewinne.

Pana osobista wizja Hollywood pełna jest sarkazmu, ale jednocześnie nostalgii. Tęskni Pan za Ritą Hayworth i za złotymi czasami fabryki snów?

– Tęsknię. Kocham. Namietnie oglądam stare filmy, zwłaszcza „Bulwar Zachodzącego Słońca”. Gdy pracowałem nad „Mulholland Drive”, dużo myślałem o Billym

Wilderze. Filmując bramę wytwórni Paramount, przypominałem sobie, jak w jego filmie przechodziła przez nią Gloria Swanson. Hollywood widziane oczami Wildera zapewne nigdy nie istniało, ale to właśnie jego film wykreował mit fabryki snów, który nie opuszcza nas do dziś

Dlatego mieszka Pan w Los Angeles?

– To moje miejsce na ziemi. To naprawdę bardzo ważne, żeby być tam, gdzie człowiek dobrze

tam, że benzyna kosztowała 25 centów za galon. Jeździłem volkswagenem i zawsze napełniałem bak za trzy dolary. Słońce grzało, mój samochód był pełen benzyny, mogłem sobie na wszystko pozwolić... A potem coś się popsuło, benzyna podrożała i teraz jest naprawdę ciężko i niebezpiecznie.

W zeszłym roku odwiedził Pan Polskę. Jakie wrażenie zrobiła na Panu Łódź, zwana polskim Hollywood?



Zadebiutował w roku 1977 filmem „Głowa do wycierania”, zyskując uznanie krytyki i publiczności. Filmami „Człowiek słoń”, „Blue Velvet”, „Dziłość serca” zdobył popularność. Serial telewizyjny „Miasteczko Twin Peaks” przysporzył mu rzeszę nowych wielbicieli – każdy pytał, kto zabił Laurę Palmer. Głośna „Zagubiona autostrada” stała się filmem kultowym. „Prosta historia” była zaskoczeniem – nostalgiczna i dziwnie jak na Lyncha nie pogmatwana – przez Europejską Akademię Filmową została uznana za najlepszy nieeuropejski film 1999 roku. Od 11 stycznia możemy w kinach oglądać najnowszy film Lyncha – „Mulholland Drive” – (nagroda za najlepszą reżyserię na festiwalu w Cannes 2001), w którym reżyser powraca do zagadkowej atmosfery „Blue Velvet” i „Miasteczka Twin Peaks”.

się czuje, gdzie lubi pracować i nie ma myśli samobójczych.

Miewa Pan myśli samobójcze?!

– Właśnie o tym mówię, że tu jest coś takiego w powietrzu, co sprawia, że chce się żyć. Masz wrażenie, że wszystko jeszcze może się zdarzyć. Podoba mi się światło, mocne i rozproszone. Daje mi energię. Myślę, że gdyby można cofać się w czasie, byłoby to jedyne miejsce, do którego chciałbym wrócić. Może wtedy go nie doceniano, ale znalezienie się w Los Angeles w początkach kina byłoby czymś niesamowitym.

Pan tu trafił w 1970 roku?

– To były dobre czasy. Los Angeles było jak marzenie. Pamię-

– Byłem w Łodzi w grudniu. To niesamowite miasto, zachwylił mnie kontrast między ciepłym światłem płynącym z wnętrza domów a zimnym stalowoszarą otoczeniem. Chciałbym kiedyś nakręcić w Łodzi film. Tam też błąka się duch dawnych czasów.

Dla Pana czas jakby się zatrzymał w latach 50. Dlaczego?

– Wystarczy pojeździć trochę po Ameryce, żeby zauważyć samochody z lat 50., albo włączyć radio, by usłyszeć muzykę z tamtych lat. Te czasy wciąż są wszędzie obecne, nigdy nie odeszły. Pod wieloma względami była to fantastyczna dekada. Panowała w niej jakaś pogodna atmosfera. Przyszłość rysowała się

promiennie. A potem ta glazura straciła połysk, pękła i wszystko wypłynęło na wierzch. Okazało się iluzją.

Pan chce tę iluzję ciągle demaskować, każe nam wierzyć, że iluzja jest nawet miłość, śmierć...

– Bo jest. Indianie nazywają to *maya* – iluzja, realny jest tylko Absolut, wszystko inne nam się wydaje.

Najbliżej Absolutu jest muzyka. Od wielu lat pracuje Pan tylko z kompozytorem Angelo Badalamenti.

– Z Angelo zacząłem pracować przy „Blue Velvet” i od tego czasu się przyjaźnimy. Jest niezwykle uzdolniony, potrafi na wszystkim zagrać, wszystko usłyszeć. Nie komponuje muzyki do filmu, po prostu siadamy i ja mu opowiadam o tym, co mam w głowie. Mówię, a on stukając palcami w klawisze, kiedy zmieniam słowa czy nastrój, on natychmiast reaguje na to dźwiękiem. Chodzi o to, żeby znaleźć nie tylko taki dźwięk, który pasuje do obrazu, ale taki, który ten obraz podniesie, umocni.

W ostatnim filmie Badalamenti pojawia się nawet na chwilę na ekranie.

– Tak, pluje kawą.

Producenci kawy nie byli tą sceną załamani? Teraz wszystko jest reklamą, podobno w Ameryce uznano, że pana serial telewizyjny „Miasteczko Twin Peaks” był reklamówką przemysłu drzewnego?

– To czasem jest zabawne, ale czasem męczące. Długo walczyłem z cenzurą, aby jeden z moich bohaterów mógł palić papierosa. Pozwolono mi na to pod warunkiem dokręcenia sceny, w której ten sam mężczyzna krztusi się dymem.

A Pan pali?

– Palę. A pani?

Nie palę.

– To słychać po głosie. Pani ma miły głos.

Pan też ma miły głos.

– Ma pani męża?

Jestem rozwiedziona.

– Co pani zwykle robi po pracy? Idzie pani na drinka?

Chwileczkę, chwileczkę. A dlaczego Pan mi zadaje pytania? Zaczynam tracić tożsamość. Zamieniamy się rolami?

„Biedaczek,
nigdy nie spał
z kobietą”.
Autorką tego zdania jest
emerytowana służąca
z Buenos Aires
Epifanía Úveda
de Robledo.
Jego podmiotem zaś
człowiek, któremu
usługiwała przez 40 lat,
najwybitniejszy
Argentyńczyk XX wieku
Jorge Luis Borges,
poeta i pisarz



FOT. FERDINANDO SCIANNAMAGNUM PHOTOS/EPIC PICTURES (2)

W łóżku z Borgesem

Wypowiedź ekspokojówki zamieszczona niedawno w jednym z hiszpańskojęzycznych czasopism wydawanych w Miami potwierdza obiegową opinię, że o miłości w życiu Borgesa można opowiadać równie wyczerpująco, co o problematyce kina w twórczości poetów XVIII-wiecznych. Swego czasu w księgarniach argentyńskich pojawiały się książki z niepokalanymi czyściami stronicami i tytułem na okładce „Życie seksualne J.L. Borgesa”. Rzecz skądinąd tym bardziej intrygująca, gdy zauważymy, że autor „Księgi piasku” był dwukrotnie żonaty.

Wedle słów Epifanii, „żona pogłaskała go raz po policzku, a on aż się wzdygnął. Na myśl o seksie wpadał w panikę”. Elsa Astete Millán wyszła za pisarza, kiedy ten miał 67 lat. Może się wydać niezrozumiałe, po co Borges władował się w ten katastrofalny, trwający niecałe trzy lata związek — o ile słowo „związek” ma tu jeszcze jakiś sens. Sędziwa matka pisarza ostrzegała Elzę przed ślubem: „Georgie nie lubi dzielić z nikim łoża”. I nie podzielił. Nocowali w osobnych sypialniach.

Parę lat wstecz Borges był potwornie zakochany w dużo młodszej od siebie kobiecie. Dostał jednak kosza, któremu to nieszczęściu świat zawdzięcza podwójny sonet „1964”. Jego druga część rozpoczyna się od słów:

*Nie będę już szczęśliwy. Zresztą nieistotne.
Świat przecież tyle rzeczy ujawnia mi co dnia,
każda chwila bywa wszak bardziej różnorodna
i głębsza niż ocean. Życie jest ułotne...*

Kilkanaście lat później okazało się jednak, że udręka nie minęła. Borges, ślepy bibliotekarz poślubiony manuskryptom i ideom, labiryntom i cyfrom, nieskończoności i kołu, starzec uwieczniony w pułapce choroby i własnej wielkości, nadal marzył o szczęściu. Oto opublikowany w 1977 roku sonet „Zakochany”:

*Księżycu, kość słoniowa, przyrządy i róże,
lampy i linia dłonią kreślona Diirera,
dziewięć cyfr w towarzystwie niepewnego zera —
że te rzeczy istnieją, ja udawać muszę.
Ja udawać muszę, że były w dawnych czasach
Persepolis i Rzym, i że piach delikatny
losy fortyfikacji odmierzył pradawnych,
zniszczonych ostatecznie w epoce żelaza.
Ja udawać muszę, że broń jest i zagłada
ofiarna epopei, morza ocięzałe,
co filary ziemi od wieków podmywały.
Ja udawać muszę, że są inni. Nieprawda.
Jesteś tylko ty. Tak, ty, dola ma nieszczęsna
i szczęsna, niewyczerpana, czysta, bezkresna.*



Borges z Marią Kodamą - drugą żoną poślubioną osiem tygodni przed śmiercią

„Pan Borges był zawsze zakochany w Esteli Canto, uwielbiał ją i całe życie przechowywał jej fotografię — wspomina służąca. — Ale ani z nią mu się nie ułożyło, ani z tą pierwszą żoną, ani z ostatnią. Tej to on w ogóle nie kochał. Biedaczyna, umarł prawiczką”.

Trudno przypuszczać, by wiekowy, niewidomy, schorowany pisarz mógł skonsumować małżeństwo z Marią Kodamą, zawarte na osiem tygodni przed śmiercią w wyniku raka wątroby.

Relacjom Epifanii można wierzyć lub nie. Przez 40 lat towarzyszyła życiu codziennemu autora „Fikcji”, ale to jeszcze nie dowód wiarygodności. Borges narzekał, że kiepsko gotowała. W ostatnich miesiącach życia zmienił też testament, w którym znacznie ograniczał jej korzyści — za namową Kodamy, jak twierdzi ekspokojówka. „Ona panu wmawiała, że my knujemy przeciw niemu”. W jej słowach więcej jest pewnie frustracji niż prawdy historycznej.

Sam Borges mówił w jednym z wywiadów: „Jestem i zawsze byłem kochliwy”. Niemal całe

życie spędził zakochany, pragnąc zaznać szczęścia u boku kobiety. Czemu nie wyszło? Czemu stary Werter mocno cierpiał? Przez kilkadziesiąt lat żył u boku matki, Leonor de Acevedo, co nasywało obserwatorów podejrzenia o kompleks Edypa. Jednak to nie jej, opiekunce ślepnącego i ostatecznie ślepego syna, należy przypisywać jego klęski erotyczne.

Był rok 1917. Niespełna 18-letni Borges mieszkał wówczas z rodziną w Genewie. Studiował, pisał, tłumaczył, tonął w książkach. Przyprawiało to o katusze jego ojca, jurnego chłopca, który postanowił wreszcie wyzwolić w „Georgiem” męskość — umówił go z prostytutką, zapewne własną kochanką. Wedle powściągliwych relacji samego delikwenta zbliżenie nastąpiło, ale trwało haniebnie krótko i było podszyte strachem.

Otóż i jedyny jako tako potwierdzony fakt obcowania fizycznego Borgesa z kobietą. Czy można to nazwać życiem seksualnym? Biała, wspomniana wyżej książka, aczkolwiek wyrosła z humorystycznych intencji, odzwierciedla zapewne prawdę. Jak pisze biograf pisarza James Woodall, „Borges miał potrzeby seksualne tak jak każdy inny mężczyzna (...), ale w przeciwieństwie do większości z nich, zazwyczaj wiedzących, jak sobie z nimi poradzić, on nie miał nawet pojęcia, od czego zacząć” (tłum. Magda Białoń-Chalecka). Jednak my przecież i tak nie za to Borgesa cenimy.

Tekst i tłumaczenie wierszy
FILIP ŁOBODZIŃSKI

Szara reneta z łapanki

Dla wszystkich jest chyba jasne,
że teatr Wybrzeże trzeba
po premierze zamknąć i wykończyć



Katarzyna Figura w roli Hanki

„Koniec z łapankami” — zadeklarował w gazecie dyrektor teatru Wybrzeże Maciej Nowak, a ja naiwnie się ucieszyłem, że wreszcie formułuje program artystyczny. Jednak okazało się, że chodzi mu o widownię... Na razie widownia jest wyłącznie na zaproszenia, a to z okazji gali pod tytułem „200 lat teatru na Wybrzeżu”, poprzedzonej niespotykaną kampanią medialną.

Gala polegała na odsłonięciu tablicy z nazwiskami wszystkich dotychczasowych dyrektorów teatru i pokazaniu nowej widowni w trakcie remontu. Pretekstem były dwa spektakle typu „światło i dźwięk”: jeden pod tytułem „Człowiek Roku »Dziennika Bałtyckiego«”, drugi — „Hanemann”. Pierwszy był lepszy, bo krótszy.

Gdańszczanie po raz kolejny dowiedli, że wielkiej gali urządzić nie umieją, do czego dostrzoił się goście. Minister Celiński oświadczył, że miasto nie podcina gałęzi, na której siedzi, ale to niewielka pociecha, bo siedzenie na gałęzi to dla miasta strasznie niewygodną pozycją. Ambasada niemiecka przysłała odpowiedniego rangą radcę, który łamaną polszczyzną zachwycał się tym architektonicznym arcydziełem, co pachniało hipokryzją mocniej niż gaszone wapno wyzierające z wszystkich kątów.

Potem jeszcze jakiś niewysoki przeczytał list od premiera Millera, który gratulował uroczystego zakończenia uroczystości jubileuszowych, co było o tyle niezręczne, że zaczęły się one 15 minut wcześniej. Później dość mozolnie przeniesliśmy się na nową widownię, która robi spore wrażenie. Tylko dlaczego zaproszono nas do teatru niewykonalnego? Bo dla wszystkich jest chyba jasne, że teatr trzeba po premierze zamknąć i wykończyć. Więc po co było w ogóle przerywać remont?

Prezentacja „Hanemanna” odegrała w tym wszystkim rolę nudnego filmu przerywającego ciekawe reklamy. Nie przesadzam; ja płacze i rozpaczam! Coraz częściej w naszym życiu kulturalnym spektakl lub koncert to tylko pretekst do takiej czy innej hucpy. Maciej Nowak jest mistrzem współczesnego marketingu. Gorzej z towarem, który chce nam sprzedać. Szkoda, że instynkt go nie ostrzegł przed „Hanemannem”. Mówię tu o instynkcie artystycznym, nie o samozachowawczym. Ten drugi odpowiedział mi, że jeśli ściągnie w jedno miejsce Chwina, Cywińską, Bakę, Figurę, Celińskiego i radcę z ambasady niemieckiej, to potem już wszystko jedno, co się pokaże na scenie.

O samym spektaklu nie da się powiedzieć niczego dobrego, głównie dlatego, że w ogóle nie powinien powstać. Niestety, czasem artystów, a już zwłaszcza dramatycznych, ogarnia jakiś zbiorowy dur powodujący, że cała gromada niegłupich i utalentowanych ludzi zajmuje się brednią, która nie ma nic wspólnego ani ze Stefanem Chwinem, ani z dwoma wiekami tradycji teatralnej na Wybrzeżu.

Cywińska z głównej wady spektaklu próbowała zrobić programową zaletę, deklarując w wywiadach: „Jak najmniej słów”. Jasne, w końcu wzięła się za powieść bez dialogów.

Kiedy Hanka (Katarzyna Figura) wreszcie się odzywa, myślimy zrazu, że to Hanka Bielicka. Czyżby stylizacja na Horpinę? Niestety, Figura także śpiewa — między innymi sławną w kuliarach „arię ze ścierką” przyciskaną miłośnie do jeszcze sławniejszego biustu. Byłaby to wizja losu nadto śmiałych mężczyzn?

Główną cechą, jaka odróżnia na scenie Polaków od Niemców, jest niższość cywilizacyjna: nie umieją prądu włączyć i porządnej szafy na oczy nie widzieli. W ten nieco trywialny

sposób Cywińska trafnie odśłania główny nurt prozy Chwina, polegający na czapkowaniu kulturze germańskiej. Niezwykle to atrakcyjne dla czytelników zza Łaby, niewątpliwie.

Z tajemniczych powodów Mirosław Baka grający Hanemanna głównie siedzi na środku sceny w czymś w rodzaju piaskownicy, a Polacy hasają wokół. Czyżby dalszy ciąg tej samej dziecięciniałej polki?

Więcej pastwić się nie chcę, ale jednego nie mogę zmilczeć. Kiedy Hanka prosi o szarą renetę, Hanemann podaje jej wielkie, rumianoczerwone jabłko, zapewne z importu. Publiczność wiele może przetrzymać, ale żeby aż tak? Jedliśmy w dzieciństwie szare renety, tęsknimy za szarymi renetami i uważamy szare renety za kwintesencję jabłka — a mówię to w imieniu zastępów publiczności. Tymczasem to nie ten smak, niestety, nie ten dobry smak.

Bardzo miło, że odślaniamy i upamiętniamy w duchu pojednania. Chciałbym jednak zauważyć, że niemiecki teatr w Gdańsku był, co się zowie, prowincjonalny i nie stanowi dziś dla nikogo żadnej żywej tradycji. Nie wiem, co Maciej Nowak chce zbudować na opoce tej stalowej tablicy, myślę sobie jednak, że jeśli już jakieś lata były cenne i wartościowe w dziejach gdańskiego teatru, to raczej ostatnie półwiecze, naznaczone dziełami Hübnera, Golińskiego, Minca, Okopińskiego, Hebanowskiego. Problem z tą tradycją taki, że jest ona wciąż żywa i nie da się odfajkować żadną płytą. No cóż, tradycji nikogo nie można nauczyć.

MENDEL GDAŃSKI

*Teatr Wybrzeże w Gdańsku:
„Hanemann” wg Stefana Chwina,
adaptacja i reżyseria Izabella Cywińska,
scenografia Małgorzata Szczęśniak,
muzyka Andrzej Głowiński. Premiera 27 stycznia 2002*



W imię Boga Miłosierznego, Litościwego

Choć irańskie filmy rozpoczynają się
w imię Allaha, głoszą
przede wszystkim pochwałę człowieka

Mimo że w roku 1900 szach Mozaffarad-din przywiózł do Persji pierwszy kinematograf, by uczynić zeń coś w rodzaju domowego wideo, dopiero w latach 30. zaczęto tam produkować pierwsze filmy. Za to w ostatnim roku XX wieku na prestiżowych festiwalach filmowych – w Cannes, Wenecji, Montrealu czy Karłowych Warach – ma swoją premierę aż osiem filmów irańskich. Obsypane nagrodami i obwołane arcydziełami więczą dekadę znakomitej passy irańskiego kina – fenomenowi niespotykanego w żadnym z krajów muzułmańskich.

W latach 60. fascynowano się w Europie kinematografią japońską i brazylijską, w latach 80. – chińską. Mówi się, że i w przypadku „irańskiej fali” chodzi

o wystudiowane „kino festiwalowe” dla Europejczyków utwierdzanych w stereotypowych wyobrażeniach o ponurych realiach islamskiego reżimu. Nie takie filmy lubią oglądać sami Irańczycy – dla nich ideałem kina są nafaszerowane patriotyzmem i grzecznymi wątkami miłosnymi optymistyczne śpiewogry. Najpopularniejsze w Iranie są rozmaite „oper mydlane”. Jednakże każdy z tych „eksportowych” tytułów zaskakuje swoją świeżością, niesłychanie szczerem, aż – chciałoby się rzec – naiwnym oglądem świata.

Zwykło się mówić, że to właśnie restrykcje związane z rewolucją islamską przyczyniły się do rozkwitu kinematografii, za kosmopolitycznego szacha czerpiącej najgorsze wzorce



z kina amerykańskiego. W latach 80. Iran odciął się skutecznie od Hollywood, za to masowo wyświetlano filmy z nurtu włoskiego neorealizmu. Dzisiejsi reżyserzy irańscy także penetrują głównie środowiska społecznych nizin, wierni są realistycznej metodzie opisu, chętnie angażują aktorów nieprofesjonalnych, a każdy z tych skromnych, śmiesznie tanich filmów staje się małą metaforą świata.

„Dzieci niebios” Majida Majidiego nawiązywały wprost do „Złodziei rowerów” De Siki. Banalna z pozoru historia (dziewczynka gubi jedyną parę butów) została podniesiona do rangi uniwersalnej opowieści – o ludzkiej godności, dzielności i sile rodzinnych więzów. „Jabl-

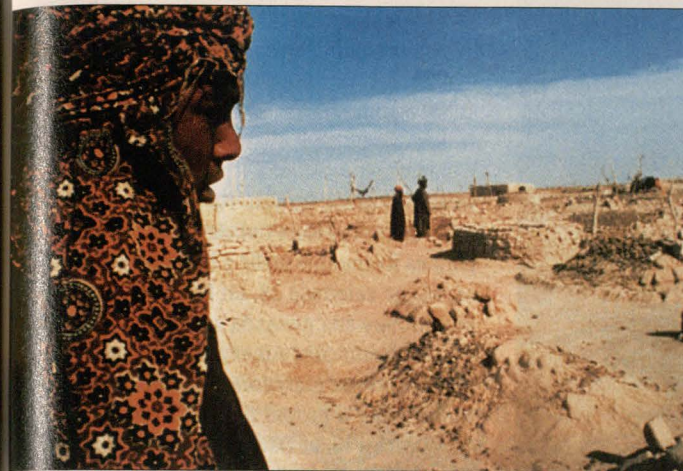
ko” Samiry Makhmalbaf mogło być zaledwie interwencyjnym raportem o 12-letnich bliźniaczkach od urodzenia trzymany w zamknięciu przez fanatycznego ojca i niewidomą matkę – a stało się czytelną metaforą życia w Iranie. „Białe balonik” Jafara Panahiego – historia dziewczynki, której największym pragnieniem jest zakup złotej rybki – opowiadał o dziecięcej potrzebie marzeń, tłumaczonej przez dorosłe autorytety.

Cenzura zmuszała filmowców do znalezienia specyficznego języka, pełnego niedopowiedzeń, aluzji i symboli. Zarazem w porewolucyjnym Iranie kino od początku traktowane było przez władze i jako kulturalna wizytówka, i jako wentyl

KANDAHAR

Dopiero wydarzenia w Afganistanie zwróciły uwagę krytyków i widzów na film Mohsena Makhmalbafa „Kandahar”. Reżyser nie mógł, oczywiście, przewidzieć jego dzisiejszego kontekstu. Pozostaliśmy w nadziei, iż nie wiedział także o ciąży nad jednym z jego aktorów podejrzeniu o terrorystyczne zamachy! Sprawę ujawniono już po premierze. Sam film to na poły dokumentalna relacja z nielegalnej podróży między Iranem a Afganistanem, którą Afganka odbywa, by ratować siostrę. Prowadzi ją kolejno kilku przewodników powodowanych a to zyskiem, a to poczuciem misji. „Kandahar” jest oparty na przeżyciach Nilonfar Paziry, afgańskiej aktywistki, dziennikarki i reżyserki, która wraz z rodziną wyemigrowała do Kanady w 1989 roku. Obraz jest przerażający: dzieci cierpiące głód i poddane praniu mózgu, duchowe spustoszenie jako efekt rewolucji religijnych fanatyków, gehenna opuszczonych ofiar wojny, ubezwłasnowolnienie kobiet w islamskiej teokracji – te problemy dotyczą nie tylko Afganistanu, lecz także Iranu. Przypomina to sporządzony na użytek zagranicy katalog przewin reżimu. Film broni się jednak realizacyjnym wyrafinowaniem – wyszukuje kontrasty i surową poezję pustynnego krajobrazu. A ścieś apokaliptyczna scena wyścigu kalek po spadające na spadachronach protezy to symbol schorowanego, absurdałnego świata. (pt)

Rež. Mohsen Makhmalbaf, Francja/Iran 2001, Gutek Film



bezpieczeństwa, wreszcie także jako chodliwy towar eksportowy. To właśnie tuż po rewolucji islamskiej, w 1983 roku, powstał wspierający narodową kinematografię państwowy fundusz Fā rābi. Działał nadal powołany jeszcze za czasów szacha instytut Kanun, zajmujący się finansowaniem produkcji dla dzieci i młodzieży – i to właśnie z tej stajni wyszli najwybitniejsi reżyserzy. Naukowcy badający fenomen kina irańskiego wspominają też o tradycji wędrownych teatrów *pardedari*, w których śpiewający aktorzy wskazywali na zmieniające się w tle ilustracje. Uważają, iż kino w zróżnicowanym etnicznie kraju miało być także czymś w rodzaju „kulturowego spoiwa”. Efektem takiej polityki są same paradoksy. To właśnie w Iranie (a nie w „oświeconej” Turcji) powstał pierwszy film w języku kurdyjskim – „Czas pijanych koni” Bahmana Ghobadiego. To właśnie w kraju znajdującym się w niechlubnej czołówce, jeśli chodzi o dyskryminację kobiet, 17-lletnia (!) Samira Makhmalbaf zrealizowała „Jabłko”.

Kino irańskie jest jednak przede wszystkim kinem wybitnych indywidualności – Abbasa Kiarostamiego i Mohsena Makhmalbafa. Pierwszy z nich, twórca takich filmów, jak „Przez gaj oliwny”, „Smak wiśni” czy „Uniesie nas wiatr”, tworzy kino zmuszające do kontemplacji, wizualnie wysmakowane, pozbawione banalnej atrakcyjności.

W opowiedzianych przez niego historiach właściwie nic specjalnego się nie dzieje: jest milczący, surowy pejzaż i ludzka krzątania, są niekończące się rozmowy i zapadające w pamięć ludzkie twarze. To spotkanie z tajemnicą, a nie etnograficzna wycieczka. Z kolei w filmach Mohsena Makhmalbafa – „Handlarz uliczny”, „Rowerzysta”, „Cisza”, „Gabbah” czy „Kandahar” – pełnych okrucieństwa, surrealistycznego piękna i magii folkloru, znajdujemy przede wszystkim uważne, współczujące spojrzenie, którym reżyser obejmuje swych bohaterów: afańskiego uchodźcę, niewidomego chłopca z tadżyckiej wioski, miejskich nędzarzy czy prześladowaną przez reżim talibów kobietę.

Filmy rozpoczynające się tajemniczo dla nas brzmiącą muzulmańską formułą: „W imię Boga Miłosiernego, Litościwego”, nie są wcale pochwałą systemu, religii czy Allaha. Głoszą przede wszystkim pochwałę człowieka, jego codziennych zmagani z nędzą i upokorzeniem, z zewnętrznymi i wewnętrznymi ograniczeniami. My, mieszkańcy „cywilizowanego” świata, którego odwieczną dewizą były prawa człowieka i wartości humanitarne, odnajdujemy je — i to w najczystszej postaci — właśnie w wyretuszowanych i oskarżanych często o konformizm filmach z dalekiego Iranu.

ANITA PIOTROWSKA

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

SŁABE PRZECIĘTNE ZACNE ZNAKOMITE WYBITNE

CENTRUM ŚWIATA

Uwaga, to Wayne Wang. A także Paul Auster, tyle że ukryty wraz z trójką innych autorów, pod pseudonimem Ellen Benjamin Wong. Takie zabawy świadczą jednak, że coś poszło nie tak. I rzeczywiście, tym razem nie będzie powtórki z sukcesu „Dymu”. Możli-



nie wypracowany film jest opowieścią o komputerowym geniuszu i ambitnej striptizerce, która swe prawdziwe realizuje grając na perkusji. Para ta wyrusza na trzy dni do Las Vegas, ustalając z góry reguły: żadnego seksu ani intymnych rozmów, poza tym dziewczyna jest towarzyszko do dyspozycji partnera, za co otrzymuje 10 tysięcy dolarów. Co można z tak pomyślanej historii wydobyć? Satyrę na zagubienie jednostki w świecie, którym rządzi technika i interes. Ironiczny tytuł odnosi się do komputera. Szybko przekonujemy się jednak, że to nie komputer stanowi centrum świata, lecz – po staremu – seks. Erupcji siły witalnej nie starcza jednak ani na śmiały film erotyczny w stylu „Ostatniego tanga w Paryżu”, ani choćby na sympatyczny romans w stylu „Pretty Woman”. Z ekranu rozbrzmiewa gaworzenie o sensie życia, samotności i instynktach. A jednak film się ogląda. Wciąga nerwowym rytmem, irytuje demonstracyjnie niedbałą fotografią, no i ma znakomitych aktorów. Molly Parker i Peter Sarsgaard fascynująco prowadzą swoją erotyczną grę, jakby na przekór wymyślonej sytuacji. **(ak)**

Rež. Wayne Wang, USA 2001. Gutek Film.

POTWORY I SPÓŁKA

Pojawiają się animowane filmy dla dorosłych, które w jakiejś warstwie są dobrze odbierane także przez dzieci. Nie wszystko rozumieją, ale się bawią. Taki był „Shrek”. I taka jest śmieszna, wzruszająca i skomplikowana ni-



czym chandlerowski krymi-
nał opowieść o świecie po-
tworów, które czerpią energię z dziecięcych krzyków. W mieście po-
tworów Monstropolis działa mechaniczny system połączeń z szafami
w dziecięcych pokojach. Potwór budzi w środku nocy dziecko, a gdy
przeżalone zaczyna krzyczeć, siła jego głosu zostaje zmierzona, prze-
chwycona i odpowiednio wykorzystana. Kłopoty zaczynają się w mo-
mencie, gdy do Monstropolis przedostaje się mała dziewczynka.
Mniejsza o fabułę. Nie można oderwać wzroku od ekranu dzięki naj-
nowszej animacji komputerowej studia Pixar (swego czasu wypuści-
ła „Toy Story”). Iluzja fantastycznego świata jest pełna. Sympatyczny
potwór Sullivan ma na sobie niebiesko-seledynowe futro złożone
z trzech milionów włosków, które nieustannie falują i jeżą się, inaczej
w półmroku, inaczej w słońcu, deszczu czy śniegu – bo Sullivan trafia
nawet w Himalaje, gdzie lodami częstuje go yeti. Jego sprytny towa-
rzysz Mike przypomina wielkie zielone oko, mrugające i na nóżkach.
Stwory zadziwiają, bawią i na dodatek inteligentnie mówią w dobrym
polskim dubbingu. **(aK)**

Rez. Peter Docter, David Silverman, Lee Unkrich, USA 2001. Syrena.



SEAN MURPHY/CAMERA PRESS/BULIS

TRIUMF piewcy porażek

Zaczynał od punka.

Dziś sprzedaje miliony płyt, porównują go do Dylana i trzykrotnie nominują do Grammy.

RYAN ADAMS – gwiazda neocountry

Trzeba mieć niesamowity tupet i być bardzo bezczelnym, by rozpocząć album cytatem z twórczości Boba Dylana. Trzeba też posiadać ogromny talent, by na tym nie skończyć.

Rzadko pojawia się muzyk, który potrafi nadać własny charakter muzyce granej już wcześniej przez innych. Na początku lat 90. kimś takim był Kurt Cobain. Teraz przyszła pora na Ryana (nie mylić z Bryanem!) Adamsa. Mając zaledwie 28, lat Ryan stał się niekwestionowaną gwiazdą sceny neocountry – ulubieńcem całej Ameryki. Spełniło się jego największe marzenie – został „rockową osobistością” i poznał Keitha Richardsa.

W wieku 15 lat David Ryan Adams porzucił szkołę i z tobołkiem ciuchów w jednej ręce oraz płytami Grama Parsonsa w drugiej pojechał szukać szczęścia gdzieś w Stanach. „W wieku 14 lat grałem na perkusji, co do końca mi nie odpowiadało. Więc wymieniałem się z kumplem – deskorolka za gitarę. Brzmiała fatalnie. Na niej też nie chciało mi się grać. Do momentu, aż założyłem swój pierwszy zespół – Blank Label”. Zafascynowany twórczością kalifornijskich grup punkowych, takich jak X i Black Flag, założył swój kolejny zespół – Patty Duke Syndrome.

Whiskeytown i polska wódka

Po fascynacji punk rockiem zostało Adamsowi kilka tatuaży. „To nie była żadna rewolucja, po prostu w pewnej chwili zauważyłem, że gram jakieś szalone, countrowe dźwięki. Miałem wtedy z 19 lat”. W taki sposób powstała grupa Whiskeytown, z którą Adams nagrał cztery studyjne albumy. Debiutancki „Faithless Street” zachwycił krytykę świeżością i niezwykłą autentycznością. Był to zarazem ostatni album grupy, na którym dominowała optymistyczna atmosfera. Zespół zachłysnął się popularnością. Adams nieustannie oddawał się celebracji swojego ulubionego trunku – polskiej wódki z lodem. Nie wpłynęło to dobrze na stosunki panujące pomiędzy muzykami. Adams i Phil Wandscher, drugi gitarzysta zespołu, darzyli się szczerą nienawiścią. Phil bowiem za koncertowe niepowodzenia obarczał całą winą Adamsa, a raczej jego pijaństwo. Mocno rockowego trybu życia Ryana nie wytrzymała też jego narzeczona.

Po nagraniu trzeciej – znakomitej – płyty „Stranger’s Almanac” zespół znajdował się w stanie totalnej rozsypki. Z kompozycji Adamsa wyparowała cała radość. Zastąpił ją smutek i próba rozliczenia się z własnym, poplątanym życiem. W 1999 roku Whiskeytown zawiesiło działalność. Ich pożegnalny – czwarty – album „Pneumonia” ukazał się dopiero w 2001 roku.

Łamacz serc

W momencie gdy większość postawiła na nim krzyżyk, dwa lata temu Ryan Adams objawił się pierwszym solowym albumem – „Heartbreaker”. Od Dylanowego „Blood on the Tracks” nie było w muzyce folkowej tak idealnego i wysmakowanego dzieła, w którym artysta rozlicza się ze wszystkich swoich porażek. Nabral dużego dystansu tak do swojej muzyki, jak i życia. Jego teksty to zapis rozczarowania istnieniem i sobą samym. „Call Me on Your Way Back Home” to wyznanie człowieka, który zbyt późno zrozumiał, że życie przeciekało mu przez palce. Adams rozlicza się ze swoim infantylnym zachowaniem, które doprowadziło do rozpadu jego zespołu i egzystencji. „Nigdy nie byłem w Vegas, ale przegrałem całe swoje życie” – przyznaje w „Oh My Sweet Carolina”. Za to w „Come Pick Me Up” z wściekłością opowiada o niewiernej kochance i przyjaciółach opuszczających w najważniejszych momentach: „No chodź, rozpieprz wszystko / Zniszcz moje płyty / Różnij się z moimi kumplami / Oni wszyscy są głowno warci”. Z tupetem nastolatka czerpie z dokonania Dylana (nagrywała z Adamsem muza Boba – Emmylou Harris), Parsonsa i The Rolling Stones. Jednak choć Adams gra na harmonijce ustnej tak jak młody Dylan, to nadaje staremu stylowi nowe, własne brzmienie. Jego drugi album „Gold” rozszedł się w samych Stanach w kilkumilionowym nakładzie, a Ryana nominowano do Grammy. Gościnnie pojawił się także w jednym nagraniu Eltona Johna.

Świat muzyczny odzyskał wielką gwiazdę – człowieka, którego można nazwać największym balladzystą od czasów Boba Dylana.

ROBERT ZIĘBIŃSKI

GRAMMY AWARDS

muzyczny odpowiednik Oscarów – coroczne nagrody przyznawane w USA od 1958 roku przez Narodową Akademię Sztuk i Nauk Nagraniowych (w sumie 9 tys. osób). Ryan Adams nominowany został w trzech ze 101 kategorii: najlepszy wokalista rockowy, najlepszy album rockowy i najlepsze wykonanie piosenki country (ze składanki nagranej w hołdzie Hankowi Williamsowi). Ceremonia rozdania 44. edycji Grammy odbędzie się 27 lutego w Los Angeles.

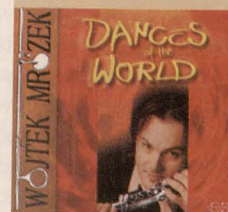
GYMESIK DLA MELOMANA



SISSY LIGHT

Pogodna i przyjemna składanka, w sam raz dla poprawienia humoru. 16 zestawionych obok siebie utworów urzeka tytułowym „lightowym” klimatem. Począwszy od naszego rodzimego Smolika, skończywszy na światowych tuzach, takich jak Ian Brown, Stereolab i Lambchop, obcuje z muzyką niezobowiązującą i miłą. Każda z tych piosenek jest przebojem lub może się nim stać. „Sissy Light” nie jest kompilacją prezentującą muzykę nowatorską i odkrywczą, tylko relaksującą, ale na wysokim poziomie. (RZ)

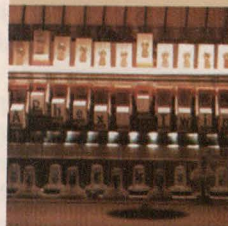
Sissy Records/BMG



WOJTEK MROZEK

Niestety, to nie jest dobry album. Kolejny polski klawecista popisuje się umiejętnością gry – całkiem zręczną – i brakiem talentu w wykorzystywaniu własnych umiejętności. „Dances of the World” najwyraźniej w świecie nudzi. Mrozek do tradycyjnych tematów podchodzi po bożemu. Jego granie i aranżacje nie mają krzty szaleństwa. Są proste, by nie rzec – banalne. Mając na własny użytek orkiestrę i świetnych muzyków, artysta nie potrafi wykręcić z nich ani odrobiny energii. Choć z drugiej strony to nie jest fatalny album. Po prostu mało oryginalny i nudny. Tylko tyle. (RZ)

Universal



APHEX TWIN

Richard D. James ukrywający się pod pseudonimem Aphex Twin to obecnie jeden z czołowych twórców muzyki elektronicznej. Jego nowy album „Drukqs” to potężna dawka drum’n'bassu i... delikatnego ambientu. Nie ma tutaj równie kontrowersyjnych utworów jak głośne „Come to Daddy”, za to dużo wzajemnie się uzupełniających połamanych dźwięków i ciszy. To byłby kolejny wielki album, gdyby nie jego długość. Dwie płyty kompaktowe to jednak zbyt wiele do strawienia jak na jednorazowe odsłuchanie. Co, niestety, zaniża ich wartość artystyczną. (RZ)

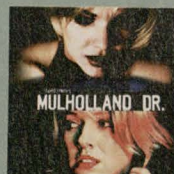
Varp/Sonic

„MULHOLLAND DRIVE” – MROCZNE TŁO LYNCHA

Angelo Badalamenti jest jednym z niewielu współczesnych kompozytorów muzyki filmowej, który bez popadania w patos potrafi zbudować atmosferę napięcia i grozy. Od wielu lat – bodaj od filmu „Blue Velvet” – współpracuje z Davidem Lynchem. Razem stworzyli jedną z tzw. ścieżek dźwiękowych wszech czasów – czyli „Twin Peaks”. Tym razem spotkali się podczas tworzenia muzyki do „Mulholland Drive” – nowej produkcji reżysera.

Jaka jest? Krótko mówiąc – taka jak zwykle. Dalej jest posępnie i mrocznie. Senne dźwięki sączą się z głośników. Główną rolę gra tutaj cisza przerywana kaskadą narastających dźwięków. Słychać także wpływy Henry’ego Manciniego, którego Badalamenti jest wielkim dłużnikiem. Jednak tym, co stanowi o właściwej wartości tej ścieżki dźwiękowej, nie są nowe utwory Badalamantiego, ale ukryta pośród nich piosenka Roya Orbisona „Crying”, wykonana w całości a cappella, po hiszpańsku, przez Rebekah Del Rio. Żar, jaki bije z tej pieśni, ma ogromną siłę – po prostu spala natychmiast. Lynch i Badalamenti mają dar znajdowania nikomu nieznanych wokalistek o głosach porywających i niesamowitych. To właśnie tutaj bije serce tego albumu. Swoją drogą, artyści mają pewną obsesję na punkcie utworów Orbisona. W jednej ze scen w „Blue Velvet” Dean Stockwell wyśpiewywał rzewnie „In Dreams”.

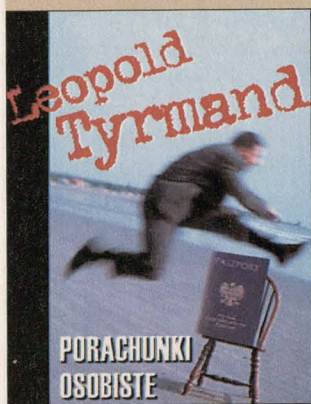
Robert Ziębiński



RYAN ADAMS „Gold”

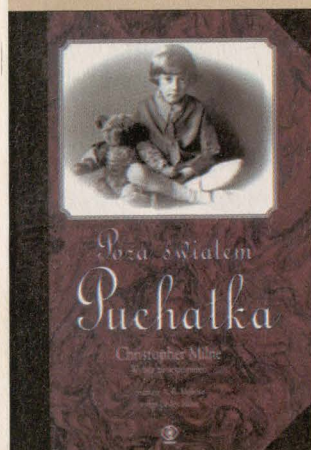
Drugi album utrzymuje wysoki poziom debiutu, „Gold” jest jednak bardziej rockowy. W sobie tylko znany sposób Adams parafrazuje tym razem The Rolling Stones. Robi to z niezwykłą gracją, ani na moment nie ocierając się o plagiat. „Gold” to także album-podróż. Rozpoczyna się ona w Nowym Jorku („New York, New York”), by zakończyć na hollywoodzkich bulwarach („Goodnight Hollywood Blvd”). Cytatów i zapożyczeń jest tutaj mnóstwo, ale nie świadczy to bynajmniej o braku pomysłów. To raczej specyficzna gra, jaką prowadzi Adams ze słuchaczami. Zgadnij, co to jest? Odpowiedź prosta – Ryan Adams. (RZ)

Lost Highway/Universal



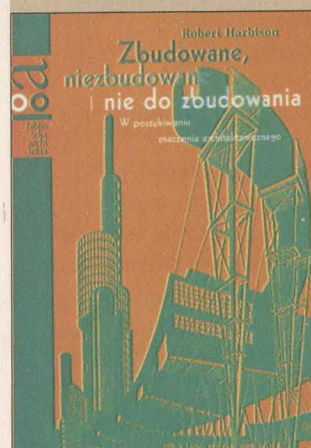
To nie jest miła proza. To porachunki osobiste, tak jak zapowiada tytuł. W swoich późnych tekstach, po raz pierwszy opublikowanych w Polsce w wydaniu książkowym, Tyrmand rozlicza się z tymi, którzy zmarnowali jego życie i kraj. Portrety gomułkowskiego aparatu, warszawskiej śmietanki intelektualno-towarzystwowej oraz Polonii z Illinois z przełomu lat 60. i 70. stanowią świetny dokument sporządzony z ostrością widzenia raczej socjologa niż felietonisty. Nie każdy musi się zgodzić z oskarżeniami i ocenami Tyrmanda, nie zrobiła tego nawet redakcja paryskiej „Kultury”, która w pewnym momencie przerwała z nim współpracę. Jeżeli jednak ktoś uznałby, że za dużo w tych tekstach zacietrzewienia, powinien sięgnąć po wspomnienie o Marku Hłasce. Tych kilka stron nie różni się od reszty, nie przestaje być szczere i szorstkie, prawie bezwzględne. A jednak w zalewie wspomnień o Hłasce, które mnożą się z upływem lat, nie spotkałem się z tekstem tak poruszającym. Kolejny tom Tyrmanda – to jakby dostać do rąk zaginiony, nieznany dotąd tom, powiedzmy, „Dziennika 1955”. Kto by nie chciał tego przeczytać? (WS)

Leopold Tyrmand „Porachunki osobiste”, wydawnictwo LTW, Warszawa 2002



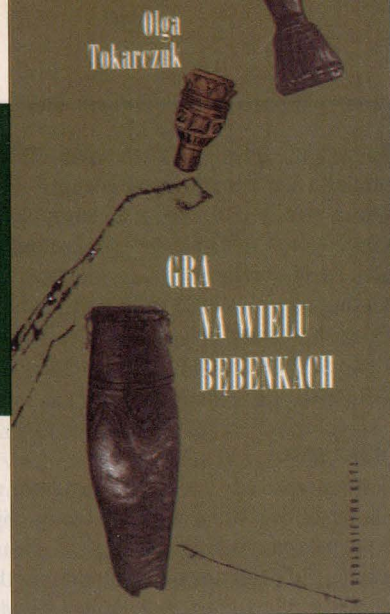
Zmarł sześć lat temu. Lubił się przyglądać prawdziwym ptakom i owadom. Puchatek, Prosiaczek i Kłapouchy istnieli naprawdę – były to jego zabawki. Wychowywał się w cieniu swojego literackiego wcielenia – Krzysia z „Kubusia Puchatka” napisanego przez ojca A.A. Milne’a. W swoim życiu nie został nikim ważnym. Podczas wojny był tylko oficerem saperów, potem prowadził księgarnię w prowincjonalnym mieście, ale z największą pasją pisał nie tyle o książkach, ile o księgarnianych meblach i witrażach. Smykałka do stolarki przydała mu się także, gdy budował meble dla córki urodzonej z porażeniem mózgowym. Wspomnienia Christopha Milne’a to z jednej strony demitologizacja Stumilowego Lasu, z drugiej – okazja do refleksji nad przeciętnością kogoś, kogo wyobrażaliśmy sobie jako niezwykłego. Chyba dobrze przeżył swoje życie, szkoda, że nie odziedziczył po ojcu pisarskiego talentu. (PDW)

Christopher Milne „Poza światem Puchatka. Wybór ze wspomnień”, wydawnictwo Rebis, Poznań 2001



To jedna z najbardziej przewrotnych książek ostatnich miesięcy. Architektura jest jedyną sztuką, która bezpośrednio wpływa na nasze życie, stykamy się z nią bowiem, ba, współżyjemy z nią, choćbyśmy nawet bardzo nie chcieli. Harbison, amerykański wykładowca architektury, wyszedł jednak z innego założenia niż to, które przywykliśmy przyjmować, gdy mowa o budynkach, ogrodach, pomnikach. Mniej obchodzi go zamierzona funkcja wzniesionej konstrukcji, bardziej zaś sens, jakiego nabrała, ocierając się o nasze życie codzienne, o nasze spojrzenia. Szczególnie interesujące wydają się spostrzeżenia dotyczące ruin jako odrębnego bytu (są architekci, którzy projektują ruiny!), na innych prawach funkcjonującego w krajobrazie, na innych ciekawą wycieczkę – po budowlach i pomnikach, które nie powstały, a więc po architekturze potencjalnej. Po przeczytaniu książki Harbisona czuję się, jakbym zamieszkał w innej rzeczywistości. Rzeczywistości, którą sam tworzę własną wrażliwością. (FL)

Robert Harbison „Zbudowane, niezbudowane i nie do zbudowania. W poszukiwaniu znaczenia architektonicznego”, Murator 2001



„Grą na wielu bębenkach” Olga Tokarczuk w pięknym stylu reanimowała u nas zapomniany, najbardziej oczywisty rodzaj pisania

Niedawno młody prozaik Michał Witkowski, pisząc o literaturze swoich rówieśników, złapał się na tym, że nie jest w stanie streścić ani ich, ani swoich opowiadań. Podobnie bywa ze zbiorami krótkich form prozatorskich „starszaków”: Stasiuka, Vargi, czy nawet Pilcha. U Tokarczuk w „Grze na wielu bębenkach” – wręcz przeciwnie; ona opowiada!

19 opowiadań pisarka podzieliła na trzy wyraźne grupy. Dla pierwszej z nich wspólne są motywy przenikania się życia i papierowego świata literatury. Druga, gromadząca historie rozgrywające się w przeszłości, to kontynuacja działań mitograficznych, jakie na rzecz tak zwanych Ziem Odzyskanych Tokarczuk prowadziła już w powieściach „E.E.” oraz „Dom dzienny, dom nocny”. Prawdziwy przełom w jej piśtarstwie stanowią jednak teksty z trzeciej części. Pisarka uznała, że dojrzała do opisywania tego świata, w którym żyją jej czytelnicy. Zrobiła to, nie rezygnując z podstawowych cech swego piśtarstwa, a „Gra na wielu bębenkach” to jej najlepsza – obok „Prawieku...” – książka.

Łatwo byłoby ją wykić jako tendencyjnie feministyczną, bo bohaterki wielu opowiadań to kobiety zaniedbywane i porzucane. Wmówić, że pozytywne postacie męskie pojawiają się tylko wtedy, gdy przyjmują wyzwanie równe macierzyństwu. Można byłoby zaatakować też tę książkę za rzekome wtórności. „Profesor Andrews w Warszawie” łudząco przypomina „Kursy wymiany” Malcolma Bradbury’ego. Z ko-

TOKARCZUK i duchy blokowisk

lei bohaterka „Otwórz oczy, już nie żyjesz” czyta powieść o morderstwach popełnianych na zjeździe autorów kryminałów, a dokładnie takie kryminały pisuje Carolyn C. Hart. Pozornie stereotypowi są wreszcie sami bohaterowie; stara Brytyjka, u której narratorka „Szkockiego miesiąca” znajduje polskie książki, musiała mieć podczas wojny narzeczonego Polaka, obowiązkowo lotnika.

Jednak to właśnie w „Szkockim miesiącu”, znalazłszy w jednej z książek zdanie o tym, że Polska wyziera z mapy Europy tylko niekiedy i nigdy w tym samym miejscu, narratorka nagle obraca stereotyp w mit i tajemnicę: „Nawet nasz papież jest przenośny – podróżuje w tę i w tę – niespokojny facet w bieli. (...) Nasza mała roślinna cywilizacja pozostawia po sobie infantylne ślady ku zmartwieniu wszelkich przyzłych archeologów: bębni, połamane ołowiane żołnierzyki, pojedyncze słowa, zbyt trudne, żeby dało się je wymówić”.

Inna sprawa, że u Olgi Tokarczuk praktycznie nie ma czegoś takiego jak społeczeństwo czy naród. Strajki studenckie i stan wojenny w „Che Guevarze” są zbiorowym doświadczeniem, ale na pierwszy plan wysuwa się dla narratorki jej

własna praca jako psychologicznej wolontariuszki wspomagającej schizofreników. Ludzie istnieją więc każdy z osobna. Każdy człowiek nosi w sobie swoją własną tajemnicę – pragnienie albo ból. Istnienie każdego z osobna przekłada się zarazem na koszmarnie wyobcowanie, zwłaszcza w wielkim mieście. W opowiadaniach z „Gry na wielu bębenkach” pisarka opowiada o tych sekretach właściwie tak samo jak wcześniej w swoich powieściach, ale dzięki przeniesieniu ich choćby do współczesnych blokowisk stają się one jeszcze bardziej niesamowite, bo niespodziewane.

Przywoływano już w odniesieniu do piśtarstwa Tokarczuk pojęcie realizmu magicznego. Współczesność stała się w jej nowej książce swoistym durszlakiem, przez który przedostał się realistyczny nektar i tylko te najmniejsze drobinki magii. Jednak mimo to „Gra na wielu bębenkach” lśni blaskiem iskier wykrzesanych w zderzeniach najbliższej nam zwykłości z Tajemnicą.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Olga Tokarczuk „Gra na wielu bębenkach”, wydawnictwo Ruta, Wałbrzych 2001



Od realiów są gazety

Rozmowa
Z OLGĄ TOKARCZUK

Kiedy powstały opowiadania z „Gry na wielu bębenkach”?

– Większość napisałam w ciągu ostatniego roku, ale są tu opowiadania starsze. Czasem jest mi trudno określić czas powstawania. Bywało, że pomysł, ideę miałam od dawna i tylko czekałam na jej wyklucie się w jakiejś konkretnej formie.

Do tej pory unikała Pani współczesnych realiów?

– Naprawdę nie sędzę, że w literaturze chodzi o realia. Od realiów są gazety.

Czy ta książka jest odpowiedzią Marcelowi Reich-Ranickiemu, który zarzucał Pani piśtarstwu eskapizm, ucieczkę w wiejskie średniowiecze?

– Taki zarzut można postawić wielu innym autorom i książkom – na przykład Dantemu, Kafce, Borgesowi. Myślę, że to jest bardziej kwestia temperamentu i wrażliwości. Ludzie są bardzo różni, widzimy inne rzeczy, z innych stron i w inny sposób. Nigdy nie powiedziałabym o moich książkach, że są eskapistyczne. Reich-Ranicki ma po prostu inną wizję świata i nie ma powodu, dla którego ja miałabym się do jego wizji dostosowywać.



Mieczysław Guterman „Słownik polsko-esperancki”.
Wydanie czwarte. Polski Związek Esperantystów,
Warszawa 1965, 357 str.

Po co kupować dziś w antykwariacie słownik polsko-esperancki? Wkuwać słówka: puzon – *trombono*, przepuklina – *hernio*, karczma – *drinkejo*, by tłumaczyć z polskiego na esperanto? Nie, nie dlatego kupiłem słownik Gutermana. I także nie kolekcjonerska namiętność zaczęła mi na moment umysł. Nie kupiłem też słownika z sentymentu do lat 60., kiedy kółka esperantystów mnożyły się jak króliki. W tamtych latach z „przymusu esperanto” szydził niemiłosiernie Antoni Słonimski. Zmyślił nawet w jednym z felietonów konferencję w Glasgow, gdzie esperantyści musieli się porozumiewać przy pomocy tłumaczy, bo każdy mówił w esperanto z narodowym akcentem. Czytałem Słonimskiego, zarykując się ze śmiechu. Po co więc, na miłość boską, po co kupiłem w antykwariacie słownik polsko-esperancki? Kupiłem go, bo akurat były urodziny Leszka Kołakowskiego! A trzeba Wam wiedzieć, że Leszek Kołakowski we wczesnej młodości uczył się esperanta i nawet przeczytał jedną książkę w tym języku (były to „Dzieje Chrystusa” Papiniego). Pisał także o „sympatii naturalnej i spontanicznej”, jaką idea Ludwika Zamenhofa budziła u ludzi, którym była bliska „cenna utopia powszechnego braterstwa”. Przypomniałem sobie o tym wszystkim i zrobiło mi się głupio, że nikt nie chce dziś słownika kupować. A kosztował przecież tak niewiele. Złotówkę...

ZBMENTZEL@WP.PL

Najpiękniejsze opowiadanie – „Che Guevara” – odnosi się do Pani biografii. Bohaterka widzi nagle świat oczami swoich podopiecznych, chorych. Czy można czytać to opowiadanie jako zapowiedź pisania – odtwarzania subiektywnych światów?

– Dla mnie to opowiadanie jest o niepokoju, który wisiał wszędzie tuż przed stanem wojennym, o przecuciu zbiorowym. Pamiętam to uczucie niewygody, głębokiego przekonania, że wszystko zmierza ku jakiemś niebezpiecznemu dopełnieniu – w tym sensie jest biograficzne. Zawsze pociągało mnie patrzenie na rzeczy banalne, oczywiście, ogólnie znane „od spodu”, z innego punktu widzenia. Punkt widzenia outsiderów, „wariatów”, uczy czegoś w rodzaju pokory poznawczej, kontestacji „jedyną prawdę”. Czy „Gra na wielu bębenkach”, ostatnie opowiadanie, może być ostrzeżeniem przed utratą indywidualności? Czy widzi Pani dzisiaj takie zagrożenie?

– Powiedziałabym przekornie, że wręcz przeciwnie. Zbolałem, przerośniętemu „ja” naszych czasów należy się czasami odrobina wytchnienia. (JS)

W wypowiedziach na temat czekolady – zarówno smakoszy, jak i najzwyczajniejszych żarłoków – pojawia się ton, nieobecny, kiedy mowa jest o innych pokarmach, choćby tych najszlachetniejszych

A ja nie chcę czekolady, chcę, by miłość dał mi ktoś

Temat czekolady skłania do naznaczonej erotyzmem pieśneczki. Często odwiedzają do reklamy, niektóre troszeczkę wyuzdane (choćby batonów Prince Polo). Zdają się one pytać, czy seks może być lepszy od czekolady, i sugerować, że raczej nie. Trudno uogólniać – lecz wiadomo, że spożycie tego produktu wśród pokaźnej grupy mieszkańców świata zachodniego jest odwrotnie proporcjonalne do częstotliwości ich pożycia płciowego. Innymi słowy, czekolada rekompensuje im brak fizycznej miłości. Nie mam na myśli tylko fikcyjnej Bridget Jones. Pewien amerykański poeta i muzykolog mieszkający w Wiedniu i niepotrafiący ułożyć sobie stosunków z tamtejszymi kobietami temperuje swoje żądze za pomocą czekoladek z podobizną Mozarta. Rzeczywiście, są to bardzo smaczne marcepanowe łakocie. Lecz na pytanie, czemu nie opuści Wiednia na rzecz, dajmy na to, Barcelony, odpowiada: „Trudno tam dostać te czekoladki”.

Kłopot w tym, że czekolada ma pewne właściwości afrodyzjaku. Spożywanie środków pobudzających erotyczny zapach w celu jego ostudzenia wydaje się nielogiczne. Jednak chyba w tym właśnie tkwi czar czekolady, że jej właściwości pobudzające odczuwa się tylko w sytuacjach intymnych. Zwyczaj wręczania czekoladowych podarków w dniu świętego Walentego zdaje się to poświadczать. W tym świetle oświadczenia kolejnych papieży – od Grzegorza XIII po Benedykta XIV – że picie czekolady nie jest łamaniem postu, wyglądają nieco ironicznie.



Szczególnie w Kalifornii, gdzie dzień świętego Walentego jest tylko częścią urozmaiconych obchodów Tygodnia Prezerwatywy. Świeżo przybyły do San Francisco włoski jubiler Antonio Garibaldi chciał w tym dniu przymilić się wybrance, kupując jej bombonierkę w kształcie czerwonego serca. Zbłądził się, bo nie znał obyczaju – w tego rodzaju pudełkach sprzedawano ślicznie opakowane prezerwatywy.

Oczywiście, za czasów wspomnianych papieży czekolada była zupełnie inna niż ta, którą spożywamy dziś. Była napojem przyrządzanym z ręcznie mielonych ziaren kakao, aromatyzowanym wanilią, ewentualnie słodzonym cukrem. W tabliczkach zaczęto ją produkować na skalę przemysłową dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Jednak olbrzymi wybór niedrogich czekolad, jakim dziś cieszą się konsumenci, okupiony został dramatycznym spadkiem jakości. Miejsce miazgi kakaowej zajęły tłuszcz i cukier. To od cukru, a nie od kakao, uzależnienie są „czekoladoholicy”.

Alphonse Daudet, dyrektor do spraw marketingu francuskiego producenta czekolady Valrhona, twierdzi, że tabliczka, która zawiera mniej niż 50 procent miazgi kakaowej, w istocie nie jest czekoladą, ale co najwyżej „produktem czekoladopodobnym”. Tymczasem w zwykłych sklepach znaleźć można zaledwie kilka rodzajów czekolady zawierających – jak informuje na etykiecie producent – minimum 49 procent miazgi. Nasuwa się więc pytanie – co my jemy?

W minionym dziesięcioleciu dynamicznie rozwinęła się produkcja czekolady o wysokiej zawartości miazgi kakaowej. Najlepsza zawiera 70 procent miazgi uzyskanej z jednego tylko rodzaju ziaren – *criolla*. Wśród koneserów ma taki status jak najlepsze wina bądź whisky typu single malt. Rzecz jasna, jej cena jest wyższa niż batonu Prince Polo. 75-gramowa tabliczka Valrhony kosztuje około 15 złotych.

Lecz nie wszyscy są zgodni co do ośzołmiającego smaku tego rodzaju czekolady. Profesor Kristin Verschueren z Katolickiego Uniwersytetu w Leuven w Belgii twierdzi, że co innego ta w tabliczkach, a co innego małe, nardziwane czekoladki. Produkowane ze świeżej śmietanki trufle belgijskiej firmy Leonidas są jej zdaniem najwyższym osiągnięciem człowieka na drodze ku boskiej doskonałości.

Obawiam się, że przez wielką uczoną belgijską przemawia patriotyzm lokalny. Najlepsze trufle ze świeżej śmietanki produkuje The Chocolate Society w angielskim hrabstwie Yorkshire, a to dlatego, że nadzienie obleczone jest w czekoladę Valrhona.

Dzięki temu, że mamy alternatywę dla masowo produkowanych czekolad o niskiej wartości miazgi, możemy bez zdziwienia przyjąć opinię wielkiego gastronomo Anthelme'a a Brillat-Savarina, który 200 lat temu napisał: „Czekolada jest pokarmem równie zbawiennym, jak przyjemnym w smaku; jest pożywna i łatwo strawna; nie ma niekorzystnego wpływu na urodę dam; odpowiada najbardziej delikatnym żołądkom”. Zatem szef kuchni pewnej kalifornijskiej restauracji, gdzie podawano deser o nazwie „Poczwórne czekoladowe samobójstwo”, nie silił się na dowcip – po prostu używał kiepskiej czekolady.

TADEUSZ PIÓRO



Kwiatek do faceta

Barbara Wrzesińska, aktorka, w rozmowie z Marią Czubaszk



MARIA CZUBASZEK: Jeżeli zając biegnie z szybkością 50 km, to z jaką prędkością biegną dwa zające?

BARBARA WRZESIŃSKA: 100 km. Czyli stado zające leci z szybkością ponaddwukową?

– Nie przesadzajmy! Zając nie jest zwierzęciem stadnym.

Ale gdyby był...

– To nie byłby zającem. Jeśli widziałas stado, to mogły być na przykład owce.

Jeśli owce, to kiedel.

– Ale owiec. Nie zajęcy.

A szczerów?

– To wyścig.

A ty lubisz się ścigać?

– Nie, bo nie znoszę się stresować. Życie i tak nie szczędzi nam stresów.

Dlatego psychoterapeuci biją na alarm, żebyśmy zwolnili?

– Niektórzy zwalniają.

Nierzadko grupowo.

– To nie jest najlepsza terapia grupowa. Myślę, że wprost przeciwnie.

Skoro o przeciwnościach... Wierzysz w przeznaczenie czy że każdy jest kowalem swego losu?

– Są kowale. Ale mnie to nie dotyczy.

Fakt, że na kowala nie wyglądasz.

Ale a propos wyglądalności...

Żyjemy w czasach kultu młodości i urody. Jesteś za operacjami plastycznymi?

– W tym temacie jestem za kultem jednostki. Każdy ma prawo decydować o swoim ciele. I w ogóle o sobie. Może więc w wieku 89 lat będę chciała zaeksperymentować i wyglądać jak szesnastka? Albo...

...siedemnastka?

– To już za stara! Chociaż szczerze mówiąc, podobają mi się ludzie starzy. Zwłaszcza

ich twarze, które z wiekiem stają się wiele mówiące. Jak książka.

Jednak czytelnictwo książek spada.

Kiedyś mówiło się, że każdy może w życiu napisać jedną książkę, a teraz nie każdy jedną przeczyta. Coraz częściej odnoszę wrażenie, że więcej jest piszących niż czytających. Może jesteśmy coraz bardziej ambitni?

– Niewykluczone. Ale nie rozumiem.

O zającach i owcach, terapii grupowej i chirurgii plastycznej, o kwiatach we włosach, o korupcji, matce głupich i jedzeniu

Zamiast iść na gotowe, jeśli ktoś chce coś ciekawego przeczytać, to sam sobie pisze.

– A jak chce na coś ładnego popatrzeć, to siada przed lustrem, chwytając za pędzel i maluje autoportret? Znam takich.

A ty chwytasz czasem za pędzel albo pióro?

– Nie. Nawet brzytwy się nie chwytam.

To inne pytanie. Mówi się, że mężczyzna nie musi być piękny. Ja uważam, że mężczyzna nie musi być brzydki...

– Powiem więcej. Mężczyzna w ogóle nie musi być.

Jednak jeśli już jest... to nie musi być piękny czy brzydki?

– Powiem inaczej. Musi mi się podobać.

A podobałby ci się mężczyzna z kwiatami we włosach? Jak model jednego ze słynnych wizjonerów mody?

– Podobają mi się mężczyźni, którzy w ogóle mają włosy. Łyse pały nie kojarzą mi się z niczym przyjemnym i przyzwoitym. Więc kwiaty facet może mieć, gdziekolwiek chce. Nawet we włosach. Byle je miał. O włosach, oczywiście, mówię.

To pomówmy teraz o politykach.

– Pomówień ci u nas dostatek.

Właśnie. Większość społeczeństwa uważa, że wszyscy politycy są przekupni. A niektórzy mają nadzieję...

– Że nie są?

Że są. Większość jest o tym przekonana, niektórzy mają taką nadzieję.

– Chciałoby się powiedzieć, że nadzieja to matka głupich. Ale to nie jest chyba takie głupie, niestety.

Na szczęście mam inne pytanie.

Wprawdzie mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają, wszystkim marzy się amerykański sen... Z pucybuta milionerem...

– U nas to się nie przyjmie. Polakowi nie honor czyścić komuś buty.

I czasem sobie. Teraz poważnie. Skąd w takim razie u nas te fortuny?

– Najczęściej z braku dowodów. To nie moje.

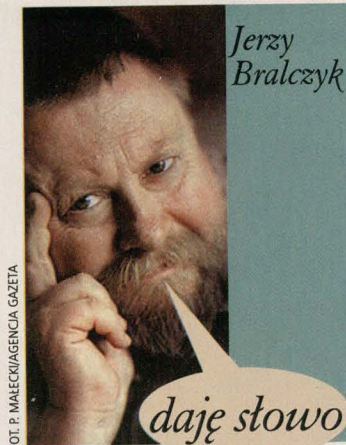
Ale też dobre. Dobrze. To ostatnie pytanie. Czy jest coś, co przychodzi ci z wyjątkową trudnością, i coś, co możesz zrobić nawet zbudzona w środku nocy?

– Z trudnością przychodzi mi upieczenie kruchego ciasta. A bez wysiłku – żeberka cielece w imbirze, w miodzie i z czosnkiem.

To coś do jedzenia?

– Zaraz możesz spróbować.

Dziękuję. Na czczo nie jadam.



FOT. P. MAŁECKI/AGENCJA GAZETA

O „SOBIE”

„Ale, ale, Kapitanie, Przerwał Robak, i coś się tedy z nami stanie, Jeśli nie chcesz zgodzić się? Wszakże dałeś słowo Załatwić tę rzecz”
– „Prawda, słowo dam na nowo, Rzecz Ryków, ot słowo!”

Daję sobie do zabawy słowo „sobie”.

Takie sobie. Niespecjalne. Właściwie nawet nie osobne słowo, ale jakaś forma. Celownik. Chociaż nie wiadomo czego. Bo „tobie” to od „ty”, a „wam” od „wy”. A „sobie” od niczego. Ale sobie mogę dawać, co chcę. Mogę sobie dawać. Mogę w ogóle sobie robić, co chcę. Mogę sobie czytać na głos. Samemu sobie mogę sobie czytać. Mogę sobie siedzieć i czytać. Nikomu tak nie mogę siedzieć i czytać jak sobie. Nawet tylko usiąść sobie („Pan sobie usiądzie!”) i siedzieć sobie mogę. Śpiewać mogę sobie a muzom. A podśpiewywać tylko

sobie. Żarty sobie robić. I być można sobie, ale tylko raz. „Był sobie raz...”.

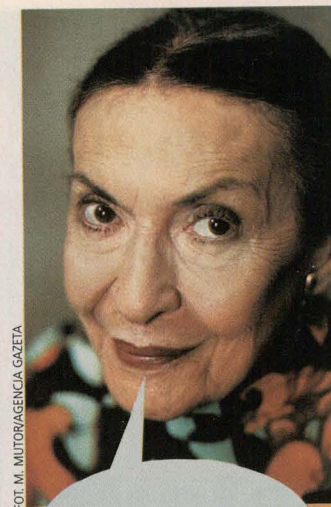
Mogę sobie robić wszystko, co chcę. Żebym tylko sobie nie zrobił czego. Na przykład krzywdy żebym sobie nie wyrządził. Żebym sobie nie połamął kości. Albo zębów na czym. Bo głowę to sobie mogę łamać. I, od biedy, język.

Mogę dać sobie radę, nawet powinienem. Nie muszę wtedy nawet doradzać. Jak sobie z kimś dam radę, to tak samo jakbym jemu dał radę. Tylko nie taką radę, jaką on by chciał przyjąć.

„Daję słowo!”. „Możesz sobie dawać!”. Takie słowo wraca do tego, co je daje.

Taki celownik nastawiony na siebie.

Już daję sobie z tym spokój.



FOT. M. MITURA/AGENCJA GAZETA

chwalę, ale...

Stefania Grodzieńska

Jak się zaczęło

Ilu poznała Pani w życiu konduktorów?

– Trudno mi powiedzieć, bo nosili mundury i, co gorsza, czapki, a ja mężczyźni zapamiętuję dzięki owłosieniu. Wszystko to byli młodzi ludzie o przeciętnym wyglądzie. Zapamiętałam tylko jednego z nich, ponieważ był dociekliwy. Intrygowało go, dlaczego wysyłam tyle listów do Krakowa. Wreszcie wyznałam mu, że mam tam narzeczonego. „A dlaczego pani sama nie pojedzie?”. „Bo tu mam męża”.

A tak naprawdę, to dlaczego stale chodziła Pani na ten dworzec?

– Dawałam konduktorom przesyłki dla „Przekroju”. Zaraz po wojnie mieszkaliśmy w Łodzi. Byłam tancerką i aktorką w teatrze Syrena, a poza teatrem – początkującą felietonistką.

Pewnego dnia, kiedy po próbie wróciłam do domu, kolega, który u nas mieszkował, przywitał mnie elektryzującą wiadomością: „Dzwonił redaktor Eile z Krakowa! I powiedział, że jeszcze za telefonuje”. Marian Eile był założycielem „Przekroju”. Już w tym czasie „Przekrój” był najbardziej popularnym czasopiśmem, perspektywa rozmowy z jego szefem – wydarzeniem.

Natychmiast zaczęłam telefonicznie poszukiwać po mieście mojego męża Jerzego Jurandota, bardzo znanego wówczas autora tekstów satyrycznych. Gdy go znalazłam, wrzasnęłam do słuchawki: „Usiądź, to ci coś powiem!”

HECA HECA

- Coś pan taki ośnieszony, jakbyś uciekł od swej żony, choć ona wcześniej uciekła z przystojnym diabeł do piekła.
- Nawet miłość własną masz ciemną i ciasną.
- Zadowolona buzia to najlepsza słodka poliglotta.
- Władza uderza do głowy i zwiększa zasobność portfeli, szkoda, że tylko rządzących, a nie obywateli.
- Kraczą wrony w obronie lidera Samoobrony.
- Pić do lustra nie wypada, lepiej zaprosić sąsiada.
- Najmniejszy kombinat to konkubinat.
- Dla niej by mur jadt, taki był furjat.
- Nie trza mówić trza, tylko trza mówić trzeba.
- Panie majster, zeszyte? To można pruć.

Wybraliśmy z listów naszych Czytelników: Teresy F. z Olsztyna, Mariana T. z Ostrowa Wielkopolskiego i Jerzego K. z Tomaszowa Lubelskiego. Dziękujemy.



RYŚ. M. SOBIECZYK / ZAFRYKI

Kici Kici

Zestaw niezbędnych wyrażań i zwrotów w językach świata. Dziś: jak przywoływać kota

- w Polsce kici, kici
- w Wielkiej Brytanii i Irlandii: pus pus, a także: here kitty kitty
- we Francji: minou minou
- w Niemczech, Austrii, Liechtensteinie, wschodnim Luksemburgu i północnej Szwajcarii: mitzi minz
- w Czechach i na Morawach: cziczi cziczi
- w północno-wschodniej Finlandii: kis-kis mirri mirri
- we Włoszech: micio micio
- na Węgrzech: ci ci ci
- w Rosji i Białorusi: kis kis (rządziej: ksy ksy)
- w Hiszpanii i Portugalii: misi, misi
- w Korei: iaong iaong
- w Chile: cucho cucho
- cuchito (czyt.: kuczo kuczo kuczito)
- w Japonii: neko-chan (dosłownie: kochany panie kotku)
- w Egipcie: psy psy psy (wyrażenie to nie ma nic wspólnego z ostrzeganiem kota przed zbliżającymi się psami; pochodzi od staroegipskiego hieroglify oznaczającego kota, który wymawiany był: byst)

Dzwonili z „Przekroju”, zadzwonią wieczorem!”.

Istotnie, zadzwonili. Podniosłam słuchawkę i drżącym głosem powiedziałam: „Mąż już podchodzi”. Rozmowa była krótka, usłyszałam tylko rozbawione: „Żona już podchodzi”.

Redaktor Eile zaproponował mi cotygodniowy felieton w „Przekroju”. W każdy czwartek miałam dostarczyć gotowy materiał konduktorowi porannego pociągu do Krakowa. Od tego momentu przez długie lata co czwartek biegłam na dworzec, początkowo w Łodzi, a potem w Warszawie.

Nie można było tych felietonów posyłać pocztą?

– Starałam się zawsze w każdy tekst wpakować aluzję do najaktualniejszego wydarzenia. Konduktor był szybszy od listonosza.

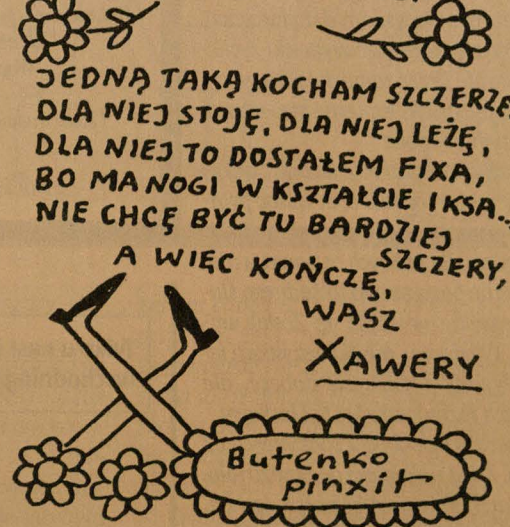
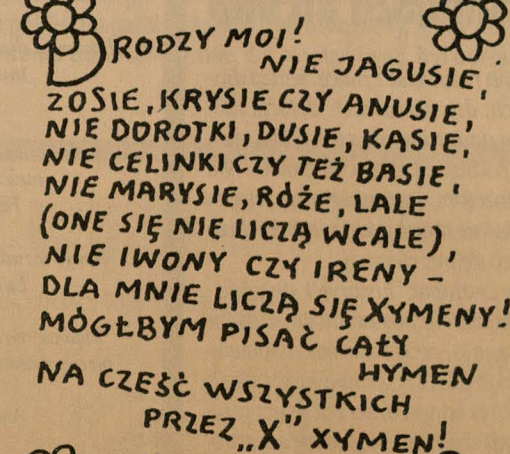
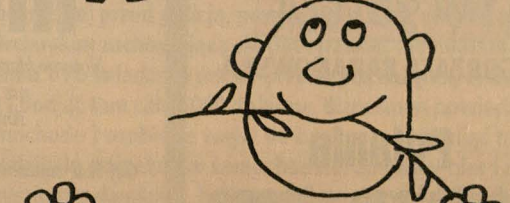
Od ostatniego mojego kontaktu z „Przekrojem” minęło parędziesiąt lat. W momencie kiedy dostałam propozycję wznowienia współpracy, ubył mi tych parę dziesiątek lat. I znów jestem stremowaną nowicjuszką. Przystępując do nowego zadania, czuję się jak stara, wyranżowana debutantka. Kojarzy się to ze starą aktorką grającą dwudziestolatkę. Mam nadzieję, że śmieszyć będzie nie moja postać, tylko teksty.

A co Pani zmieni w sposobie nowej współpracy z „Przekrojem”?

– Ty zastąpisz konduktora.

* Rozmawiała Beata Kępczowska („Gazeta Wyborcza”)

RYŚ. WILHELM SASNAL



- ❖ No widzisz, jaka ty jesteś słaba z matematyki, znów się przeliczyłaś.
- ❖ Kowalski brzydko powiedział o koleżance, że chociaż koślawka, ale kława [wpis do dzienniczka ucznia].
- ❖ Odpowiadasz kapitalnie, masz zadatki na kapitalistę.
- ❖ Twoje wiadomości są równie skąpe jak twoja spódniczka.
- ❖ Przestań wreszcie robić z nosa kąpałnię i fedrować w nim bez przerwy.

Cytaty do KĄCIKA BELFRA pochodzą ze zbiorów: A. Kozarzewskiego z Pułtuska, A. Głogowskiej z Warszawy, H. Jurkowskiej z Wrocławia, M. Trachimowicza z Ostrowa Wielkopolskiego i J. Kaptura z Tomaszowa Lubelskiego. Prosimy o kolejne dostawy.



MAŁGORZATA BARANOWSKA

Pytanie o jaśniejszą stronę

Można przywołać tysiące bardzo dramatycznych, dramatycznych historii, które miały nawet i swoją szczęśliwą stronę, ale podnoszą włosy na głowie. Nie tylko filozofom, lecz także nam wiadomo, że jasna strona życia nie ma ochoty ujawniać się bez ciemnej.

Żeby „nałapać” historyjek do tekścików o szczęściu posuwam się czasem do proszenia, żeby rozmówca opowiedział mi jakąś „szczęśliwą historyjkę”, i oczywiście odnosi to skutek wręcz przeciwny. Nikt nie schodzi poniżej katastrofy „Titanica”. Wszystkim dziwnie przypominają się najgorsze wypadki życia: przejechanie przez samochód na przejściu dla pieszych, topienie się, utrata pracy i tym podobne.

Proszę jednak zwrócić uwagę, że skoro mogę moim rozmówcom zadać pytanie, to znaczy – nie zginęli jednak na przejściu dla pieszych, a nawet u niektórych nie pozostawiło to żadnego śladu. Oczywiście nie utopili się. Zostali uratowani. Wiadomo – nie dla wszystkich takie przygody kończą się dobrze, ale dla moich rozmówców los był taskawy.

Historie o bezrobociu słyszymy coraz częściej. A już najczęściej od bardzo młodych ludzi, którzy wykształcili się, nie mogą znaleźć pracy. Wobec takiego obrotu sprawy ilość szczęścia wokół nas nie może rosnąć.

Ale jednak trudno zrozumieć, dlaczego tylu ludzi ma pamięć nastawioną na czarniejszą stronę życia. Czy chodzi o zaklinalanie losu, który mógłby „usłyszeć”, że nie jest nam tak źle, i się pogorszyć? Czy to nasz tutejszy obyczaj? Czy nieszczęścia są silniejsze od szczęść?

Może by tak już, w tej chwili, wykonać małe ćwiczenie w szczęściu! Nic takiego. Tylko dla siebie. Po prostu wyliczyć wszystkie dobre rzeczy, jakie się nam przydarzyły w ostatnim tygodniu. Tylko bez oszukiwania, proszę!

KAWAŁ ŚWIATA: WŁOCHY

Mąż wraca do domu.

- Kran nie działa – informuje go żona.
- Jestem twoim mężem. Nie hydraulikiem.
- Następnego dnia mąż znowu wraca do domu.
- Światło wysiadło – mówi żona.
- Jestem twoim mężem. Nie elektrykiem.

Następnego dnia mąż wraca do domu. Kran działa, światło się świeci.

- Co się stało?
- A wiesz, mamy bardzo miłego sąsiada. Naprawił wszystko, a kiedy zapytałam go, jak mu się odwdziżyć, powiedział, że mogę pójść z nim do łóżka albo upiec mu placek.
- No i co zrobiłaś?!
- Jestem twoją żoną. Nie piekarką.

myśli

Nowego kłamstwa słucha się chętniej niż starej prawdy.
Antoni Czechow

Czy brak złudzeń księgować po stronie „ma”?
S.J. Lec

Przyczyną złych postępów są bogactwa trudno osiągalne.
Lao-cy

Kobiety rozumieją lepiej żywe istoty, mężczyźni – martwe.
Hugo Steinhaus

Niczego nie udziela się tak hojnie jak rad.
La Rochefoucauld

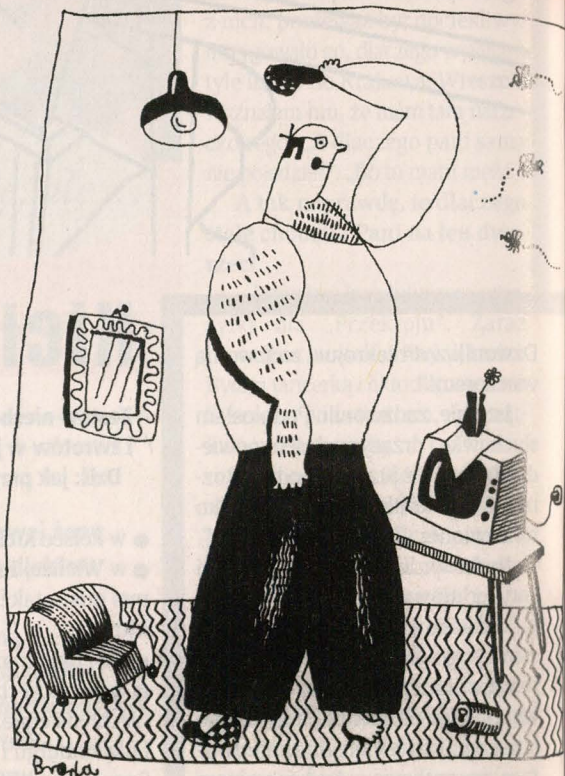
Mądrość ma tę cenną zaletę, że za nic nie odpowiada. Za wszystko odpowiada głupota.
Andrzej Klawitter

Bulgoce w nas przeszłość, syczą teraźniejszość, ale czy ure przyszłość?
Wojtek Bartoszewski

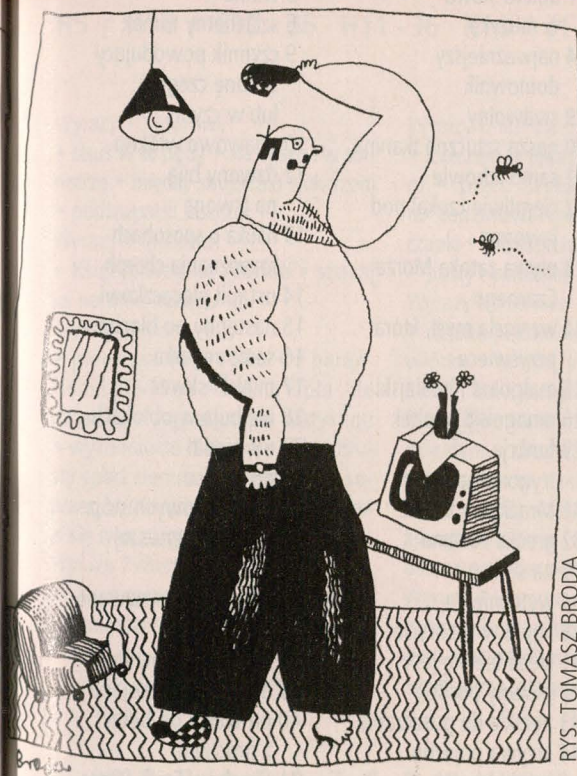
I coraz trudniej iść po rozum do głowy!
Krecia P.

Myśli zebrała Stella Varcaby

WYTEŻ WZROK



— znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki. Rozwiązanie znajduje się na str. 72



RYŚ. TOMASZ BRODA



CHRISTIAAN VAN LIEROP

Kolor papieru

Dla nas, cudzoziemców, życie w Polsce to często długa lista pytań. Weźmy na przykład szary papier. 1. Dlaczego paczka musi być opakowana w specjalny papier? 2. Dlaczego nie mogę kupić tego papieru na pocztę?

3. Dlaczego ten papier nazywa się szary, skoro jest brązowy?

Jestem Angolem z krwi i kości – ale chyba raczej z kości niż z krwi, taki ze mnie chudzielec. Mimo że się w Anglii urodziłem i wychowałem, z krwi jestem Anglikiem tylko w 25 procentach – reszta to krew holenderska i polska. Kiedy byłem mały, chwalilem się, że gdybym chciał, to mógłbym grać aż w trzech reprezentacjach w piłce nożnej.

Mieszkam w Polsce już od pięciu lat. Mimo że mówię po polsku od dziecka, cały czas zdarza mi się coś przekręcać – ostatnio, rozmawiając o miodzie, chwalilem tutejsze pasiaki... Choć robię to niechcący, zawsze rozbawiam gości.

Bardzo lubię spotkania towarzyskie. Kłopotliwe jest tylko to, że każda moja rozmowa z nieznanym zaczyna się tak samo. Od przeliterowywania mojego nazwiska – van Lierop. Kiedy zamawiam taksówkę czy pizzę, jestem Kowalskim, no bo ile można... Marzę o tym, żeby pojechać kiedyś do Amsterdamu, zameldować się w jakimś hotelu i podać recepcjonistce moje nazwisko – tak,

żebym choć raz w życiu nie musiał przejść przez ten uciążliwy rytuał. Szkopuł w tym, że ponieważ nie znam holenderskiego, szanse na to, iż dobrze wymówię własne nazwisko, są zerowe. Chybabym się zastrzelił, gdybym nawet w Holandii musiał ludziom tłumaczyć, co to za nazwisko dziwne.

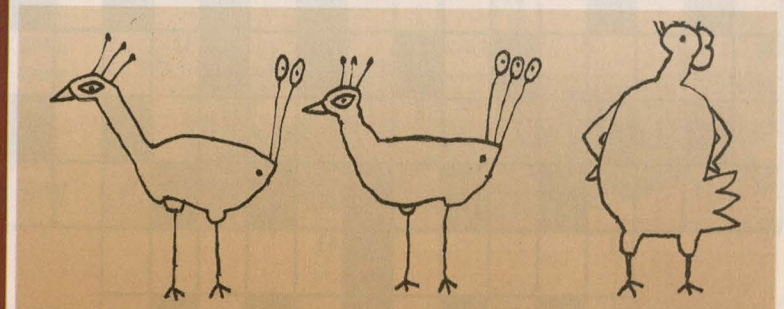
Ceniąc własne zdrowie, postanowiłem więc tam nie jechać, tylko pobyt trochę w Polsce i pisać o tym, co robię w waszym kraju. Ci, którym moje felietony się nie spodobały, powiedzą: „Znowu pieprzy ten Angol, holender”. I niewątpliwie będą mieli trochę racji.

Dobrze pamiętam ostatnie słowa ojca, kiedy żegnaliśmy się pięć lat temu na dworcu autobusowym w Birmingham w Anglii: „Tyłko nie żęń mi się z Polką! Znowu będę musiał poznać całą rodzinę, z którą się nie będę mógł dogadać”. Moja żona ma na imię Agnieszka...

Poznajcie więc ten osobliwy kraj razem ze mną i spójrzcie na niego oczami Anglika. Polska Angola. Bo nawet jeśli papier musi być szary, to czy życie też?

Obraz wyrażen

Podaj hasło, które zilustrował Mariusz Wilczyński



Odpowiedź: Dumny jak paw.

Tylko u nas! Postaci ze starych bajek bloku wschodniego w zaskakujących sytuacjach

minibaśnie

Grzegorz Markowski

BOLEK I LOLEK* W PRZESTRZENI POŚREDNIEJ

Opis: Bolek i Lolek stoją w szarosrebrnej poświacie. Patrzą na siebie. Bolek wyciąga powoli rękę i dotyka nosa Lolki. Ten uśmiecha się smutno. Rozglądają się, lecz niczego nie widzą.

Lolek: To chyba ostatni odcinek, mój kochany bracie...

Opis: Bolek i Lolek obejmują się i zaczynają chodzić w kółko równym krokiem, wyrzucając nogi w prawo i lewo. Próbuja śpiewać piosenkę, ale otaczająca ich mgła tłumi wszelkie dźwięki.

Bolek: Boję się, że masz rację, to wygląda jak ostatni odcinek. A więc jednak przesadziliśmy.

Opis: Nagle z przestrzeni nad Bolkiem i Lolkiem wynurza się głowa Reksia.

Reksio: Nie. To tylko ostrzeżenie. Musicie się po prostu bardziej starać, a wszystko się ułoży. I zostawcie Tolę. Ona jest Zła.

Opis: Reksio znika. Bolek i Lolek patrzą na siebie. Obracają się w stronę widza.

Bolek i Lolek: Dobrze.

*imiona bohaterów użyte całkowicie przypadkowo

KRZYŻÓWKA nr 6

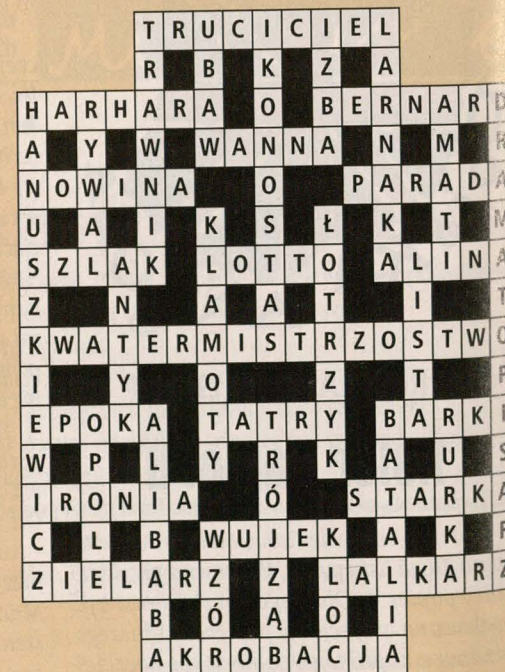
POZIOMO:

- 1 wszystko o drganiach naszej skorupy ziemskiej
- 7 Enigma
- 8 koniem zdobyta
- 9 cicha pod miotłą
- 11 ubiera słowa w muzykę
- 14 najważniejszy domownik
- 19 swawolny
- 20 nasza sztuczna tkanina
- 21 samo zdrowie
- 22 cierpliwie czekał pod jaworem
- 23 płytka zatoka Morza Czarnego
- 24 wzniosła myśl, która przyświeca
- 25 małopółd himalański
- 26 mongolski napitek
- 29 funkcja trygonometryczna
- 31 Mrozkowy taniec
- 32 grecka Fortuna
- 33 na stół!
- 34 wytchnienie
- 39 kopie w Madrycie
- 41 śledź też nią jest
- 42 główny posiłek
- 43 perskie do puszczenia
- 44 krzywa pojazdu kosmicznego

PIONOWO:

- 1 przygotowany na kompot
- 2 jeden dzień z życia Leopolda Blooma opisał
- 3 Żółte
- 4 ważne pióra ptasie
- 5 winne
- 6 szlachetny rumak
- 9 czynnik powodujący zmianę czegoś lub w czymś
- 10 agawowe włókno
- 12 dzwony biją na trwogę
- 13 nauka o sposobach rozpoznania chorób
- 14 ustąpił plecaczekowi
- 15 następny po blacharzu
- 16 serce zegarka
- 17 miejski skwer
- 18 nie buja w obłokach
- 27 nie siada!
- 28 do popisu
- 30 u Małyszowych stóp
- 35 miejsce pierwszej olimpiady
- 36 smaczne marynowane grzybki
- 37 As w pysku przynosi
- 38 długi u mrówkojada
- 40 prowadzi do beczki z prochem
- 41 strzelców Emilii Plater

Rozwiązanie krzyżówki nr 4



JOLKA nr 6

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

A17 - G13 - F9 - G8 - M7 / K3 - L7 - K17 / C13 - K10 - G4 - E17 - L16 - K1 - H14 / J14 - B4 / D15 - L13 - B8 - H5 / H15 / C10 - B6 - H11 - J6 - K14 / J17 - C2 - M13.

Wyrazy 10-literowe:

- struś w te pędy • na afiszu i w tynkarskim
- między stropem a tynkarskim
- podkarpaccy jaszczur

Wyrazy 9-literowe:

- Księżyc według Aldrina • szukaj jej na dnie oceanu

Wyrazy 8-literowe:

- pierwsza na drutach • z barankiem i piórkiem • nie na króla, nie na pają • reprezentant Watykanu
- wykończenie diabełka • drapichrusty spod ciemnej gwiazdy • czasoprzestrzeń między otwartymi oknami
- się łyka z patyka

Wyrazy 7-literowe:

- z ekspresem i psiapsiótkami
- Umińska lub Grandet

Wyrazy 6-literowe:

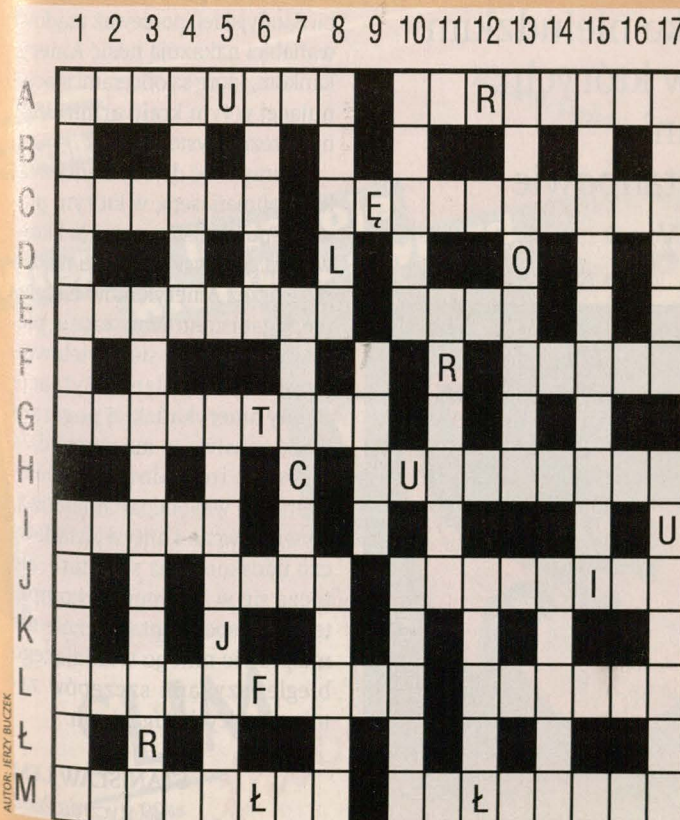
- z biczem w rękę i cukrem w kieszeni • przed szukaniem • sprawa na cenzurowanym • doczepka do czapki • przyrząd na N, choć nie na N
- pusty i oklepny

Wyrazy 5-literowe:

- delektuje koniesera • śpiąca wieściorka • lampa, która przyświeca miłośnikowi anagramów • chordo-fon z „Quo vadis” • z jednego wydzie dym, z drugiego grotolaz • sośnie wystarczy • nieboraczek Jachowicza • król o oślich uszach • entuzjazm ze słomy • dziadek sobie ostrzył na tódeczkę z kory

Wyrazy 4-literowe:

- na mnie, na ciebie, byle z pokryciem • na sukni zrobił plamę • wysłał rozwiązanie jolki po terminie



- Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 17 lutego (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki, rozlosujemy nagrody książkowe. Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z dopiskiem „Jolka 6”.
- Rozwiązanie jolki nr 4

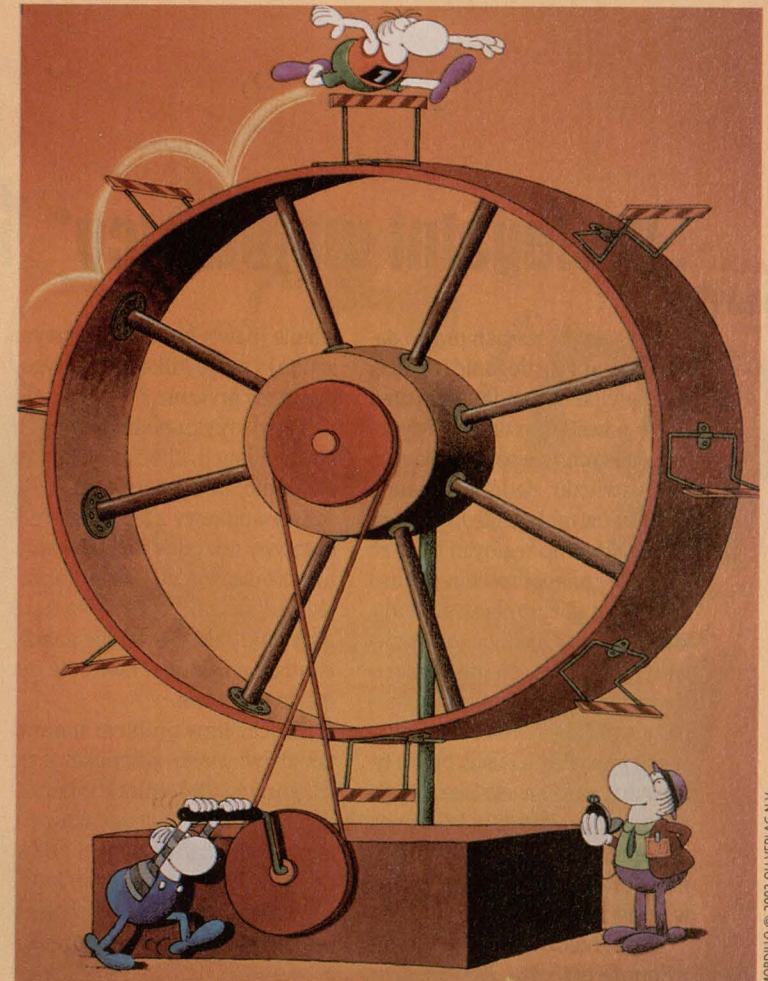
SŁODKI SREBRNY BLUES (tytuł książki Glena Cooka).

- Rzędami: strata, miodobranie, rzepak, leżak, czątki, balistyka, Engel, Canaletto, kserograf, dieta, rzemiosło, fotel, order, smutki, chryzantema, pierze.

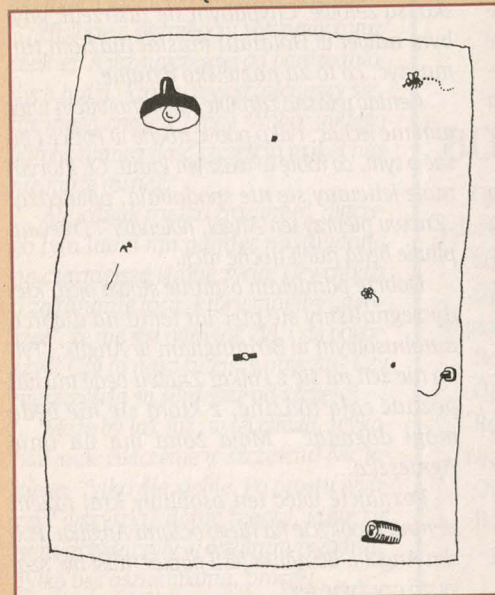
- Kolumnami: smreczek, sezamki, poroże, promotor, collie, Nagłowice, oręż, abecadło, kalafior, doza, serwisant, afront, Roentgen, statek, trajkot, ogólniak.

- Za poprawne rozwiązanie jolki nr 3 nagrody wylosowali: Leokadia Głębocka, Pszczela Wola; Jolanta Jackula, Kłodzko; Maria Łuczka, Dąbrowa k. Mogilna; Teresa Mycielska, Orzesze; Teresa Willam, Trzcianka. Gratulujemy!

Guillermo MORDILLO



WYTYŻ WZROK rozwiązanie ze str. 70



- Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 17 lutego (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki, rozlosujemy nagrody książkowe. Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z dopiskiem „Krzyżówka 6”.

- Za poprawne rozwiązanie krzyżówki z numeru 3. nagrody wylosowali: Tadeusz Fangor, Łańcut; Wacław Nakończy, Tarnów; Aleksandra Mazur, Nysa; Stanisław Badek, Skierniewice; Katarzyna Pietrzyk, Częstochowa. Gratulujemy!

Wielce Szanowni CZYTELNICY I AUTORZY tygodnika „PRZEKRÓJ” oraz równie Szanowna RESZTA LUDZKOŚCI!

Listy, e-maile oraz telefony prosimy kierować na takie oto ADRESY I NUMERY:

REDAKCJA TYGODNIKA „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 WARSZAWA

e-mail:

redakcja.przekroj@edipresse.pl

tel.:

(0-prefix-22) 627 23 06 do 08

Z wyrazami nieustającego szacunku

REDAKCJA TYGODNIKA **PRZEKRÓJ**

„Nielegalni wojownicy”

W naszych czasach prawo daremnie stara się dogonić bieżące, rzeczywiste wypadki, wskutek czego powstają sytuacje przypominające próby wpasowania stóp w rękawiczki. Jednym z wielu przykładów takiego niedostosowania legislacji do realnych potrzeb jest nabrzmiały problem statusu talibów oraz członków al Kaidy, których Stany Zjednoczone przywiozły na Kubę, do mieszczącej się na tej wyspie amerykańskiej bazy wojskowej. Ktoś w administracji prezydenta Busha był na tyle chytry, ażeby to miejsce znajdowało się poza terenem USA i tym samym nie podlegało w pełni normom prawnym obowiązującym w samej Ameryce.

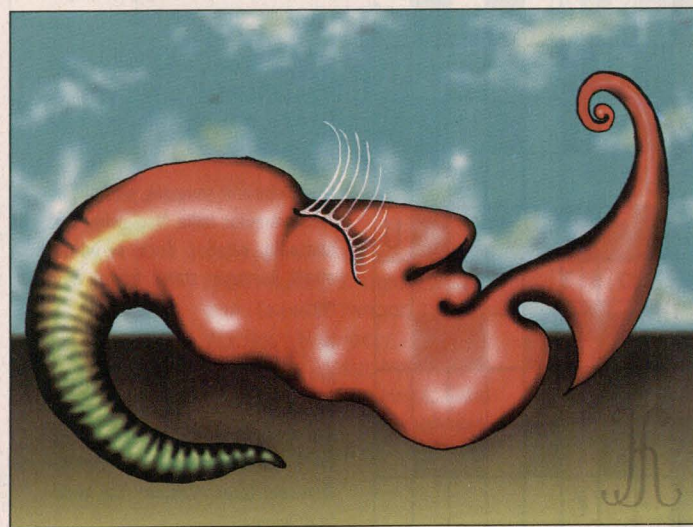
Jedni rzeczoznawcy, głównie z Europy, twierdzą, że pojmanym bojownikom przysługuje status jeńców wojennych i podlegają oni postanowieniom konwencji genewskiej. Inni natomiast, na czele z sekretarzem obrony USA Donaldem Rumsfeldem, utrzymują, że są to tak zwani nielegalni wojownicy, ponieważ Stany Zjednoczone nie wypowiedziały wojny Afganistanowi, a także nie uznały formalnie talibskiego rządu. Wezbrała wrzawa oburzenia skierowana przeciwko nieludzkim warunkom, w których przebywają schwytani. Przed lotniczą wywózką na Kubę zakuwano ich w łańcuchy, zawiązywano oczy, nie powiadomiono ich, gdzie zostaną przesłani, a po wylądowaniu ogolono ich i ostrzyżono do nagej skóry, co dla muzułmanów jest ponoć hańbą.

Zdaniem Amerykanów w oskarżeniach o fatalne traktowanie talibów jest mnóstwo przesady, ponieważ umożliwiono im kontynuowanie religijnych obowiązków, a ponadto śpią na piankowych matkach, otrzymują trzy razy dziennie poży-

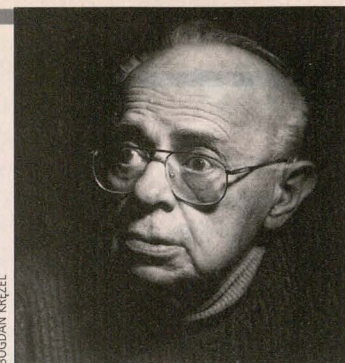
wienie (nawet bułki z kremowym serem) i mogą kilka razy w tygodniu brać prysznic. Dużo krzyku podniosło się ze strony Francji, chociaż skądinąd wiadomo, że pewien wyższy dowódca wojskowy z tego kraju brał aktywny udział w torturowaniu mieszkańców Algierii, zaś francuski sąd skazał go za to na karę grzywny! Jak mówią, nie należy chodzić na słońcu, kiedy się ma masło na głowie.

Trochę inny problem stanowi taki dziwny talib, który okazał się rdzennym, 20-letnim Amerykaninem. Kiedy go zidentyfikowano, ogolonego przywieziono do USA, gdzie stanie przed sądem, który rozstrzygnie, czy jest zwyczajnym zdrajcą. Prasa donosiła o grozą-

Wezbrała wrzawa oburzenia skierowana przeciwko nieludzkim warunkom, w których przebywają schwytani przez Amerykanów talibowie i członkowie al Kaidy



Co Pan na to,
Panie LEM?



BOGDAN KRZĘTEL

cym mu dwukrotnym dożywociu, ale znalazł obrońcę, który pragnie dowieść jego całkowitej niewinności. Zresztą okazało się, że wśród jeńców znajdują się także obywatele brytyjscy i francuscy – tym samym sprawa poczęła się gmatwać. Jednak prezydent Bush stanął murem za Rumsfeldem i nie godzi się na żadne złagodzenie warunków dla schwytanych nieprzyjaciół.

Na dodatek, po upadku władzy talibów, w Afganistanie zaczęły się międzyklanowe tarcia i nowy rząd życzy sobie, ażeby Amerykanie pomagali w pacyfikowaniu tego kraju, który jest zakonserwowanym kawałkiem różnoplemien- nego średniowiecza. Przeszczepę rozumianej po amerykańsku de-

mokracji na tamtejsze obszary wydają się co najmniej problematyczne.

Ogień rozpalony przez al Kaidę tli się na świecie dalej, zaś rozróżnienie wśród arabskich państw tych, które są cichą kląką Bazy, od tych, które stanowią jakoby amerykańskich aliantów, też jest niezmiernie trudne. Amerykański wysłannik, który odwiedził kolejno wszystkie kraje Bliskiego Wschodu, usłyszał od ich wykształconych i dyplomowanych mieszkańców, że ben Laden nigdy niczego dla telewizji nie nagrywał, lecz nadano fałszywyk sprecyparowane przez FBI, że z atakiem na nowojorskie wieżowce Arabowie nie mieli nic wspólnego, ponieważ te wieżowce razem z ich mieszkańcami powalili Żydzi, ażeby zaszkodzić opinii muzułmanów. Wreszcie ostatnio doszło do bardzo nieprzyjemnych tarć w Arabii Saudyjskiej, ponieważ rządowi wahabici nakazują nosić Amerykanom, które są oficerami stacjonującej w tym kraju armii USA, nieprzezroczyste zasłony.

Mamy więc do czynienia z takim galimatiasem, w którym prawo stanowione (na przykład konwencją genewską), prawa narzucone przez Amerykanów na terenie Afganistanu oraz właśnie plemienne zderzają się z wielowiekową tradycją islamu. Sytuację strony amerykańskiej pogarsza to, że państwo to ma wprawdzie ogromnie rozbudowaną, wielopiętrową i wielodepartamentową, wywiadowczą i antywywiadowczą udoskonaloną strukturę, ale toczą się w jej wnętrzu kompetencyjne spory i praktycznie nie ma prawie nikogo władającego biegle językami szczepów zamieszkujących Afganistan.

STANISŁAW LEM
29 stycznia 2002

W „PRZYJACIÓŁCE” WALENTYNKOWY PREZENT
PRZEBOJOWA PŁYTA CD: HITY RICKY MARTINA, CELINE DION I GLORII ESTEFAN

Kupując „Przyjaciółkę” z płytą CD, przekazujesz 10 groszy na dzieci z domów dziecka!

WYKORZYSTAJ MIŁOSNĄ MAGIĘ

Przyjaciółka 3,50 ZŁ

8 - 14 II 2002 NR 6 (2796)
PL ISSN 00332534
INDERS 371556

TYLKO U NAS!

KRZYSZTOF IBISZ

Zostawiam żonę, zostaje barmanem

Wielkie przeboje wielkich gwiazd

Walentynki

Kupując „Przyjaciółkę” z płytą, pomagasz dzieciom z domów dziecka

Walentynki

Wielkie przeboje wielkich gwiazd

CELINE DION

RICKY MARTIN

GLORIA ESTEFAN

SLIM trio

Ochudzanie dla wymagających

u to mi graj...

ASPROCOL De

Pokonaj grypę

Poradnik dla ciebie i twojej rodziny

Poznaj

- sprawdzone leki przeciw grypie
- naturalne kuracje

Kupując „Przyjaciółkę” z płytą, 10 groszy przekazujesz dla dzieci z domów dziecka.

PROSIMY PONTARZĄĆ

Co to jest plotka? To jest coś, co się nam podoba, o kimś, kto się nam nie podoba.

O WACUSIU

Falczak nauczył swego psa grać w pokera, ale zawsze z nim wygrywał, ponieważ zawsze ma dobrą kartę, to natychmiast macha ogonem.

Orzeł-redaktor

W „Magazynie Rzeczpospolitej” z 11 stycznia Agnieszka Wrzesień pisze o znanym krawcu Józefie Turbasie. Tytuł tekstu:

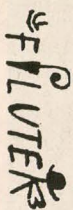
„Orły są szare”.

Dzień później w „Wysokich Obcasach” – dodatku do „Gazety Wyborczej” – Joanna Bojańczyk rozmawia z Józefem Turbasą. Tytuł wywiadu:

„Orły są szare”.

Te orły to redaktorzy wymyślający tematy artykułów oraz tytuły do nich?

(Nadesłał: Adam W. z Mszany Dolnej)



POLITYK LITERAT

Na stronie internetowej Sejmu www.sejm.gov.pl można przeczytać ogłoszenia majątkowe posłów. Posłanka UP – znana wielbicielek zwi-rzał – pisze, że posiada 30-hektarowe gospodarstwo, którego

„grunty stanowią ostoję dla zwierząt hodowlanych wóhno żyjących”.

Z kolei jeden z działaczy Liigi Polskich Rodzin chwali się, że jego oko ciesza się domem

„obrazy malarskie”.

No proszę, a wszyscy śmiali się ze zdaniami: „Jestem za, a nawet przeciwny”, „tutaj z „plusów dodatkich”, podczas gdy wkład „nabardziej znanego elektryka w język polskiej debaty publicznej” zdaje się nie-podważalny.

(Nadesłał: Tomasz Pesta)

Rys. Zbigniew JUIKA



Bratanki czy bliźniaki

W „Super Expressie” z 2 stycznia opublikowano ankietę pt. „Pro-gnozy na 2002 rok”. Wśród pytań było i takie: „Jaka polska lektura doczeka się ekranizacji?” Najciekawsza wy-daje się odpowiedź zwy-ciężczyni drugiej edycji

„Big Brothera” Marzeny Włoczek: „Marzę, żeby sfilmowali „Chłopców z Placu Broni”.

Gorąco popieram! Co prawda powiedzenie mowi: „Polak, Węgier – dwa bratanki”, ale czyż nie można go za-mienić na: „Polak, Wę-gier – bracia syłanscy”? (Nadesłała: Olga K. z Kralicami)

...i przybrał małe nazwisko Robak.

Dulska trzymała męża w domu, aby nie stracił moralności.

Subiekt zjadł podupadłą rodzynekę.

Każdy człowiek musi trzymać higienę.

Wielu z nich poległo, lecz się tym nie zrażali.

HUMOR ZESZYTÓW nadesłał: Maria G. z Warszawy, Paulina G. z Rabki, Sylwia D. z Olsztyna. Dziękujemy.

EKONOMICZNY POETA

W portalu interneto-wym „Gazety Wybor-czej”, w dziale Książki ekonomiczne, pomiędzy „Promocją sprzedaży” a „Rynkiem finansowym Unii Euro-pejskiej” znalazł swe miejsce

Kryształ (o drugim imieniu, niestety, zapo-mniano) Baczynski.

Poeta jak wino, czym starszy, tym cen-niejszy... (Nadesłał: Kordian M. z Opola)

O WACUSIU

Falczakowa za-pytana, ile waży nasza Ziemia, na-tychmiast upewni się: „Z ludźmi czy bez?”.

Ludwik Jerzy Kern

KRÓTKI KARNAWAŁ

Nie dość, że dreczę nas różne smutki, To na dodatek karnawał mamy bardzo w tym roku króciutki.

W związku z tym właśnie się ostrzeżenia: Panowie! Nie migać się od tańczenia!

Ja wiem, nie wszyscyśmy motyle, Ale nie odcładajmy tanga, panowie, na tę ostatnią chwilę.

Prośmy, panowie, żony do walse'a, Wirujmy w szalonym tanie. Żony są trwalsze niż drzewo balsa, Nic się zonom nie stanie.

Nie, żeby zaraz balowe sale, Reduty, gdzie cudnie cuchnie – Ale uparcie, Codziennie, Stale.

Valsujmy z żonami przez kuchnie.

Przez przedpokoje nasze niewielkie, Przez skromne amfiady.

Tańczymy z zapalem tańce wszelkie, Łatwe I trudne układy.

Zień pan z tapeczana, Biagam pana.

Chwileczki niech pan nie zwleka. Biogosiawieństwem będzie dla pana domowa ta dyskoteka.

Mruganko tylko potrzebne przy tem, Na szczęście mruga.

Mruga co druga. Żarówka pod sufitem.

Cholesterolu pan się pozbędziesz, Zóić pan wytrzeszczasz z siebie, I panu oraz żonie tak będzie jak – nie przymierzając – w niebie.

I powie żona, płońac ze szczęścia, Gdy się już skończą te tany.

„Karnawał tośmy mieli króciutki, Ale nadzwyczaj udany”.